



MROK HANNOWALDU

KAMIL ŁYSIK

emocje

KAMIL ŁYSIK

MROK HANNOWALDU

Kraków 2024
emocje

Copyright © 2024 by IWR WE sp. z o.o.

Redaktor prowadzący: Magdalena Kędzierska-Zaporowska

Korekta: Małgorzata Lis

Redakcja techniczna: Paweł Kremer

Projekt okładki: Daniel Rusiłowicz

Zdjęcie na okładce: Robert_em © Unsplash

Wszystkie osoby i wydarzenia pojawiające się w opowieści są wytworem wyobraźni autora.

Wszystkie zaś skojarzenia, jakie podczas lektury obudzą się w głowie Szanownego
Czytelnika, obciążają wyłącznie jego samego.

Wydanie I | Kraków 2024

ISBN ebook: 978-83-68031-25-6

Wydawnictwo Emocje, ul. Meissnera 20, 31-457 Kraków



wydawnictwoemocje.pl

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Jan Żaborowski

woblink

woblink.com

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

Rozdział I

Tarnowskie Góry, wrześnieńowa niedziela, na przełomie pierwszej i drugiej dekady

XXI wieku

Rozdział II

Tarnowskie Góry, dzień wcześniej

Tarnowskie Góry, wrzesień, niedziela

Rozdział III

Tarnowskie Góry, wrzesień, poniedziałek

Rozdział IV

Rozdział V

Tarnowskie Góry, wrzesień, wtorek

Rozdział VI

Tarnowskie Góry, wrzesień, piątek

Rozdział VII

Tarnowskie Góry, wrzesień, poniedziałek

Rozdział VIII

Tarnowskie Góry, wrzesień, wtorek

Rozdział IX

Tarnowskie Góry, wrzesień, środa

Rozdział X

Tarnowskie Góry, wrzesień, czwartek

Rozdział XI

Tarnowskie Góry, wrzesień, sobota

Rozdział XII

Tarnowskie Góry, wrzesień, poniedziałek

Rozdział XIII

Tarnowskie Góry, wrzesień, wtorek

Wronin, Grzędzin, wrzesień, środa

Rozdział XIV

Rozdział XV

Nakło Śląskie, wrzesień, poniedziałek

Rozdział XVI

Tarnowskie Góry, wrzesień, wtorek

Rozdział XVII

Tarnowskie Góry, wrzesień, czwartek

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Tarnowskie Góry, wrzesień, piątek

Rozdział XX

Tarnowskie Góry, wrzesień, czwartek

Rozdział XXI

Tarnowskie Góry, wrzesień, poniedziałek

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Tarnowskie Góry, październik, tydzień później

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Tarnowskie Góry, październik, tydzień później

Postscriptum

Przypisy

*Cóż by to był za ułamek
i jaka połowiczność odświętnej historii,
gdyby sięgała ona tylko po grób,
a dalej nie umiała się posunąć?*

Thomas Mann, *Józef i jego bracia*

Rozdział I

TARNOWSKIE GÓRY, WRZEŚNIOWA NIEDZIELA,
NA PRZEŁOMIE PIERWSZEJ I DRUGIEJ DEKADY XXI
WIEKU

Zmierzchało. Ciepły wieczór wrześniowy ścielił się miękko. Opadał na ostre ścierniska, kładł się na zaoranej ziemi, zapadał w mokre łąki. Otulał śródpolne zagajniki i obejmował przydrożne drzewa. Gasła różowa zorza nad lasem. Marniejącym blaskiem znaczyła jeszcze kontury świerków i potężne korony starych dębów, pomału uchodząc w stronę Tworoga. Zapadający mrok wydobywał z wnętrza ziemi wilgoć. W powietrzu bez trudu unosiły się drobinki wody i długimi smugami osiadały w miejscu. A wraz z wilgocią uwalniały się aromaty: umęczonej półroczną wegetacją, rozoranej pasami gliniastej gleby, suchego pszenicznego rżyska, bukietu łąkowych ziół, leśnego igliwia i żywicy. W ciemnościach, pod mleczną zasłoną mieszały się te wonności, przenikały i rozchodziły po okolicy. Docierały aż do szosy, wcale niepustej o tej porze. Przez szczeliny pomiędzy sztachetkami i przez otwory w siatce przedostawały się za ogrodzenia posesji, gdzie przegrywały z wszędobylskim odorem węgla drzewnego i palonego tłuszczu grillowanych kiełbasek, skrzydełek, żeberek, krupnioków¹. Dochodziły na boisko szkolne, gdzie miejscowe chłopaki na przemian kopali piłkę, pociągały piwo z puszek i zaciągały się papierosami. Pojawiały się też w dworskim parku, krążyły pomiędzy kilkoma rozłożystymi lipami i dębami,

zagłędały do ruin stajni i do ukrytej piwniczki ziemnej. Wsuwały się na taras i po żeliwnych kolumnach wspinały na balkon pałacu w Rybnej.

Usadowiona na skraju, sąsiadująca z polami uprawnymi, nieużytkami i lasami dawna posiadłość szlachecka wyraźnie odcinała się od otoczenia tej wsi-niewsi – niegdyś skupionej wokół pańskiego majątku, dziś rozbudowanej do granic możliwości, nobilitowanej i zdegradowanej jednocześnie mianem dzielnicy podmiejskiej, poranionej skutkami dziejowych zakrętów i szybko zmieniających się trendów budowlanych, gęsto upstrzonej peerelowskimi domkami klockami i najnowszymi wytworami architektury, ujawniającymi aspirację swoich właścicieli do zachodnioeuropejskiej klasy średniej, a zarazem tęsknotę za polskim gankiem, dworkiem modrzewiowym i w ogóle za wsispokojną-wsiwesołą. Tym mocniej barokowo-klasycystyczna rezydencja wybrzmiewała pięknem subtelnym i nienarzucającym się. Niby nic specjalnego, żaden tam podręcznikowy przykład historii sztuki, owszem, siedziba herbowego rodu, arystokracji, ale przecież szlachty pośledniej, sprawującej ledwie powiatowe godności pisarzy i podsędków. A jednak bił od pałacu jakiś estetyczny spokój, emanowała zeń harmonia, przyciągając uwagę podróżnych, którzy, zwalniając, wyglądali zza okien pojazdów w stronę dostojnej fasady.

W jednym z pobliskich domów do wyjścia szykował się dwudziestokilkuletni mężczyzna. Na ramiona zarzucił modną jak cała reszta jego stroju bluzę, a kark owinał chustą arafatką. Do telefonu wpiął słuchawki, których końcówki wetknął do uszu. Zerknął jeszcze raz krytycznym wzrokiem na szczupłą sylwetkę odbijającą się w lustrze i jednym ruchem ręki poprawił czarną

grzywkę, niby to niedbale sterczącą ku górze. Trzasnąwszy drzwiami, wyszedł na korytarz i gwizdnięciem przywołał psa. Po chwili u jego nóg pojawiło się kasztanowe zwierzę. Na obraz i podobieństwo golden retrievera wachlowało teraz z wielkiej uciechy włochatym ogonem.

Jak co wieczór ruszył truchtem w stronę furtki.

- Karlik², kaj³ zaś idziesz? - odezwał się nagle chropawy męski głos.

Nie odpowiedział. Regularny rytm basów w słuchawkach zagłuszył pytanie postawione przez staruszkę ukrytego wśród pnączy na ławeczce za laubą⁴. Ale i ten nie był przesadnie zdziwiony brakiem odpowiedzi. W ciągu minionej dekady zdążył przyzwycząć się już do ignorowania przez dorosłego wnuka.

Trasa biegu wiodła zawsze identycznym szlakiem. Najpierw chodnikiem z betonowej kostki wzdłuż drogi, tuż pod różnokolorowymi parkanami: tymi zwyczajnymi z siatki i tymi najkosztowniejszymi, kutymi na zamówienie - wszystkimi równie paskudnymi. Następnie zbaczała w prawo, w ledwo zauważalną ścieżkę biegnącą pomiędzy posesjami z jednej a chaszczami i ruinami dworskiej stajni z drugiej strony.

- Helmut! - przywołał psa, który jak zwykle w tej okolicy wyprzedził swego pana i bojowym klusem ruszył w krzaki. - Do nogi!

Właśnie mijali charakterystyczną dziurę w płocie, za którą miejscowa żulia urządziła sobie przed laty letni ogródek piwny, zwany przez nich samych „za zōmkiem”⁵. „Byda⁶ za zōmkiem - mawiali. - Jakby co, szukej mie za zōmkiem, ida za zōmek”⁷, co znaczyło po prostu: „Nie spodziewaj się mnie prędko i z całą

pewnością nie oczekuj mnie przesadnie trzeźwego”. Wśród wszechobecnych odpadków: plastikowych i szklanych butelek, tysiący niedopałków, starych, przepoconych szmat, odoru uryny i niemytych męskich ciał, usadowione na ułożonych w krąg starych wersalkach i fotelach wyrwanych z fiata sto dwadzieścia sześć pe, za zōmkiem urzędowało towarzystwo, racząc się czym popadnie, a raczej czym kto akurat dysponował, głośno komentowało otaczającą je, najczęściej nieprzychylną, a mówiąc wprost: pieską rzeczywistość, i w razie pilnej potrzeby zaopatrując się w pobliskich Delikatesach, oferujących szeroką gamę najpodlejszych w tej szerokości geograficznej trunków i byle jakich fajek.

Na wysokości szpaleru potężnych dębów, zamykających od zachodu przypałacowy park, okalająca dotąd ścieżynkę gęstwina krzaków się przerzedzała. Trakt wiódł dalej wśród pól, które z czasem przechodziły w szeroką łąkę. Na jej skraju, wykorzystując naturalne źródło wody, lokalny biznesmen wykopał staw, nad brzegiem którego zbierali się z kolei miłośnicy wędkowania. Następnie biegł wzdłuż okresowej rzeczki, wiosną i jesienią odprowadzającej z pól nadmiar wody, a obecnie wciąż jeszcze wyschniętej i zarośniętej gęstą trawą. Przy nodze biegacza posłuszenie truchtał przeszczęśliwy Helmut z podniesionym radośnie włochatym ogonem i strużką śliny u pyska.

Mężczyzna zerknął na zegarek, dochodziła dwudziesta. Było trochę późno i wiedział, że będzie biegł w ciemnościach. Nie miał jednak zamiaru przyspieszać, zdawał sobie sprawę, że należy zachować równe tempo. Mroku w lesie wcale się nie obawiał. Znał w nim każdą ścieżkę i każde rozwidlenie, wszystkie polany, skupiska buków, pola świerków i samotne, majestatyczne dęby. Znał

wszystkie ambony, które leśnicy rozstawili do obserwacji zwierzyny. W myślach odnotował najbardziej charakterystyczne elementy szlaku: na końcu łączki przeskoczy rów i znajdzie się w lesie, w zagonie dzikich jeżyn, krętą drożyną dotrze do szerokiej alei i przy drewnianej kapliczce przybitej do dębu skręci w lewo. Po chwili zza drzew po lewej wychyną paśnik dla saren i młodnik po prawej stronie. A potem jeszcze polana za rzędem brzoź i na końcu alei ukażą się nasyp kolejowy oraz wiadukt z czerwonej klinkierowej cegły. Jeszcze w dzieciństwie widywał pomału sunące tędy wagony wypełnione po brzegi węglem, później jednak pociągi przestały kursować, a jeszcze później do lasu wtoczyły się ciężarówki i całą cenną infrastrukturę rozmontowano i wywieziono. Po dawnym szlaku kolejowym nie było już prawie śladu. Zachowały się leśny beszōng⁸, kilka solidnych niemieckich mostków oraz wybrukowane perony w Miedarach i Zbrośławicach, po których przechadzały się kury i kaczki okolicznych mieszkańców lub które nieużywane całkowicie zarosły zielskiem. To chyba już wszystko, co zostało. No, może jeszcze tłuczeń, niegdyś kilka razy dziennie oblewany fekaliami z cuchnących wagonowych ubikacji, na wyrost zwanych toaletami. Uprzątnięcie kamienia, którym nie interesowali się ani złomiarze, ani koleje, okazało się po prostu zbyt kosztownym przedsięwzięciem. Zresztą tak jak funkcjonowanie całej linii numer sto siedemdziesiąt osiem z Tworoga do Mikulczyc.

Dalej – myślał – przebiegnie pod wiaduktem i spośród czterech dróg wybierze pierwszą od lewej. Chwilę pobiegnie w cieniu gęstych świerków, a później znów skręci w lewo, minie kolejną leśną łąkę z samotnym, dostojnym dębem pośrodku i...

Rozmyślenia o trasie przebieżki przerwało Karolowi wściekłe ujadanie Helmuta, które dosłyszał w jednej z mniej głośnych partii piosenki. Skowyt dochodził od strony wbijającego się w łąkę cypla lasu, do którego nie zdążył jeszcze wbiec – Hannowaldu, jak starsi mieszkańcy Rybnej zwali ów zagajnik.

Zatrzymał się i spojrzał w stronę, z której dochodził skowyt.

– Helmut! – krzyknął zirytowany, że pies opóźnia bieg. – Helmut, do nogi!

Musiał przyznać, że zwierzę było dobrze ułożone i zwykle się go słuchało. Odczekał więc chwilę, pewien, że za moment wyłoni się z chaszczy szczupła sylwetka pędzącego ku niemu radośnie psa. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a Helmut ujadał dalej. Ponowił więc wołanie, ale na próżno. Pies był w lesie i szczekał jak najęty. Zawołał po raz trzeci. Był przekonany, że Helmut usłyszał komendę, ale z jakichś powodów nie chciał przybiec. A może nie mógł? Przez chwilę rozważał i tę możliwość, ale uznał, że należy ją wykluczyć z powodu intensywności jazgotu, który w razie jakiegoś wypadku brzmiałby bardziej jak skamlenie, zawodzenie czy wycie.

Niechętnie skierował się w stronę Hannowaldu. W tle solowych popisów Helmuta wrzask rozpoczął również psi chórek z ulicy Raławickiej, która z drugiej strony okalała zagajnik. Od niedawna stały przy niej ekskluzywne domy nuworyszów, którzy do położonego na uboczu miasteczka coraz tłumniej ciągnęli z centrum tonącej w spalinach konurbacji górnośląskiej. Naiwnie wierząc, że w ten sposób zapewnią sobie i zgromadzonym przez siebie bogactwom bezpieczeństwo, otaczali swe siedziby wysokimi parkanami, którymi jednak skutecznie odgradzali się również od

tubylców, ich lokalnych problemów i tożsamości ziemi, której kilka metrów kwadratowych nabywali za isticie bajońskie sumy.

Na brzegu zagajnika Karol wyciągnął z uszu słuchawki, sprawnie zwinął cienki kabel i schował w kieszeni. Odsłaniając rękami przybrzeżne krzaki, wszedł w szarość Hannowaldu. Zapachniało lasem – świeżą żywicą *pinus silvestris*, butwiejącym drewnem, igliwem. Potykając się o korzenie i pnie zwalonych drzew, powoli posuwał się w głąb, w kierunku, z którego dochodziło ujadanie psa. Skowyt działał jak nawigacja, prowadząca jego pana do celu. Nagle szczekanie psa ucichło, by po krótkiej chwili znienacka rozlec się tuż u stóp Karola. Podskoczył.

– Helmut, idioto, wystraszyłeś mnie. Wracamy!

Psisko niewiele sobie jednak robiło z irytacji swego pana, zanurkowało w krzaki i znów zniknęło, by dalej ujadać nieopodal.

– Helmut, do domu! Dostyc zabawy. Ja stąd spadam! – zawołał, ale odpowiedział mu jedynie skowyt psa. – Helmut... – w jego głosie pobrzmiwała wyczuwalna nuta rezygnacji. Karol obrócił się i na powrót skierował w głąb lasu. Długimi krokami, odgarniając zagradzające drogę gałęzie drzew i krzaki, z trudem pokonywał nieznaną mu odległość dzielącą go od ujadającego zwierzęcia. Nie myślał wiele. Chciał jak najszybciej poznać przyczynę postoj, zasłużenie zbesztać psa i wrócić do biegu. Wreszcie znalazł się na miejscu. Helmut stał nad niewielkim zagłębieniem w ziemi, a kolejne szczęknięcia wstrząsały całym jego ciałem.

– Helmut! – Wciąż ujadając, psisko przyskoczyło do swego pana i znów wróciło na poprzednie miejsce. Karol zrobił kilka kroków w stronę zwierzęcia.

- Helmut, do pierona²! - Podszedł bliżej. Uklęknął przy zwierzęciu i przemówił do niego łagodnie: - Co się stało? - Dopiero teraz skowyt ustał. Karol spojrzał w stronę, w którą uparcie wpatrywało się psisko. Zapadający zmrok uniemożliwiał jednak dojrzenie czegokolwiek poza ogólnym zarysem konturów. W zagłębieniu znajdowały się jakieś gałęzie, łodygi jeżyn, liście paproci - nie wiadomo, co dokładnie. Wyciągnął z kieszeni telefon i włączył latarkę. Zaświecił przed siebie i znieruchomiał.

*

Karol i pies uparcie wpatrywali się w wystający z chaszczy punkt: czarny sandał o piaskowej podeszwie. Wyglądał tak, jakby wyrastał ze złożonych w jedno miejsce świerkowych gałęzi. Oczywiście było to niemożliwe. Tak jak gruszki nie rosną na wierzbach, tak świerki nie rodzą obuwia. Karol wiedział o tym doskonale. Tak samo jak wiedział, że wystarczy oświetlić przedmiot z boku, by przekonać się, czy sterczy sobie spokojnie na kijku czy też tkwił przywdziany na stopę, która... Myśl tę Karol odganiał, powracała jednak jak natrętne, tłuste, zielonkawe muszysko. Może w nieco innych okolicznościach, gdyby nie zapadający zmrok, ów krótkotrwały i magiczny moment przejścia z dnia do nocy, podczas którego chwilowemu zatarciu ulega ostrość widzenia, stając się powodem tak wielu wypadków drogowych... „Ale co tam one!”, w myślach upomniał sam siebie. W końcu był teraz w lesie... Może więc w innych okolicznościach nie przejąłby się znaleźnikiem, może nie zwróciłby nawet na nie uwagi, a może z rozpędu trąciłby sandał, który spadłby wówczas ze sterty skrywającej kupę śmieci. Może...

Wyszukał w pobliżu długi kij. Ujął go w prawą dłoń i lewą, nadal oświetlając znalezisko, zaczął odsłaniać gałęzie. Jak można się tego było spodziewać, but nie spadł. Nie mógł spaść, skoro tkwił na bosej stopie sterczącej z przyzmy. Karolowi udało się kijem odkryć kończynę aż po łydkę, z której zsunęła się do połowy nogawka spodni.

Dotknąć jej czy nie dotykać? Może trzeba zbadać puls? Ale czy w nodze jest wyczuwalny? Tysiące myśli niczym taśma filmowa przebiegały mu teraz przez głowę.

A może uznać, że noga należy do manekina? Tylko skąd, u czorta, manekin w lesie? Pewnie ze sklepu odzieżowego, stary wyrzucili. Jasne, tylko że w okolicy nie było takiego sklepu. No to może ktoś zasłabł na jagodach? Do cholery, człowieku, na jakich jagodach, we wrześniu? Może na grzyby się wybrał, miał zawał i wpadł do dołu ... i sam się przykrył gałęziami, żeby nie zmarznąć. „Nie wymyślaj, Karol”, po raz kolejny zbeształ się w myślach. Mimo wszystko trzeba dzwonić po pomoc. Dzwonić? Gdzie dzwonić? Już się robi, już się dzwoni... Ale gdzie moja komórka?! Oświetlając wciąż podeszwę sandała, obmacał kieszenie bluzy. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że telefon trzyma w dłoni.

„Opanuj się, człowieku!”, znów przywołał się do porządku. Jak to szło, dziewięć-dziewięć-siedem?

Drżącymi palcami wystukał numer sto dwanaście, ale nim w słuchawce wybrzmiał sygnał, natychmiast przerwał połączenie i na powrót uruchomił latarkę. Poświecił w stronę, gdzie powinna znajdować się głowa, i delikatnie odgarnął kijem przykrywające ją gałęzie oraz paprocie. Wkrótce jego oczom ukazały się srebrne włosy i zwrócona bokiem twarz, po której w białym świetle latarki pełzały

teraz w popłochu czarne robale, rozpoczynające już swoją robotę. Twarz należała do mężczyzny mniej więcej w wieku rodziców Karola. Dostrzegł też białą skórę szyi, na której odcinała się brunatna, długa rysa.

Pochylił się i nadal świecąc latarką, ostrożnie przysunął dłoń do zgięcia karku i barku, gdzie, jak uczono go w szkole, najłatwiej było rozpoznać puls człowieka. Nie spodziewał się go wyczuć i nie pomylił się w tym osądzie. Gwałtownym ruchem się podniósł i, oddalwszy na kilka kroków od zagłębienia, ponownie wybrał numer sto dwanaście, a po chwili oczekiwania połączył z konsultantką Centrum Powiadamiania Ratunkowego.

Rozdział II

W niewielkim pokoju panował przedwczesny mrok burzowego wieczora. Przed monitorem komputera, jedynym jasnym punktem w całym pomieszczeniu, niczym ćma przytulona do źródła światła tkwiła dziewczyna. Na tle błękitnej poświaty rysowały się zgrabne linie dwudziestokilkuletniej sylwetki. Jej wsparta na łokciach kształtna głowa zamarła w bezruchu nad tekstem, który uważnie studiowała jej właścicielka.

Jedynie ciemne, piwne oczy wodziły po równych rzędach liter. Ociężale zmierzały ku prawemu marginesowi, by następnie w ułamku sekundy przenieść się na lewy brzeg i kontynuować wędrówkę śladem kolejnego wersu. Jednostajny ruch źrenic przypominał pracę maszyny do pisania, której czcionki pod wprawnymi uderzeniami palców stenotypistki beztriosko podskakują ku krawędzi arkusza, dopóki, będąc już prawie na skraju, za sprawą gwałtownego uderzenia nie znajdą się na powrót po przeciwnej stronie.

„W krypcie pod barokową kaplicą Świętego Wacława przy starotarnowickiej świątyni po dziś dzień znajduje się szereg trumien. Chaotycznie rozmieszczone, z uchylonymi bądź wręcz otwartymi na oścież wiekami skrywają wśród trocin zdekompletowane szkielety właścicieli okolicznych majątków ziemskich. Z pustych oczodołów, pożółkłych i spopieliałych czaszek zdaje się wołać historia tarnogórskich arystokratów, pełna nieodkrytych tajemnic –

zagadkowych zgonów, skomplikowanych intryg, rozpalonych uczuć i tłumionych namiętności – sekretów, które chyba już na zawsze razem z doczesnymi szczątkami ich bohaterów będą musiały pozostać w ukryciu”.

Głębokie westchnienie oznajmiło kres lektury. Artykuł o kościele pod wezwaniem Świętego Marcina był wreszcie gotowy. Kosztował ją niemało wysiłku – nie tyle tego warsztatowego, bo redagowanie tekstów szło jej nad wyraz sprawnie. Musiała jednak przewertować kilka śmiertelnie nudnych książek i artykułów o historii lokalnej, dostać się do zamkniętego na co dzień na trzy spusty kościoła, uprosić proboszcza o zezwolenie na zejście do cuchnącej pleśnią i śmiercią krypty. „Po cholere tę całą pisaninę – pomyślała. – Tak przyjemnie było wczoraj...”. Zamknęła oczy i przeniosła się w myślach na sobotni bankiet, który zorganizowano w pałacu w Rybnej na zakończenie miejskiego święta, Dni Gwarków.

TARNOWSKIE GÓRY, DZIEŃ WCZEŚNIEJ

Podświetlona bryła rezydencji lśniła na tle wieczornych czeluści. Większość okien jaśniała światłem stylizowanych żyrandoli, które z odległości tylko zyskiwały na elegancji. Znajdujący się za kutym ogrodzeniem parking pełen był ustawionych w równych rzędach samochodów. Co jakiś czas któryś z nich, błysnąwszy groźnie ksenonowymi ślepiami, ruszał i z charakterystycznym chrobotem zwiru pod szerokimi oponami sunął majestatycznie ku bramie głównej, a jego miejsce zaraz zajmował kolejny. Przed wyjściem z wozów pasażerowie poprawiali jeszcze grzywki i krawaty, po czym dziarsko ruszali w stronę podjazdu, gdzie tłoczyły się już inne, równie wytworne pary. Mając za nic wymogi parytetów,

towarzystwo w jakiś naturalny sposób grupowało się w stadka – osobno szczebiotały ufryzowane i prawie szczerze uśmiechnięte panie, a w pewnej odległości panowie, strojni w modne garnitury o nogawkach spodni cokolwiek nazbyt wąskich w stosunku do reszty postury, w kieszeniach obowiązkowo trzymający jedną dłoń, drugą zaś z wyuczoną manierą gestykulując zamaszycie. W powietrzu unosiła się intensywna woń perfum, tytoniu i naprawdę dobrej kawy.

Bo na dorocznym bankiecie wszystko musiało być dobre, taka była już tradycja – począwszy od uznanego kwartetu smyczkowego. Z jego repertuaru wprawdzie czujna ręka recenzenta wykreśliła utwory nazbyt współczesne – tak na wszelki wypadek, by nie drażnić ucha wpływowego radnego. Ten w przyływie szczerości wyznał kiedyś półgłosem – dostatecznie jednak donośnym, by okazał się słyszalny nie tylko dla rozmówcy – że on, radny miejski, tak do końca nie wie, czy zespół się dopiero stroi, czy może już gra.

Znakomite były też przekąski: ułożone w piramidki paszteciki, schowane w gąszczu zielonej sałaty krokieciki, ruloniki przedniej wędliny, serki dojrzewające i cuchnące, jajeczka, ciasta i ciasteczka, i w ogóle wszystko, co tylko na tego typu przyjęciach się serwuje, było absolutnie pierwszorzędne. I obowiązkowo w tym towarzystwie wymagało zdrobnienia nazwy.

Ale przecież nie tylko z powodu uczyty dla ciała i ducha na gali być po prostu wypadało. Była to bowiem jedyna chyba w całym roku okazja do spotkania się całej miejscowej śmietanki. Niezależnie od trwałych podziałów politycznych i tymczasowych aliansów, od konfliktów przebiegających wertykalnie i horyzontalnie, od indywidualnych antypatii i animozji na bankiecie spotykali się

radni, działacze polityczni wszelkich opcji, przedsiębiorcy, partnerzy z zagranicy. Po ludzku rozmawiali tu ze sobą pan senator z panem burmistrzem i pani posłanka z panią starostą lub odwrotnie. Dyrektor pałacu Artur Krawiec stawał więc na głowie, dwoił się i troił, a w ostatnich godzinach przed otwarciem nawet czworzył i przepoczwarzał, byle tylko wszystko wypadło, jak należy. I z reguły wypadało.

Umęczony bieganiną i załatwianiem mnożących się próśb i życzeń, z których większość należała do kategorii poleceń służbowych, usiadł teraz przy jednym z pustych stolików na tarasie za pałacem i na wpół przytomnie, z wolna pociągając miętowego papierosa, przyglądał się gościom. W tle kwartet zasuwał *Arię na strunie G*, którą dyrektor, muzyczny ignorant, znał już na pamięć, podobnie jak całą resztę żelaznego repertuaru weselnego, który wybrzmiewał podczas często organizowanych w pałacu uroczystości – kanon Pachelbela, *Zimę* Vivaldiego i inne przeboje. W trakcie swej dyrektorskiej kadencji nasłuchiwał się tego co niemiara. Pomyślał nawet, że za moment usłyszy pewnie *Ave Maria* Schuberta, i by się niepotrzebnie nie rozkliwiać, chciał już wstać, gdy wtem potężna postać z dziwną lekkością opadła na krzesło obok.

– *Guten Abend, Herr Direktor*¹⁰.

Dyrektor spojrzał życzliwie na olbrzymia, a jego uśmiechnięta twarz wydała mu się wprawdzie skądś znajoma, ale zupełnie nie na właściwym miejscu i nie o czasie.

– *Guten Abend* – odparł i jeszcze przez krótki moment próbował odnaleźć się w sytuacji, przypasować element do reszty układanki. – *O! Herr Stolpe, wie geht es Ihnen*¹¹? – wyrwany z letargu niczym komputer ze stanu hibernacji dyrektor zrestartował się i na powrót

gotów był do pracy na najwyższych obrotach. Przypomniawszy sobie, wszystko mu się zgadzało. Rezerwacja na nazwisko Jens Stolpe, na trzy noclegi w pałacu, w drugim tygodniu września, dokonana z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, płatne z góry, przelewem, przez kancelarię adwokacką z Dortmundu. – Termin trochę nieszczęśliwy, ten cały bankiet, ale przecież z góry uprzedzałem, że będzie impreza, trochę głośno i tłoczno – usprawiedliwiał się nadgorliwie przed niezadowolonym bynajmniej wyjaśnieniami gościem. Dziś to druga noc pobytu gościa. Pojutrze rano Herr Stolpe odlatuje do Niemiec. Oczywiście, zapraszał pana mecenasa na koncert i galę, szczerze licząc jednak, że zmęczony załatwianiem interesów odmówi.

– *Danke, gut*¹². – Nieformalnym strojem Stolpe odstawał od reszty towarzystwa. Markowa koszula luźno wypuszczona na bawełniane i równie markowe spodnie. Mecenas z grzecznościową maską na twarzy rozsiadł się wygodnie na trzeszczącym pod nim krześle i w wielkich palcach wolno obracał nóżkę kieliszka z czerwonym winem. – *Ein guter Wein*¹³ – zawyrokował tonem sommeliera, odrywając usta od kieliszka, którego trzecią część wypełniał płyn o rubinowej barwie.

– *Prosit*¹⁴! – Dyrektor Krawiec uniósł swój kieliszek w stronę mecenasa i nagle poczuł do niego sympatię. Nikt nie musiał mu mówić, że wino było dobre, sam doskonale o tym wiedział. Wiedział nie dlatego, że się na winach znał, bo się nie znał, ale dlatego, że zapłacił za nie krocie, i to cena za butelkę, niby zastrzeżona dla administracji pałacu, a jednak pocztą pantoflową przekazana tam, gdzie należało, robić miała na gościach wrażenie. Zgodnie z poleceniem służbowym zresztą. Tymczasem mecenas poznał się

na winie po jego barwie, smaku i zapachu. „Klasa”, pomyślał Krawiec.

Stolpe wyciągnął paczkę papierosów Benson & Hedges i poczęstował dyrektora. Szczęknęła metalicznie zapalniczka. Krawiec pomyślał, że sama w sobie musi być warta majątek. Zapalili. Gość krępował nieco dyrektora, który nie do końca wiedział, jak się zachować w jego obecności. Wyczuwał, że jego uśmiech, tak sympatyczny i pełen wyrozumiałości wobec coraz bardziej rozochoczonego towarzystwa, był w istocie uniwersalną maską, którą adwokat przywdziewał na różne okazje. „Prawdziwy zawodowiec”, ocenił Krawiec i zastanowił się, czy w toku kariery zawodowej Stolpe całkowicie wyzbył się emocji, czy tylko do perfekcji opanował ich ukrywanie.

Analizy nie było mu jednak dane dokończyć, gdyż zza węgła pałacu wyłoniła się sylwetka paleolitycznej Wenus, zmierzającej wprost w stronę stolika na uboczu, przy którym schronili się dyrektor z mecenasem. O, nie! Krawiec już z daleka rozpoznał w nadchodzącej radną, bywalczynię lokalnych imprez, wernisaży, finisaży i innych tak zwanych iwentów, słynącą z tego, że żadnego nigdy nie przepuściła, a jeśli jej się to przydarzyło, najpewniej wyłącznie z powodu kolizji terminów. Pani Dagmara groźna nie była, co to, to nie, bywała wszak kłopotliwa, na pewno zaś jej towarzystwa dyrektor chciał w tej chwili zaoszczędzić Stolpemu.

– Tu pan jest, dyrektorze! – wykrzyknęła radna, uradowana jeszcze bardziej niż zazwyczaj. – Chowa się pan przede mną... – Zaśmiała się głośno. – Oj, nieładnie, nieładnie! – Zbliżyła się, a wraz z nią dotarła woń perfum tak intensywna, tak gęsta, że mężczyznom przez chwilę wydało się, że otaczała tę charakterystyczną postać

niczym aureola głowy męczenników na świętych obrazach. Od stóp do głów radna cała była nietuzinkowa. Nietuzinkową miała kreację, opiętą na jej potężnym ciele matki Polki, różową, pełną falban i kryzów, nietuzinkową fryzurę w stylu Kleopatry, nietuzinkowe, wielkie, czarne boa okalało jej szyję i spływało po nagich ramionach, nietuzinkowe, czarne z wielgachnymi otworami rajstopy opinały masywne jej nogi, a reszty nietuzinkowego imidżu radnej dopełniały gigantyczne czółenka na cienkich jak słomka obcasach.

– Pozwoli pani, że przedstawię... – pomimo wszystko dyrektor postanowił zaprezentować mecenasa.

– Radna Tłok, miło mi – przedstawiła się, wyciągając dłoń w kierunku gościa i uśmiechając się zalotnie.

– *Ich möchte Ihnen...*¹⁵ – Krawiec kontynuował nieśmiało.

– Ach, dojczland, dojczland, ja, ja. – Ni to mu grożąc, ni to go przyzywając, radna pokiwała w kierunku Stolpego palcem i wypaliła: – Panowie tu przysypiają, a tam tańce, tańce się zaczynają, chodźmy potańczyć – zaszczebiotała wesoło i ujęła Krawca pod ramię. – Pan mnie zaprasza do tańca – zaordynowała tonem niecierpiącym sprzeciwu, po czym dorzuciła: – Tancen, herr krzyżak, tancen!

– *Entschuldigung*¹⁶. – Uprawdzonego dyrektora zdążył jeszcze tylko zwrócić się w stronę adwokata ze spojrzeniem błagającym o wybaczenie.

– *Kein Problem, ich bleibe hier*¹⁷ – ze stoickim spokojem odpowiedział tamten, ale miał wrażenie, że nikt go już nie usłyszał.

Stojąc na balkonie na wprost wejścia do sali koncertowej, Weronika Maszczyk, młoda dziennikarka „Wiadomości Tarnogórskich”, miała

doskonały widok zarówno na to, co działo się na intarsjowanym parkiecie, jak i na dolnym tarasie. Zatrzymała się tam z Maćkiem Jarzyną, starszym kolegą z redakcji, oddelegowanym do zrelacjonowania gali. Z więcej niż rysującą się łysiną, dwoma podbródkami i wydatnym brzuchem, którego już od dawna nie próbował okiełznać, Jarzyna wyglądał na pogodzonego z życiem pięćdziesięciokilkulatka.

Przyglądali się podrygującemu towarzystwu z mieszaniną rozbawienia i szacunku. Lokalnym włodarzom przyzwyczajeni byli kłaniać się w pas, co, jak się niebawem okazało, nikomu w redakcji wcale nie przeszkadzało podśmiewywać się z poszczególnych osobników. Wszystko zależało wszak od okoliczności i od audytorium. To, co przed chwilą uchodziło za przejaw inteligencji i oznakę dobrego tonu, nagle okazywało się zupełnym bezguściem. Słowem, trzeba było wiedzieć jak, z kim, gdzie i kiedy. Nie było wszak tajemnicą, że „Wiadomości” utrzymywały się na powierzchni przede wszystkim dzięki ogłoszeniom i artykułom sponsorowanym, opłacanym przez najróżniejsze instytucje władzy. W końcu – jak powiedział zapomniany klasyk – to byt kształtuje świadomość.

– Luknij na rajcę, Wera, jak nogami wywija. – Trącił ją w bok Maciek. – Mieszko Płatonogi, co się zowie, nie? – Nie odpowiedziała, więc dodał: – Pewnie nigdy o takim nie słyszałaś, co?

– Nie przypominam sobie takiego króla.

– Jasne – mruknął, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z tańczących. – Taki z niego król jak ze mnie święty turecki albo rajca miejski. Książę, dziewczyno, Mieszko Płatonogi był pierwszym księciem górnośląskim! Zapamiętaj sobie na zawsze – pouczył ją.

- A co ty mi tu z jakimś Mieszkiem w ogóle wyjeżdżasz, że niby lekcja historii? Może za chwilę każesz mi się jeszcze do siebie zwracać *per* „panie profesorze”? – Weronika uwielbiała droczyć się z Maćkiem, zwłaszcza udając przed nim większą ignorantkę, niż była nią w rzeczywistości. Kolega świadomie zaś wchodził w tę grę pozorów, udając, że nie odróżnia wygłupów od poważnych rozmów, i zawsze gromiąc srodze dziewczynę za rzekomą niewiedzę.

- Przecież jesteś tu, bo masz napisać artykuł o pałacu w Rybnej. Artykuł historyczny, o ile dobrze pamiętam.

- O, widzę, że tym razem o lecytynie z rana nie zapomniałeś, dziadku.

- Eh, ty jędzo... – Uśmiechnął się. – Ty piszesz tekst o zabytku, a ja relację z tego karnawału. Czyż nie taki mamy układ?

- Jasne. Prawdziwe artykuły to może pisać wyłącznie szanowny pan redaktor Jarzyna, najslynniejszy dziennikarz w całym powiecie. A ty, głupia, to spisuj tylko do gazetki ściennej jakieś legendy o rycerzach, smokach i śpiących królewnach. Czy ktoś to w ogóle czyta? – zachnęła się i tym razem rozgniewała nie na żarty.

- Gdyby nie czytali, nie publikowalibyśmy całego cyklu o miejscowych zabytkach i nie zlecali jego napisania wschodzącej gwiazdzie dziennikarstwa, nie sądzisz?

- Mam co do tego spore wątpliwości... – Albo udawała obrażoną, albo rzeczywiście nią była. – I nie nazywaj mnie gwiazdą, do cholery!

- Moja droga, nie bądź taka skromna. – Jarzyna wiedział, że tym określeniem rozjuszy ją do żywego, ale nie potrafił się powstrzymać. – Twoje artykuły o kościołach i pałacach są fascynujące i szalenie poczytne – kpił.

Weronika nie miała ochoty dłużej wysłuchiwać kpin starszego kolegi, który w tej dziedzinie pozostawał niedoścignionym mistrzem, i nie czekając, aż gruby redaktor dokończy kwestię, odwróciła się na pięcie i wyszła na reprezentacyjną klatkę schodową. Po obitych drewnem stopniach zeszła do hallu, gdzie przy suto zastawionych stołach kłębił się rój gości. W głębi sali północnej dostrzegła siedzących we własnym towarzystwie młodych członków kwartetu. Nie miała ochoty na jedzenie. Wzięła kieliszek z winem i przez otwarte na oścież dwuskrzydłowe drzwi wyszła na zewnątrz. W oczy uderzył ją snop białego światła, jeden z wielu, który rześście oświetlał fasadę. Przez moment pomyślała, że schodząc z kierunku padania światła, wstępuje w egipskie ciemności, na nieznany i niebezpieczny grunt. Szybko jednak jej oczy przyzwyczyły się do mdłego światła przypałacowych latarni. Pod stopami przyjemnie zachrząścił żwir. W blasku iluminacji wydawał się biały jak śnieg i dodawał miejscu uroku właściwego prowincjonalnej rezydencji francuskiej. Gdyby nie dobiegające z piętra dudniące rytmy popowej rąbanki, mogłaby zamknąć oczy i wsłuchując się w cykanie świerszczy, przenieść się gdzieś, gdzie historia w kolorze sepia miesza się z wielobarwną współczesnością, gdzieś daleko nad zieloną Loarę, do którejś z tych wiosek o kamiennych domkach i czerwonych dachach, ukrytych w cieniu potężnych katedr gotyckich.

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, NIEDZIELA

Metaliczny dźwięk nadchodzącego esemesa na powrót przeniósł dziewczynę do jej pokoju. Spojrzała na równe rzędy liter na ekranie. Nie chciało jej się po raz kolejny czytać artykułu o kościele pod

wezwaniem Świętego Marcina. Nacisnęła „control+s” i plik z tekstem wylądował na twardym dysku. Nazajutrz zostanie wkomponowany w szablon gazety, kolejnej nocy powielony w około dwunastu tysiącach egzemplarzy, a pojutrze z jego treścią zapozna się mniej więcej czwarta część populacji miasta i okolicznych gmin. Zabrała się do pisania maila do naczelnej.

Droga Helu...

„Albo nie – postanowiła – napiszę chłodno i bezosobowo”.

Zgodnie z poleceniem przesyłam...

„Nie, no nie jest znów aż tak głupia. Wyczuje, że się na nią wkurzam, lepiej niech będzie standardowo”.

Hej, w załączeniu przesyłam obiecany artykuł.
Przepraszam za opóźnienie. Pozdrawiam. – W.

Tak, tak właśnie było dobrze. Poprawnie, jałowo, standardowo, ale bezpiecznie. Komenda „wyślij”, cichy szcęk plastikowego przycisku myszki i wiadomość wyfrunęła w przestrzeń wirtualnego kosmosu.

Spojrzała na zegar, dochodziła dwudziesta druga. Z oddali, sponad centrum srebrnego miasta, dochodziły odgłosy pierwszych wybuchów sztucznych ogni, tradycyjnie wieńczących uroczyste obchody święta Gwarków. Po intensywnie spędzonym weekendzie, gali, historycznym pochodzie i szeregu innych atrakcji, na fajerwerki zwyczajnie nie miała już siły. Dla relaksu postanowiła obejrzeć *Dziewczynę z tatuażem*, filmową adaptację powieści

kryminalnej Stiega Larssona, którą ostatnio znalazła w internecie. „Będzie jak znalazł na ciemny niedzielny wieczór”, ucieszyła się w duchu. Coś pociągającego musiało być w niebezpieczeństwie, skoro takim wzięciem cieszyły się krwawe filmy i powieści, horrory, thrillery, kryminały i inne wynalazki, które wraz z gęsią skórką wywoływały w odbiorcy również przyjemny dreszczyk emocji – mieszanek strachu i zainteresowania, co też wydarzy się za chwilę. W dzisiejszych czasach – myślała, bo z reguły wieczorami nachodziły ją chwile pogłębionej refleksji, która w świetle dnia pryskała jak mydlana bańka – ludzie lubili się bać. Lubili, to bez dwóch zdań. Niebezpieczeństwo dodawało życiu smaku, było nieodzownym elementem każdego bytowania, bez którego nie sposób przecież docenić zacisza domowego ogniska, było jak sól w potrawie, której nadmiar, owszem, mógł zabić, jak w kolorowych poradnikach twierdziły całe legiony dietetyków, a w każdym razie zepsuć jej smak, ale brak białej przyprawy też czynił danie nieznośnym. Pewnie właśnie dlatego – dedukowała dalej – we współczesnych czasach, które zupełnie na przekór doświadczeniom dziejowym wmówiły mieszkańcom Starego Kontynentu bezkresną szczęśliwość, kontrolowane odurzanie się trwogą było aż tak powszechne.

No właśnie, kontrolowane, czyli polegające na balansowaniu na cienkiej czerwonej linii, stapaniu po krawędziach, ocieraniu się o niebezpieczeństwo, jednak zawsze na niby, w bezpiecznej odległości, z głębin fotela, zza ekranu monitora, znad kart książki. W każdej chwili taką grozę, której poziom intensywności przekroczy akceptowalną dawkę dobową, można przerwać, wyłączyć film, zamknąć książkę i wrócić do szarzyzny codzienności. Do życia, które może nie oferuje nagłych zwrotów akcji i silnych dawek adrenaliny,

ale które zapewnia minimalny poziom stabilizacji w swojskich pieleszach. Czyż nie tego większość w istocie pragnęła?

Przerwała filozoficzne rozmyślenia i zamknęła okno. Wyciągnęła się na łóżku, stopy okryła kocem w czerwono-zieloną kratę, na stoliczku obok położyła komórkę i szklanę soku jabłkowego. Pilotem uruchomiła płaski monitor, wybrała film z dysku, zgasła lampkę. Oczekiwała porządnego zastrzyku emocji. I się nie zawiodła.

Rozdział III

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, PONIEDZIAŁEK

W redakcji było duszno od samego rana. Zlokalizowany po drugiej stronie ruchliwej drogi potężny budynek lokalnej policji, zimą przeklinany za zasłanianie przedpołudniowego słońca, teraz dawał od niego chwilę wytchnienia. Przez uchylone okna wlewały się jednak swąd spalin i gwar ruchliwej ulicy. W ciasnym pomieszczeniu mieszały się z szumem trzech komputerów i buczeniem radioodbiornika. Nikt go wprawdzie nie słuchał, ale grać musiał. Z przyzwyczajenia.

Biurko pomiędzy ścianą i oknem zajmowała Weronika. Z dużymi słuchawkami na uszach, utkwivszy w monitorze spojrzenie zbitego psa, siedziała teraz na swoim fotelu z urwanym kółkiem i popijała zimną kawę z mlekiem. Wystygła, kiedy młoda dziennikarka była na dywaniku u szefowej i przyjmowała burę za opóźnienie realizacji zleconych jej tekstów. Oczywiście z naganą się nie zgadzała, ale od kiedy w drugim tygodniu pracy, podczas pierwszej i zarazem ostatniej próby sił role odgrywane w redakcji „Wiadomości” zostały raz na zawsze potwierdzone, wszystkie zastrzeżenia przyjmowała z należną pokorą, która wszelako nie przeszkadzała jej wszystkimi dostępnymi metodami poszerzać zakresu pracowniczych swobód. Taka natura, mawiała.

Naczelną lokalnego tygodnika była czterdziestokilkuletnią farbowaną blondynką. Lata rozkwitu swej urody miała już za sobą, a próby ukrycia śladów upływu czasu nie wychodziły jej najlepiej. Owszem, sprawiała wrażenie energicznej i zdecydowanej kobiety sukcesu, ale był to tylko pozór, imidż, odgrywana dla otoczenia komedia. Po bliższym poznaniu Helena Bonk okazywała się osobą o kruchej psychice, pragnącą akceptacji i stęsknioną prawdziwego uczucia mężczyzny, którego życie jej poskapiło.

W ten sposób, po trosze nie bez złości, a po trosze i nie bez racji, postrzegała ją Weronika. Teraz jednak postanowiła wziąć się w garść i przestać przesadnie myśleć o przełożonej. Za godzinę miała wszak opuścić redakcję na dłużej i udać się na spotkanie. Porywająco się może i owo *rendez vous* nie zapowiadało, ale z całą pewnością stanowiło perspektywę miłszą niż dalsze wysiadywanie w dusznym lokalu redakcyjnym i narażanie się szefowej.

Po godzinie w mieście było jeszcze cieplej. Autobus linii sto osiemdziesiąt, którym dziennikarka miała udać się na wywiad, odchodził za dwadzieścia pięć minut, ale nie mogła już dłużej wytrwać w redakcji. Postanowiła zrobić sobie mały spacer i zamiast na dworzec, udała się na przystanek przy konwikcie. Ilekroć ją słyszała, zawsze dziwiła się tej dziwacznej nazwie, ale nigdy nie pamiętała, żeby sprawdzić jej etymologię w opasłej historii miasta. Choć skończyła polonistykę na Uniwersytecie Śląskim, nie była językową purystką, niezbyt interesowały ją też uczone tomiszczą, woluminy pisane suchym i precyzyjnym językiem nauki. Film, internet, komunikacja – to była pasja Weroniki. A dodatkowo moda lat pięćdziesiątych.

Mieszkanie dziewczyny w betonowym bloku największego w mieście osiedla zdobiły czarno-białe podobizny jednej z najjaśniejszych gwiazd ekranu tamtej epoki – Audrey Hepburn. Audrey na skuterze osi mknie przez Wieczne Miasto w *Rzymskich wakacjach*, Audrey w kolia i ciemnych okularach przed witryną sklepu w *Śniadaniu u Tiffany’ego*, uśmiechnięta Audrey z cygaretką w długiej lufce. Zwiewne i szerokie w biodrach sukienki na ramiączkach, wielkie okulary, eleganccy mężczyźni w marynarkach, obowiązkowo wypomadowani i uśmiechnięci od ucha do ucha, obłe kształty samochodów i cały ten dizajn w stylu black & white. Gdyby to od niej zależało, wybrałaby życie w latach pięćdziesiątych. Jedyne, co studziło jej zapędy do przeniesienia się w czasie, to świadomość, że intensywne kolory, których brakowało na klimatycznych fotografiach, występowały jednak w naturze również w tamtych czasach.

Weronika skręciła w lewo i przecięła plac Wolności, po czym znalazła się na ulicy Krakowskiej. Spokojnym krokiem mijała kolejne sklepy, przeglądając się w ich witrynach – obuwniczy, cukiernia, apteka, zakład fotograficzny, księgarnia... Kłaniając się uprzejmie, minęła wąsatego nauczyciela historii z liceum Staszica. Pomyślała przy tym, że Tarnowskie Góry są tak niewielkim miastem, że nie sposób ukryć w nim czegokolwiek. Na rynku spojrzała jeszcze odruchowo na tarczę zegara kościoła ewangelickiego, którego wskazówki już od dłuższego czasu uparcie wskazywały za dziesięć trzecią, i stromą ulicą księdza Wajdy pospieszyła na przystanek.

Stary MAN z niemieckiego demobilu z numerem sto osiemdziesiąt dostojnie sunął wiejskimi ulicami przedmieścia. Z szoferki dobiegały hity spod klopszangi¹⁸, ochoczo serwowane

swym słuchaczom przez Radio Piekary, a za szybą przesuwają się klocki domów w pastelowych kolorach. Po dwudziestu minutach podróży wóz skręcił w końcu w ulicę Powstańców Warszawskich, minął pocztę, szkołę oraz usytuowany prostopadle do drogi długi i wysoki budynek. Weronika nacisnęła guzik z napisem „Halt” i wyskoczyła z pojazdu. Ostatnio była w Rybnej w sobotę, ale w jakże odmiennych okolicznościach. Nie pałała entuzjazmem do starych ludzi, ich ciemnych, zawilgłych i śmierdzących moczem i naftaliną mieszkań. Po spotkaniu z Franciszkiem Kampką też nie spodziewała się niczego szczególnie interesującego. Nie ciekawiły jej opowieści moherowego dziadka, jak to piyrwyj bōło fajniście, a terazki wszisko się pomiyniōło na gorsze.

Bez kłopotu trafiła pod posesję z numerem, który zanotowała. Zatrzymała się przed furtką i zadzwoniła. Po chwili w drzwiach ukazała się postać starszego mężczyzny. Dziewczyna skłoniła głowę i się uśmiechnęła.

– Dzień dobry, Weronika Maszczyk jestem, z „Wiadomości Tarnogórskich”.

– Dzień dobry, pani redaktor, wlyźcie rajn¹⁹.

Franciszek Kampka był postawnym i żwawym staruszkiem. Starczo chudy i przygarbiony, o pomarszczonej głęboko twarzy, żylastych rękach i wystających ramionach, patrzył na dziennikarkę jasnymi, rozwodnionymi oczyma, które w przeszłości musiały być intensywnie niebieskie. Gęste, siwe włosy, zaczesywane od dziesiątek lat do tyłu głowy, teraz niesfornie opadały na boki, nadając twarzy odrobinę młodzieńczego rysu.

– Proszę, proszę za mną... – Kuśtykając, pan Franciszek prowadził Weronikę przez kuchnię do dużego pokoju. Na stoliku,

przy fotelach z epoki późnego Gomułki, obłożonych ciemnozielonymi, włóczkowymi narzutami, czekały już równie stylowy serwis i piaskowa babka. Wkrótce pojawiła się też kawa.

– Śmietanki? – Dziadek szarmancko obsługiwał dziennikarkę. Był miły i uprzejmy, wciąż się uśmiechał, a wówczas prawy kącik ust w niekontrolowany sposób dziwnie uciekał w górę, tworząc przy okazji charakterystyczną zmarszczkę na policzku.

– Wiync piszecie pani artykuł ô naszym zōmku? – Odkąd odezwał się po raz pierwszy, w jego głosie pobrzmiwał silny akcent górnośląski.

– Tak, w ramach krajoznawczego cyklu chcemy przybliżyć mieszkańcom i gościom powiatu dzieje zabytkowych obiektów – odpowiedziała polszczyzną z udawaną, wyraźną warszawską nutą, która dzięki mediom zyskała opinię jedynie poprawnego języka. – Pierwszy był tekst o kościele Świętego Marcina w Starych Tarnowicach.

– A wiycie, że w tamtejszyj krypcie pogrzybani sōm grofy ze zōmku?

– Tak, czytałam o tych trumnach, czaszkach i w ogóle.

– Byliście tam, pani, w tyj krypcie?

– Nie, a pan?

– Ja, bōlech, ale downo tymu. Wróćmy jednak do tematu – od czasu do czasu pan Franciszek z górnośląskiego przechodził na język polski, po czym mimowolnie powracał do języka serca, Muttersprache, jak sam by powiedział. – Na pałac żodyn tukej nie powie inaczyj jak zōmek. Bōł tu jedyn taki filozof, co godoł, że to niy jes żōdyn zōmek, ino pałac, bo jes reprezentacyjny, fest szykowny i coś tam jeszce.

- Chyba miał rację?

- Można i miōł, ale tukej zawsze godali my zōmek, poza tym proszę pamiętać, że zanim zbudowano pałac, w tym miejscu stała rycerska wieża. A w niej chronili się w razie niebezpieczeństw właściciele i ich służba.

- O! Interesujące. Kiedy to było? - Wyciągnęła małego notebooka i po chwili zastukała w klawisze.

- To wszystko znajdzie pani w którejś z książek o historii miasta i okolic. Zresztą już je pani pewnie przeczytała.

- Oczywiście - skłamała, bo chyba umarłaby z nudów, gdyby faktycznie miała je przestudiować.

- Przejdźmy więc do spraw, kerych niy znojdziecie w ksiōnżkach. Jeszcze trocha kawy?

- Poproszę, smaczna ta kawa - szczerze odpowiedziała.

- Niyemiecko, zarozki to czuć, pra?

„Pra, pra - pomyślała”, ale na głos powiedziała tylko:

- Pan mieszka w Rybnej od urodzenia, prawda?

- Tak, urodziōch sie dwa domy dalij. Mojo mutter robiōła u ôstatniego grofa we zōmku Egon von Koschützkiego.

- Czym się zajmowała mama? Pracowała na polach hrabiego?

- Niy, bōła kindermjdlom²⁰.

- Słucham?

- Przepraszam, no, tako ôpiekunka do dziecków.

- Guwernantką, znaczy się, była?

- No, powiydzmy, choć Bogiem a prawdą, to wele guwernantki nikey nawet niy stoła²¹. Von Koschützcy byli dość zamożną rodziną, ale dobrze żyli z mieszkańcami wsi. Niy zatrudniali wiync żodnych

francuskich lokajów, ino samych miejscowych. Tak *à propos*, to, wiycie pani, kiedyś to bōła sam, na Rybnej richtig²² wieś, niy to, co terazki, podmiejski zidlung²³ pobudowali. Jeszce ze dwajścia lot nazōt²⁴ to prawie kōždy tukej kury trziymoł, świnie i krowy tyż się zdorzały, a królików i yntów²⁵ bōło w pierony. Wiycie, co to som ynty? No ja, niy wiycie, skōnd macie wiedzieć, ale niy szkodzi, dyc nic wielkigo to niy jes...

Pan Franciszek rozgadał się na dobre, a Weronika wyłączyła się na chwilę z rozmowy, wyłapując uchem jedynie co bardziej istotne dla interesującego ją tematu informacje. Z rosnącym zaciekawieniem rozglądała się za to po pokoju, który z całą pewnością nie przypominał izdebki moherowego kmiotka, jaką wyobrażała sobie zastać. Na ścianach wisiały upozowane fotografie pana Franciszka w towarzystwie eleganckiej kobiety, na tle różnych charakterystycznych miejsc: Brama Brandenburska, kopuła bazyliki pod wezwaniem Świętego Piotra – tyle zdołała rozpoznać – poza tym wiele katedr i pomników, które wyglądem niczego nie mówiły jej o swojej lokalizacji.

Na masywnym regale karnie stały w szeregu legiony książek. Dziewczyna spoglądała na nie kątem oka. Większości tytułów nigdy nie zgłębiła, w czasie studiów odkładając lekturę na później. Koszmarne dialogi *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna skutecznie odstręczyły ją już w połowie pierwszego tomu. Znajomością *Ulissesa* Jamesa Joyce'a wprawdzie wypadało się pochwalić w towarzystwie, ale nie znała nikogo normalnego, kto by zrozumiał szurniętego Irlandczyka. *Wspomnienia z domu umarłych* Fiodora Dostojewskiego. „Litości! Chyba dziadzio tego wszystkiego nie przeczytał?”, pomyślała.

- ...bo Egon von Koschützki miał auto, czarnego mercedesa knighta - pan Franciszek dokończył zdanie.

- Chyba jedyny samochód w promieniu kilkudziesięciu kilometrów?

- Kaj tam, proszę pani, drugie miał dyrektor Friedrichshütte we Strzybnicy, jakiś kilometr dalej. Jak we lato von Koschützki wyjeżdżał spod zōmku, wzniecał tumany pyłu, a bajtla²⁶ po bosoku goniły automobil ze grofym za kierownicą. Bo, musicie wydzieć, prowadziōł osobiście. Często samodzielnie powoził też bryczką, jeździł konno. Grof niy bōł z tych, co to bułkę przez bibułkę, jak to się terazki godo. Swoje za uszami na pewno miał, jak każdy, pra?

- Co na przykład? - przytomnie przerwała opowieść.

- Hmm, ponoć miał niyślubne dziecka - odpowiedział po chwili wahania. - W każdym razie ludzie go lubiyli, to jest pewne.

- A jak to było z jego ucieczką z Rybnej?

- O, von Koschützcy wcale niy uciykli! - z delikatnym oburzeniem w głosie odpowiedział starzec. - Po zakończeniu trzeciego powstania śląskiego i ostatecznym ustaleniu granicy pomiędzy Republiką Weimarską i Rzeczpospolitą Rybna przypadła Polsce. Ale przeca²⁷ granica bōła zarozki za zōmkiem, może jakiś kilometr, Miedary i Laryszów bōły już niymiecke. Grof oczywiście często wyjeżdżał na drugo strōna granicy, do rodziny i w interesach, wiadomo. Jak kōždy miyszkaniec autonomicznego województwa śląskiego mógł to robić bez zbędnych ceregieli, paszportów i inszych papiurów. Mimo tego polscy celnicy skutecznie utrudniali mu życie dodatkowymi formalnościami, rewizjami samochodu. Nie stroniła też od tego polsko administracja, keryj zależało na pozbyciu się Niymców z tego ślizyka²⁸ Górnego Śląska, kery przypod Warszawie.

W prasie ukazywały się ôstomajte²⁹ artykuły, nieprawdziwe i krzywdzące von Koschützki, z kerych polskie redactory zrobiōły germańsko arystokracjo, wyzyskujonco biydny polski lud. Takie to bōły czasy, proszę pani. Więc zōmek sprzedali i wyjechali na drugo strona granicy. Mutter mi godali, co nawet trumny ze sobom wziynli.

– Te z krypty w Starych Tarnowicach?

– Niy, tyn kościół jes katolicki, a von Koschützcy byli waniylikami³⁰. Ich groby z granitowymi, czornymi dynkmalami³¹ bōły we lesie, zarozki³² za zōmkiem, we Hannowaldzie. Noprzód pochowali tam matka Egona, Anna, potym brata, Hanno, kery zginął podczas piyrszyj wojny światowyj. Jego nazwisko zostało uwiecznione w spisie poległych, znajdującym się we waniylickim kościele na rynku. I to ôd niego wziona się nazwa tego placu. A na końcu pogrzebali sam³³ Richata, ôjca Egona i Hanno. – Umilkł. – To co, może się przejdziemy, pokoża pani tyn Hannowald?

– Chętnie – odpowiedziała Weronika, której spotkanie zaczynało już trochę się dłużyć.

Pan Franciszek zabrał laskę i przepuścił dziewczynę przodem. Na klatce schodowej, spoglądając w górę, krzyknął, że wychodzi z tom frelom³⁴. Nikt mu jednak nie odpowiedział. Ostrożnie pokonał kilka schodków prowadzących z lauby na chodnik. Poruszał się powoli, co jakiś czas przystając, opierał oburącz na lasce i rozglądał wokół zupełnie tak, jak gdyby nie mógł tego zrobić, idąc.

– O tam, wejrzyjcie sie, widzicie te drzewa? – Wskazał widniejącą w oddali po prawej stronie kępę drzew. – To tam prawie jes Hannowald. A w tym budynku bōła z kolei krowsko chlywnia – powiedział, gdy dotarli pod potężny obiekt z czarnego kamienia. – Kiedy podczas drugiej wojny światowej we zōmku zamieszkała

Marie Henckel von Donnersmarck, krów było kajś³⁵ ôziymdziesiont sztuk. W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego ruskie wszystkie pognali w strona Pyskowic. Oczywiście żōdno niy prziszła nazot. Naprzeciw chlewni stōły jeszcze inksze zabudowania gospodarcze, a pomiędzy nimi, na środku placu bōł stow, w kerym pojono gadzina³⁶.

W końcu znaleźli się przed bramą pałacu. Była otwarta na oścież, jak zwykle zresztą. Na podjeździe, tuż przed fasadą stał radiowóz. Na zewnątrz nie było jednak nikogo.

– Oto i nōsz zōmek, piykny, pra?

– Piękny – odparła. – Ale cóż, dziękuję panu za miłe spotkanie i interesujące opowieści. – Uśmiechnęła się. – Proszę spodziewać się artykułu w „Wiadomościach” za jakieś dwa tygodnie.

– Jak ino dożyja, na pewno przeczytom. Do widzenia! – Pan Franciszek uśmiechnął się życzliwie do dziewczyny, podał jej pokrytą przezroczystą skórą dłoń i swoim tempem odszedł w stronę domu.

Rozdział IV

Przeszła przez bramę i podejściem po łuku udała się do pałacu. Przystanęła przed otwartym skrzydłem przeszklonych drzwi z klamką w kształcie lwiej głowy. Zarówno w obejściu, jak i w hallu było całkiem pusto, zupełnie inaczej niż podczas uroczystego przyjęcia z okazji święta Gwarków dwa dni temu, kiedy wszędzie kłębił się dziki tłum eleganckich gości.

Już miała wejść, ale nim przekroczyła próg, odwróciła się i postanowiła najpierw obejść pałac dokoła. Jego charakterystyczna fasada nie była dziewczynie obca. Pomyślała nawet, że zdążyła się z tym widokiem już dawno oswoić i że jako mieszkanka miasta nie potrafi do końca docenić jego uroku. Zeszła z kamiennego podestu i skręciła w lewo. Tuż za węglem zawiesiła oko na kamiennej płycinie z datą tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt sześć. Ale w porównaniu z reprezentacyjnym krótszy bok obiektu nie przedstawiał się już tak okazale, jedynym urozmaiceniem ściany był wąski, prosty portal z białym obramieniem, schodkami i stylową latarnią.

Po chwili znalazła się na tyłach pałacu. Po imprezie nie było już śladu. Brązowe krzesła i stoliki stały na swoich dawnych miejscach, wszędzie panował porządek. Nagle z bliskiej odległości usłyszała głos. Przystanęła w cieniu balkonu, na górze którego najwyraźniej znajdowali się rozmawiający. Byli to mężczyźni, jeden o głosie

bezbarwnym, lekko nosowym i drugi, mówiący nisko i chropowato jak nałogowy palacz.

- Tu nie ma śmiechu. Tego nie da się zamieść pod dywan - odezwał się palacz.

- Wiadomo, sprawa jest międzynarodowa - odpowiedział mu drugi.

- Tylko co my, kurwa, możemy zrobić z naszymi kadrami, z naszym sprzętem i finansami, no co?

Na krótko zapanowało milczenie, bo pytanie okazało się aż nazbyt retoryczne. Po chwili ten sam głos zdecydował:

- Dobra, spadamy stąd.

Weronika zauważyła, jak na betonowej kostce, którą wyłożony był taras za dworem, wylądował niedopałek. Głosy ucichły. Podsluchując rozmowę, poczuła się jak szpieg, toteż korzystając z tego, że rozmówcy zniknęli, postanowiła wrócić przed front rezydencji i zajrzeć do środka.

W wejściu prawie zderzyła się z wychodzącymi dwoma mężczyznami i towarzyszącym im dyrektorem. Jak zwykle z wyszukaną uprzejmością Krawiec poprosił ją, by poczekała na niego w hallu, aż odprowadzi gości. Usiadła na miękkiej sofie. Z daleka dobiegły ją urywki rozmowy odchodzących. Uświadomiła sobie, że głosy, które słyszała wcześniej z balkonu, musiały należeć właśnie do nich.

Położyła głowę na miękkim oparciu. Spojrzała w górę, gdzie rozciągało się kolebkowe sklepienie. Nie znała się ani na historii, ani na architekturze, ale wydało jej się idealne: ciężkie, masywne, nisko zawieszony - w sam raz takie, jakie powinno znajdować się w zabytkach.

- Do usług, czym mogę służyć? - Dyrektor stanął na baczność przed dziennikarką. Zmieszała się i również wstała. Opowiedziała o artykule, który pisze, o wizycie u Franciszka Kampki i że chciałaby rzucić jeszcze okiem na wnętrza. Oczywiście dyrektor nie miał nic przeciwko. zaproponował herbatę i gdy usiedli przy stoliku, wręczył Weronice książkę o historii obiektu i zamieszkujących go rodzin. Następnie wydelegował pracownicę, by oprowadziła dziewczynę po budynku. Obiecał, że zjawi się jeszcze, by pożegnać - jak powiedział - mass media, nieśmiało się uśmiechnął i zniknął.

Okazało się, że poza parterem i trzema salami koncertowymi na piętrze wewnątrz pałacu było jej zupełnie nieznane. Nie miała pojęcia o urządzonych ze smakiem i pustych obecnie pokojach hotelowych w mansardzie. Wrażenie zrobił też na niej potężny strych ze skomplikowaną konstrukcją dachu. Stwierdziła jednak, że z całą aparaturą wodną i grzewczą piwnica przedstawia się nader nowocześnie i na żadne lochy, pajęczyny i inne ślady przeszłości nie ma w niej co liczyć. Po trzech kwadransach zagłądania we wszystkie zakamarki zdecydowała, że materiału na artykuł ma aż nadto, i postanowiła wracać.

Miejsce małomówniej dziewczyny, która do tej pory towarzyszyła Weronice, zajął niespodzianie dyrektor.

- Usiądźmy jeszcze na minutkę - zaproponował.

W zasadzie wolą już wyjść, ale nie potrafiła odmówić.

- Bo widzisz, jest taka sprawa... - Dyrektor wyglądał na zmieszanego. - Zmarł jeden z gości hotelu.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - próbowała żartem rozrzedzić atmosferę.

- No, w zasadzie to nie tyle zmarł, ile raczej ktoś mu w tym pomógł – kontynuował.

- Co? – Informacja, którą przekazał dyrektor, wydała jej się niemal niewiarygodna. Natychmiast jednak wyczuła w niej materiał na sensacyjny artykuł, którym z przyjemnością mogłaby się zająć. Wyciągnęła więc notatnik i nadstawiła ucha.

- Nie, schowaj to, proszę. Nie chcę sprzedać ci tajemnicy, jest wręcz przeciwnie. Próbuję właśnie ratować renomę tego miejsca, a ta niebawem może runąć.

- Co zatem mogę dla ciebie zrobić? – starała się nie dać po sobie znać, że jest zadowolona z faktu, że dyrektor o pomoc prosi ją, początkującą przecież dziennikarkę.

- Zdaję sobie sprawę, że każde zabójstwo w Tarnowskich Górach jest sensacją samą w sobie. Cóż dopiero w takiej Rybnej! Ludzie będą tym żyli przynajmniej przez rok. I nawet trudno im się dziwić. Jest więc całkiem naturalne, że sprawę prędzej czy później opiszą również lokalne media. I tu właśnie miałbym prośbę do ciebie. Bo w końcu los tej instytucji kultury nie jest ci zupełnie obcy?

Przytaknęła, choć sama przed sobą nie mogła przyznać, że obawa o przyszłość pałacu spędzałaby jej sen z powiek.

- Czy mogłabyś tak sformułować ten komunikat, by – zawahał się na moment – nazwa pałacu w Rybnej nie pojawiła się w ogóle w tekście?

- Wcale nie jest powiedziane, że to ja będę o tym pisać.

- O tym też pomyślałem. Dlatego, jeśli pozwolisz, zaraz zadzwonię do naczelnej, powiem jej o całej sytuacji i obiecuję przekazać tobie właśnie, skoro już tu jesteś – mrugnął porozumiewawczo okiem – niezbędne informacje.

- No, to zdecydowanie zwiększyłyby prawdopodobieństwo.

- Świetnie. Zrozum, proszę, że moim celem nie jest zamach na wolność słowa... - Uśmiechnął się smutno. - Staram się tylko dbać o prestiż instytucji, którą kieruję. A informacja o morderstwie gościa hotelu z całą pewnością nie przyczyni się do budowy pozytywnego wizerunku takiego miejsca. Zgodzisz się ze mną?

- Chyba, że chcesz budować markę hotelu Halloween - dodała z przekąsem i od razu tego pożałowała, bo dyrektor Krawiec zdecydowanie nie miał nastroju do żartów. Nie odpowiedział, więc wykorzystwała okazję i zapytała: - Czy morderstwa dokonano tu, w pałacu?

- Na całe szczęście nie tutaj. Nie wiem nawet, czy mogę cię wprowadzić w szczegóły - dodał po chwili. - Wszystko powinno znaleźć się raczej w komunikacie prasowym policji, ale skoro zgadzasz się spełnić moją prośbę, chyba nie mam wyjścia.

- Gdzie zatem?

- Ciało gościa znaleziono w lesie za pałacem.

- Jak go zamordowano?

- Niestety nie wiem. Policja nie chciała powiedzieć.

- A kim był ten gość? - Nie miała zamiaru spełniać prośby zupełnie bezinteresownie.

- Przyjechał w interesach z Niemiec. Oczywiście szczegółów nie znam, przecież nie spowiadał się u mnie.

- Czyli to pewnie morderstwo na tle biznesowym - raczej stwierdziła, niż zapytała. Dyrektor miał taki wyraz twarzy, jakby gorzko żałował, że o cokolwiek poprosił dziennikarkę.

- Nie mam pojęcia. Nie ja prowadzę śledztwo w tej sprawie. Podrzucić cię gdzieś?

Zrozumiała, że więcej informacji od niego nie wyciągnie i że dalsze przepytывanie byłoby już mocno niestosowne. Spojrzała na zegarek i choć nie miała pojęcia, o której odjeżdża autobus do centrum, podziękowała. Pożegnali się i wyszła. Idąc podjazdem po białym żwirze, czuła na swoich plecach wzrok niewidocznego, ukrytego za firanką dyrektora. „Ale historia!”, pomyślała z mieszaniną strachu i niezdrowego podniecenia.

Zmierzając na przystanek, zastanawiała się nad formą artykułu, który, jeśli tylko plan dyrektora się powiedzie, przyjdzie jej pewnie jeszcze dziś napisać. Zawsze to właśnie chciała robić: pisać teksty, które będą czytane z wypiekami na twarzy, a nie będące sztucznym wypełnieniem ostatnich stron gazety. Teksty, które poruszą odbiorcę, będą szeroko komentowane, dzięki którym wzrośnie nakład czasopisma, znajdą się nowi reklamodawcy, a ona otrzyma jakąś ważną nagrodę i zdobędzie upragnioną renomę.

Z marzeń, w które zatopiła się teraz bez reszty, wyrwał ją nagle samochód wyjeżdżający z posesji cokolwiek nazbyt gwałtownie. Zatrzymała się i już miała zmieszać kierowcę z błotem, gdy zza uchylonej do połowy szyby usłyszała:

– Weronika?!

Spojrzała na twarz szofera i równie zdziwiona odpowiedziała:

– Karol?!

W okamgnieniu kilka wspomnień jak taśma filmowa, krótki pokaz slajdów przebiegło jej przed oczami. Seans w kinie, spacer w parku przy ulicy Wyszyńskiego, piwo w knajpie, leśna przejażdżka rowerem, długie rozmowy, jej dłoń w jego dłoni. Mrugnęła i reminiscencja zniknęła.

- Prawie potraciłbyś mnie, człowieku! - z uśmiechem, ale groźnie wykrzyczała w kierunku kierowcy.

- To tak mnie witasz po latach? Ale co ty robisz w Rybnej?

- A ty?

- Mieszkam.

- W tym domu? - Wskazała na stojący na posesji budynek i stanęła jak wryta, bo wówczas dopiero uprzytomniła sobie, że to przecież ten sam dom, w którym przed godziną spotkała się z panem Franciszkiem.

- Tak, w tym. A co? - zapytał zdziwiony jej zdziwieniem.

- A nic - opanowała się. - Ładne macie schody na piętro.

- Jakie schody? - Wyglądał na szczerze zdziwionego.

- No, te stare, drewniane, w ciemnym kolorze - odpowiedziała z szelmowskim uśmiechem.

- Co ty pleciesz? Nie, zaraz, poczekaj. Spotykam dziewczynę, której nie widziałem dobrych kilka lat, i zaraz potem dowiaduję się, że w moim własnym domu są ładne schody, o których ona nie mogła wiedzieć, bo zostały pomalowane przed kilkoma miesiącami...

- Mogę wsiąść? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, obeszła samochód i zajęła miejsce po stronie pasażera, po czym zakomenderowała: - Poproszę do centrum.

Samochód gładko sunął w dół ulicy Powstańców Warszawskich, a następnie Starowapienną, gdzie wśród pól, w zupełnie przypadkowych miejscach trwały budowy domów. Wyglądało to tak, jak gdyby nikt nie panował nie tylko nad ich lokalizacją, ale również - formą. Każda konstrukcja wydawała się inna, a i te już ukończone potwierdzały, że nie obowiązywały tu jakiegokolwiek reguły, poczucie estetyki zaś ograniczało się do równo przystrzyżonej trawy.

W aucie panowała cisza. Odkąd tylko ruszyli, nie padło ani jedno słowo. Obydwoje uparcie wpatrywali się w przednią szybę, ani razu nie spoglądając na siebie. Pierwsza odezwała się Weronika:

– Pan Franciszek jest twoim dziadkiem?

– Tak. – I znów milczenie. – Czy możesz mi powiedzieć, co to za gierka i o co w niej chodzi?

– Daj spokój. Naprawdę przechodziłam tamtędy przypadkiem. Piszę artykuł historyczny o pałacu, z którego wracałam, kiedy chciałeś mnie przejechać. – Uśmiechnęła się. – A kilka godzin wcześniej spotkaliśmy się z twoim dziadkiem w jego mieszkaniu. Które okazało się również twoim. Ot, cała tajemnica.

– Przepraszam. To wszystko wyglądało tak nienaturalnie. Poza tym jestem dziś niekumaty, nie wyspałem się.

– W każdym razie miło cię znów widzieć.

– Ciebie również. Może spotkamy się po południu? – zaskoczył ją tym pytaniem.

– Czemu nie? Ale dziś nie mogę, może jutro?

– O siedemnastej w Wiśniowym Sadzie?

– Okej. Wysadzisz mnie w centrum?

Zaparkował pod samą redakcją. Wysiedli oboje i pożegnali się, podając sobie dłonie. Nim zamknęła za sobą drzwi budynku, gdzie mieściła się siedziba „Wiadomości”, spojrzała za siebie przez ramię i dostrzegła, że Karol szybkim krokiem przechodził przez ulicę. Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Nie miała jednak ku rozmyślaniom specjalnej okazji, gdyż właśnie przekroczyła próg redakcji.

Nie zdążyła jeszcze dobrze usiąść, gdy została poproszona do gabinetu naczelnej. Słyszając o nim po raz pierwszy, wyobrażała sobie

skórzane fotele, masywne biurko, sterylność i wszystko to, co stanowiło o prestiżu szefostwa. Tymczasem gabinet Heli okazał się najzwyczajszym pokojem wyposażonym w biurko, stół i kawałek meblościanki, której bliźniaczy segment stał w pomieszczeniu zajmowanym przez Weronikę i Maćka.

Zgodnie z przewidywaniami dyrektora Krawca naczelna powierzyła dziewczynie redakcję krótkiej notki na temat morderstwa w Rybnej. Poleciała, aby tekst był syntetyczny, esencjonalny i pozbawiony jakichkolwiek emocji, których, jak dodała, wcale nam w tej chwili nie potrzeba. Zasugerowała również nawiązanie kontaktu z rzecznikiem komendy powiatowej policji, który mógłby autoryzować notkę.

Czasu nie było wiele. Informacja jeszcze dziś miała zostać opublikowana na stronie internetowej „Wiadomości”. Niezwłocznie przystąpiła więc do pracy. Porozumiała się z rzecznikiem, który wcale nie był zdziwiony, że prasa już wie o zdarzeniu. Powiedział kilka ogólników i obiecał przesłać zwięzły komentarz bezpośrednio na adres e-mail dziennikarki.

Po zatwierdzeniu treści przez Helę, która nie omieszkała wprowadzić kilku delikatnych, jak twierdziła, choć w opinii Weroniki niepotrzebnie wyjaławiających komunikat poprawek redakcyjnych, informacja pod tytułem „Śmierć w Rybnej” została wprowadzona na stronę tygodnika.

W niedzielę 15 września w dzielnicy Tarnowskich Gór Rybnej znaleziono zwłoki mężczyzny. Na miejsce wezwano ekipę dochodzeniową. – Nie udzielamy żadnych innych informacji na temat zdarzenia – mówi komisarz Radosław

Klimuszko, rzecznik tarnogórskiej Policji. Tożsamość zmarłego nie została podana do publicznej wiadomości. Wiadomo jedynie, że był obywatelem Niemiec, czasowo przebywającym w mieście w celach biznesowych. Ciało znaleziono w miejscowym lesie. Na razie nie poinformowano, czy śmierć mężczyzny była spowodowana przez osoby trzecie. O przyczynach zgonu będzie wiadomo po sekcji zwłok zarządzanej przez prokurator Hannę Kozielską-Niedzielską.

Zerknęła na notatkę po raz kolejny i nie znalazłszy w niej błędów, wyłączyła komputer i wyszła z redakcji. Czekał ją wieczór z historią pałacu, którą zaplanowała poznać do jutra rana.

Rozdział V

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, WTOREK

Był kwadrans po szesnastej, kiedy opuściła zabytkowy budynek ratusza w srebrnym mieście. Tym mianem powszechnie zwano Tarnowskie Góry, zbudowane w szesnastym stuleciu wokół okolicznych kopalni rud ołowiu, srebra i cynku. Choć od ponad stu lat wydobycia kruszców poniechano, nadal stanowiły one atrybut dumnych mieszkańców wolnego miasta górniczego, znanego szerzej dzięki swej głównej atrakcji turystycznej – Zabytkowej Kopalni Srebra i Sztolni Czarnego Pstrąga.

W głowie Weroniki Maszczyk szumiało od nadmiaru wrażeń, gwaru, błyskających fleszy i wypitego na raucie alkoholu. Rozmowy kularowe, wywiady, kamery lokalnej telewizji, wreszcie naszpikowane elektroniką, lśniące nowością samochody straży miejskiej, których zakup fetowano. Dziewczyna miała poczucie dobrze spełnionego obowiązku, zebrała bogaty materiał, ale czuła się zmęczona.

Usiadła na wolnej ławeczce w cieniu lichego klonu we wschodniej pierzei rynku. Postanowiła odpocząć chwilę i uporządkować przeżycia kilku ostatnich godzin. A tych nie było wcale mało: intensywnie pachnący piżmem burmistrz miasta, który traktował młodą dziennikarkę z wyszukaną grzecznością, wyniosły senator z ręką utkwioną stale w kieszeni, tłum radnych miejskich

i powiatowych, z których każdy miał do wygłoszenia złotą myśl własnego chowu, oraz wszyscy ci nobliwi mieszkańcy, honorowi obywatele miasta, artyści i działacze o dostojnych obliczach, zatroskanych minach i siwizną przyprószonych skroniach.

W redakcji twierdzili, że to ekipa starych nudziarzy, w stałym składzie przemieszczająca się stadnie z imprezy na imprezę i z bankietu na bankiet, towarzystwo wzajemnej adoracji o repertuarze ograniczonym do kilku wyuczonych formułek i pieczołowicie wystudiowanych przed lustrem wielkopańskich póz. Przytakiwała bardziej doświadczonym kolegom, w końcu co miała zrobić, ale zwłaszcza teraz, po zakończeniu uroczystości, w ich opinii widziała więcej złośliwości niż odbicia rzeczywistości. A może w zdaniach wypowiedzianych przez dziennikarzy „Wiadomości” kryła się też zazdrość? Nie miała sił roztrząsać tej kwestii akurat teraz.

Upał zelżał, a słońce wytrwale zmierzało w stronę kościoła pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła, którego wieżę zasłaniała bryła ratusza. Na rynku zrobiło się pustawo, nie licząc kilku gości przy kawiarnianych stolikach rozstawionych wokół przypominającego UFO plastikowego klosza, gdzie od kilku lat mieściła się jedna z knajp. Niedobitki radnych opuszczały zwijającą się imprezę i wzajemnie kłaniając się sobie, oddalali się każdy w swoją stronę. Z prawej strony mężczyzna w czarnej marynarce i ciemnej koszuli otwarł jedno skrzydło drzwi kościoła ewangelickiego, po czym zniknął w jego czeluściach.

Zobaczywszy go, Weronika uzmysłowiła sobie, że jeszcze nigdy nie była we wnętrzu świątyni, która w ciągu tygodnia zazwyczaj pozostawała na głucho zamknięta. Niewiele myśląc, wstała i skierowała się w stronę stylowego szarego budynku o wysmukłej

wieży i czerwonym dachu, do którego obecności była tak przyzwyczajona, że podobnie jak większość mieszkańców przestała go dostrzegać. Wejście prowadziło doń przez portal wsparty na dwóch neoromańskich kolumnach o bogatych w ornamenty roślinne kapitelach i przykryty frontonem z regularnych ciosów kamiennych.

Na afiszu przyklepionym do zabytkowych drzwi kościoła taśmą klejącą przeczytała: „Burmistrz miasta i proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej w Tarnowskich Górach zapraszają na koncert organowy. W programie: Johann Sebastian Bach, *preludium i fuga G-dur*, BWV 541, Dietrich Buxtehude, *passacaglia d-moll*, BuxWV 161, Felix Mendelsshon Bartholdy...”.

„A więc to z powodu koncertu”, wydedukowała. Nigdy nie interesowała jej muzyka klasyczna, a już z całą pewnością nie w sakralnym wydaniu, nie obchodziły jej wszystkie te lacrimosy, kantaty i inne nabożne lamenty i pienia.

Przekroczyła próg świątyni. Posadzka znajdowała się nieco poniżej poziomu rynku. Zeszła po paru stopniach i znalazła się pod chórem. Przyjemny chłód ogarnął jej odkryte ramiona. Silnie zapachniało stęchlizną. Pomyślała, że odór w wersji ewangelickiej niczym nie różni się od katolickiego, do którego była jako tako przyzwyczajona. Na ścianie po lewej stronie wisiały stare obrazy w drewnianych ramach. Nie poświęciła im szczególnej uwagi. Nie znała się na malarstwie, nie potrafiła ocenić ani ich wieku, ani wartości artystycznej. Noga za nogą, środkiem nawy powlokła się w stronę ołtarza. Wydał jej się nieco dziwaczny, w każdym razie inny, niż miała okazję widywać do tej pory.

Wzdłuż wszystkich ścian świątyni biegł murowany balkon, wspierający się na kolumnach o bogato zdobionych i barwnych kapitelach. W prezbiterium, nad ołtarzem balkon miał nadbudowany drugi poziom, niczym wykusz lekko odstający od pionu. Podobną konstrukcję zauważyła na przeciwległej ścianie, gdzie na wyższym piętrze mieściły się organy.

Zadarła głowę. Pomalowane na różowo sklepienie składało się z pięciu przęseł o różnej rozpiętości: dwa z nich były szerokie, pozostałe zaś węższe; poza drugim – krzyżowym, wszystkie w typie beczkowym. Przez rozetę na południowej ścianie sączyło się różnobarwne światło, które ukosem opadało na rząd bejcowanych ławek i wzorzystą posadzkę, ułożoną z kwadratowych płytek: czerwonych, czarnych, białych i szarych. W środku świątynia sprawiała wrażenie o wiele przestronniejszej, niż można to było wnosić, spoglądając na budynek z zewnątrz.

Weronika przycupnęła w jednej z pierwszych ławek w lewym rzędzie. Była zupełnie sama. Przestrzeń, charakterystyczna woń, wirujące w smudze światła pyłki kurzu, panująca tu cisza i harmonia, jaką wzbudzał porządek architektoniczny, sprawiały, że miejsce wydało jej się wyjątkowe i nieomal magiczne, a w każdym razie o wiele bardziej uduchowione niż wypełnione wiernymi kościoły rzymskokatolickie, które odwiedzała kilka razy do roku z okazji świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy i rodzinnych uroczystości.

Pomyślała, że w ciągu kilku chwil z gwarne przyjęcia przeniosła się do innego pod każdym względem świata. Wystarczyło tak niewiele. Tylko przejść przez rynek.

Relaksowała się. Z uwagą studiowała płyciny na zewnętrznych murkach balkonu. Zauważyła, że architekt nadał każdej z nich inną formę. – Śnieżnobiałe zawijasy efektownie prezentowały się na pastelowym tle. Z boku nawy, na cienkiej nóżce umieszczono drewnianą tabliczkę z rowkami, w które ktoś wsunął płytki z cyframi i literami wskazującymi psalmy i czytania liturgiczne. Po obydwu stronach ołtarza stały latarnie o mlecznych kloszach w kształcie kwiatów, pod którymi rozwijały się żelazne listki.

Rozprostowała nogi. Z zainteresowaniem rozglądała się po wnętrzu, nieznane okazywało się zaskakująco zachęcające. Na północnej ścianie kościoła, na wysokości miejsca, które zajęła, wypatrzyła tablicę. Z odległości nie potrafiła rozpoznać, co zawierała, więc postanowiła podejść i przyjrzeć jej się z bliska. Wstała. Ze zlewających się początkowo zawijasów powoli wyłaniało się pismo gotyckie. Ozdobne litery o łamanych konturach układały się w wyrazy, które tworzyły regularne kolumny. Niewprawne do lektury szwabachy oko dziewczyny nieporadnie ślizgało się po dukcie, zahaczając o ostre zakończenia liter, które dopiero po dłuższej obserwacji wykazywały jakie takie pokrewieństwo ze współczesnym alfabetem.

Powoli i w skupieniu odszyfrowywała wykaligrafowaną po niemiecku treść. Choć znała zaledwie podstawy tego języka, z daty umieszczonej w tytule wywnioskowała, że tablica zawiera spis poległych na frontach I wojny światowej mieszkańców Tarnowskich Gór i okolicznych wiosek. Czerwoną farbą oznaczono nazwy miejscowości. Przeskakiwała wzrokiem z wyrazu na wyraz, próbując odnaleźć wśród nich aktualne dzielnice miasta: *Pniowitz, Piassetzna, Alt-Tarnowitz, Repten, Rudÿ-Piekar*. I męskie imiona żołnierzy: *Anton,*

Wilhelm, Friedrich, Heinrich, Georg. W ostatniej części spisu dostrzegła napis *Rybná*. Pod nazwą wioski zanotowano nazwisko tylko jednej osoby. Skoncentrowała się i po chwili udało jej się odczytać: *von Koschützki Hanno*.

– Eureka! – ucieszyła się z odkrycia, przypominając sobie jednocześnie, że podczas wczorajszego spotkania o tablicy wspominał pan Franciszek. Postanowiła też koniecznie wykorzystać ten wątek w poświęconym pałacowi artykule, który wciąż pozostawał nieukończony.

W tym momencie wyczuła delikatny zapach męskich perfum, a po chwili ciepłe tchnienie za plecami. Miała wrażenie, że ktoś za nią stał. Nie widząc go i nie słysząc, innymi zmysłami odbierała obecność drugiego człowieka, wyczuwała go. Był blisko, bardzo blisko.

Stała nieruchomo, ledwie oddychając. Od stóp po czubek głowy przebiegł ją impuls, który niezauważalnie drgnął jej ciałem. Nagle poczuła się jak sparaliżowana. Nie potrafiła znaleźć w sobie dość siły ani odwagi, by się poruszyć, odwrócić głowę i zweryfikować to, co podpowiadał jej szósty zmysł. Wzrok utkwiała w tablicy z poległymi, ale już jej nie widziała. Zmieniła się w osaczone zwierzę, które przeczuwa, że w mgnieniu oka padnie strzał. Rezygnuje więc z dalszej ucieczki, zatrzymuje czas, wydłuża go, zastyga w ostatniej chwili swego istnienia, delektuje się ostatnim oddechem.

Wydawało jej się, że zegar stanął w miejscu. Później nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, jak długo trwał ten stan niemocy. Był jak hipnoza. Poza przemożnym, obezwładniającym strachem niewiele zdołała z niego zapamiętać.

Nieoczekiwanie z chóru dobiegł odgłos kroków. A po chwili rozległ się dźwięk organów. Piszczalki instrumentu wyświstywały melodię. Niższy ton, przytłumiony i leniwy, trwał, a na jego tle wibrowały wyższe, żwawe nuty. Ćwicząc przed koncertem, organista wygrywał coś refleksyjnego. Muzyka wyrwała ją z niemocy. Odwróciła się. Poza nią i organistą na chórze nikogo innego w nawie świątyni nie było. Tylko poświata przy wejściu zdawała się mrugnąć, jakby na krótki moment zgasła. Albo jakby ktoś przesłonił ją, wychodząc. Przerażona wybiegła z kościoła Zbawiciela.

*

Na rynku uderzyło ją ciepło popołudnia. Pozostające wciąż jeszcze wysoko na nieboskłonie słońce sprawiło, że poczuła się bezpieczniej. Zebrała się w sobie i ruszyła na umówione spotkanie. Schodząc ulicą Strzelecką, postanowiła, że całą historię z kościoła ewangelickiego musi zachować dla siebie. Owszem, powinna skrupulatnie przeanalizować fakty, ale nie będzie się nią dzielić z kimkolwiek. Poza własnym przeczuciem nie mając za sobą poważnych argumentów, wiedziała, że mogłaby tylko narazić na szwank swą reputację. A tego trzeba jej było akurat najmniej.

Kiedy tylko znalazła się w kawiarni Wiśniowy Sad, natychmiast spostrzegła Karola. Zajął mały stolik pod oknem, przy którym popijał wodę z cytryną. Chcąc postawić się na nogi, Weronika poprosiła natomiast o mocną kawę i szklanekę wody.

Zadziałało. W ciągu paru chwil wróciła jej zwykła werwa, z którą przystąpiła do nadrabiania informacyjnych zaległości z ostatnich dziesięciu lat. Bardzo szybko wydusiła z Karola opowieść o niedoszłych studiach na Politechnice Gliwickiej, pierwszej pracy

w Katowicach, wreszcie o zwolnieniu i wyjeździe do roboty w przedsiębiorstwie budowlanym w Zagłębiu Ruhry. Ze zdumieniem skonstatowała, że z Niemiec powrócił dopiero przed miesiącem i że ich spotkanie w Rybnej było rzeczywiście przypadkowe. Sama ze szczegółami opowiedziała o specyfice pracy w zawodzie dziennikarza w lokalnej gazecie. W zasadzie od samego początku spotkania atmosfera była zaskakująco miła. Być może dlatego, że nikt nie wracał do bolesnej przeszłości, nie poruszał tematów osobistych, poprzestając jedynie na refleksjach tak ogólnych i tak zawoalowanych, że prowadzić mogły do skrajnie odmiennych wniosków. Tych jednak żadna ze stron nie zamierzała na razie wyciągać.

Nim się zorientowali, nadciągnął zmierzch. Karol uregulował rachunek i zaproponował dziewczynie, że odwiezie ją pod dom. Na propozycję przystała z wdzięcznością. Samochód stał nieopodal, ale wieczorny chłodek, który zdążył ich owionąć, zdradzał również, że upały w ciągu dnia były już tylko wczesnojesienną, marną imitacją letnich kanikuł, tu zwanych raczej hicami³⁷.

– To znaczy, że byłeś wczoraj w domu, gdy spotkałam się z twoim dziadkiem? – bardziej stwierdziła, niż zapytała, przerywając tym samym chwilę dłuższego milczenia.

– Tak. Odsypiałem nie najlepszą noc.

– Do południa? To faktycznie musiała być nie najlepsza. – Uśmiechnęła się dwuznacznie.

– Daj spokój. Spędziłem ją na policji.

– Na policji? A coś ty przeszkrobał, Karol? – zdziwiła się. – Na starość ci odbiło?

– Ja nic – odparł i po przerwie bez entuzjazmu dodał: – Jestem świadkiem. A właściwie znalazłem trupa. – Widząc zdziwioną twarz dziewczyny, od razu zapytał: – Naprawdę cię to interesuje?

– Jak nie chcesz, to nie mów.

– Chcę, to znaczy mogę opowiedzieć, ale to nic przyjemnego, jak sądzę.

– Nie zapominaj, że jestem dziennikarką.

– Tego się właśnie obawiam... – Uśmiechnął się i pokrótce zrelacjonował jej odkrycie, którego przy pomocy psa dokonał w lesie. – Historia jak z filmu – dodał na zakończenie. – Już po powrocie do domu musiałem się kilka razy uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy mi się nie przysnęło na seansie.

– Wiesz, kim w ogóle był ten człowiek? – zapytała wyraźnie zaintrygowana.

– Nie mam pojęcia. Nie przeszukiwałem go. Sprawdziłem tylko puls i kiedy stwierdziłem jego brak, natychmiast zadzwoniłem po pomoc.

– Był Niemcem – teraz to Weronika pochwaliła się informacjami, które pozyskała od dyrektora Krawca. – Nie wiesz, jak zmarł?

– Nie wiem. Był przykryty gałęziami i ściółką, więc nie widziałem dokładnie ciała. Na komendzie wprawdzie pytali mnie, czy poprzedniej nocy na wsi było coś słyhać, ale przecież nie mieszkamy na Dzikim Zachodzie. Kowboje na mustangach nie strzelają tu do siebie z rewolwerów. W pałacu była, zdaje się, jakaś biba dla urzędników.

Nie podjęła wątku. Nie chciała się przyznać, że uczestniczyła w imprezie. Po pięciu minutach czarny ford zatrzymał się pod blokiem. Weronika podziękowała za spotkanie i wysiadła. Odwróciła

się jeszcze, by na pożegnanie pomachać odjeżdżającemu Karolowi, po czym weszła do dusznej klatki schodowej. Wśród snujących się tam zapachów smażonych kolacji mozolnie wspinała się na czwarte piętro. Kiedy tylko znalazła się w mieszkaniu, opadła na łóżko.

Musiała przysnąć, bo gdy się podniosła, w pokoju było już zupełnie ciemno. Przez wychodzące na zachód okno dostrzegła zatopioną w mroku panoramę Strzybnicy, na tle której wyraźnie odcinała się podświetlona wieża kościoła.

Rozdział VI

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, PIĄTEK

Piątkowe przedpołudnie było szare i pochmurne. Leniwie siąpił ciepły deszcz, a w powietrzu unosiła się intensywna wilgoć. Mokra ulica, po której jak co dzień przesuwwały się sznury samochodów, tylko potęgowała hałas, czyniąc go jeszcze bardziej szeleszczącym i przez to mocniej uciążliwym niż zwykle.

W redakcji „Wiadomości” panowała senna atmosfera. Materiał do kolejnego wydania numeru został w zasadzie skompletowany, a jego składanie w ramy gazety dobiegało końca. Liczba reklam i płatnych ogłoszeń, a raczej zysków płynących z ich publikacji, nie była może gigantyczna, ale też nie stanowiła na razie powodu do przesadnych zmartwień. Choć w internecie konkurencja informacyjno-rozrywkowa kwitła, w kategorii prasy drukowanej „Wiadomości Tarnogórskie” pozostawały powiatowym monopolistą. Wszystkie dotychczasowe próby przełamania hegemonii tygodnika na tym polu ostatecznie zawsze kończyły się niepowodzeniem.

Redaktor Maszczyk nie mogła tym razem narzekać na umiejscowienie swojego artykułu o zakupie nowych pojazdów dla straży miejskiej. Jego zajawkę, jak w dziennikarskim slangu określano wprowadzenie do tekstu, którego rozwinięcie znajdowało się w dalszej części numeru, szefowa nakazała umieścić na pierwszej stronie. Towarzyszyło mu kolorowe zdjęcie błyszczącej

fury i opartego o nią strażnika w uniformie i groźnie zsuniętej na czoło czapce.

Zrąb tekstu o pałacu w Rybnej też miała już przygotowany. Wystarczyło tylko jeszcze doprawić go w kilku miejscach, nadać ogólny szlif, wypolerować tam i ówdzie. Była więc z siebie całkiem zadowolona. Maciek Jarzyna, starszy kolega z redakcji, twierdził, że to niebezpieczne uczucie. Zwłaszcza młodego, zdolnego człowieka – powtarzał – potrafi pozbawić potrzeby samodoskonalenia, zwieść na manowce i sprawić, że już na początku pracy zawodowej osiadzie na laurach. Ale nie przejmowała się zrządzeniem starzejącego się redaktora, odpowiadając mu jak zwykle z przytupem i na granicy grzeczności.

Zerknęła do notatek, które poczyniła podczas spotkania z panem Franciszkiem, i jej wzrok spoczął na punkcie: „bastard Egona”. Chwilę musiała pogłównkować, zanim przypomniała sobie, czego dotyczyła wzmianka. I w tej samej chwili uprzytomniła sobie, że zapomniała poruszyć wątek nieślubnego syna, który, miała nadzieję, przydałby artykułowi posmaku sensacji. „Szkoda”, pomyślała.

O Rybnej było ostatnio głośno, to prawda, i Weronika miała jej już trochę dość. Zamiast dumać w nieskończoność o jednym i tym samym, powinna zabrać się do kolejnego spośród zabytków na liście, przeznaczonych do opisanego w gazecie. Nie pamiętała nawet, co nim było. Historia barokowo-klasycystycznego pałacu o piaskowej fasadzie miała w sobie jednak coś pociągającego, coś, co sprawiało, że regularnie nasuwał się dziewczynie na myśl, jakby na siłę chciała odnaleźć w jego przeszłości słabe ogniwo, rozwiązać tajemnicę, której nie było.

Wbrew rozsądkowi postanowiła sprawdzić wiarygodność opowieści pana Franciszka o nieprawowitym potomku ostatniego hrabiego z Rybnej. Z pamięci odtworzyła wiadomość, że dziecko z nieprawego łoża zostało ochrzczone w katolickim kościele w Strzybnicy. W internetowej wyszukiwarce znalazła numer do tamtejszej kancelarii parafialnej i po chwili w słuchawce przedpotopowego telefonu stojącego na biurku dziewczyny odezwał się sympatyczny głos, który okazał się należeć do miejscowego proboszcza, księdza Stanisława.

Niespecjalnie zdziwił się prośbą dziennikarki o udostępnienie w celach badawczych ksiąg metrykalnych i wskazał godziny, w których kancelaria przyjmuje zainteresowanych. Weronika zapowiedziała się na najbliższą porę, wyznaczoną na wczesne popołudnie, podziękowała i odłożyła słuchawkę. Pozostały do wyjazdu czas postanowiła wykorzystać na udokumentowanie wiadomości o ostatnich von Koschützkich.

We wszechwiedzących zasobach sieciowych odnalazła publikację o pałacu i zamieszkujących ją rodach arystokratycznych, autorstwa niejakiego Emila Grysika. Z towarzyszącego materiałowi drzewa genealogicznego wynikało, że Egon von Koschützki urodził się w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym, a zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Jednak w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku wraz z całą rodziną opuścił Rybną, która znalazła się w granicach nowo powstałej Polski, i udał się do Niemiec. Wykalkulowała, że, by dowieść prawdy o bastardzie płci męskiej, wystarczy przejrzeć księgi chrztów dzieci urodzonych między tysiąc dziewięćset piątym a tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Biorąc pod uwagę ówczesną liczbę mieszkańców osad

należących do parafii w Strzybnicy, z których, podobnie jak Koschützcy, część musiała być innego wyznania niż rzymskokatolickie, przeglądnięcie metryk na przestrzeni kilkunastu lat nie mogło być zadaniem wykraczającym poza jej możliwości.

Kilka minut po szesnastej opuściła redakcję. Na przystanku pod potężnym budynkiem liceum imienia Staszica wsiadła w autobus, którym zajechała na dworzec. Zbudowany od zera za pieniądze z funduszy europejskich blaszany punkt przesiadkowy był dumą władz miejskich. Poza fetą z okazji otwarcia Weronika, na co dzień korzystająca z uroków transportu publicznego, nigdy nie widziała tu jednak żadnego przedstawiciela miejskich włodarzy, którzy nad komunikację publiczną przedkładali samochodową, prywatną lub służbową.

Po kwadransie oczekiwania siedziała już na plastikowym krzeselku w starym francuskim heuliezie, który udawał się w kurs do Pniowca. Zaczęła się zastanawiać, jaka liczba pośladków zajmowała to miejsce przed nią – czy należy liczyć ją w setkach tysięcy, czy może, biorąc pod uwagę co najmniej kilkudziesięcioletni wiek pojazdu, wręcz w milionach. Szybko jednak odrzuciła tę myśl jako absurdalną i sama uśmiechnęła się do siebie. „Jakież to człowiekowi bzdury przychodzą do głowy”.

Wóz ospale sunął przez Sowice i dalej, skrajem lasu, ulicą Grzybową. Po lewej ciągnęła się dolinka Stoły. Zanieczyszczenia przez długie dziesięciolecia wpuszczane do rzeki przez hutę i właściciele okolicznych domostw zdążyły zabić w niej wszelkie życie i zamienić ją w bury, gęsty i z daleka cuchnący ściek, obrośnięty pasem sitowia. Wreszcie przez przednią szybę zauważyła popielaty hełm wieży kościoła w Strzybnicy. Autobus linii sześćset

siedemdziesiąt zatrzymał się tuż koło cmentarza, okolonego murem z czerwonej cegły. Naprzeciwko rozciągał się wybrukowany betonową kostką plac, przy którym mieściła się plebania, może nieszczególnie okazała jak na górnośląskie standardy, ale za to bardzo wypielęgnowana.

Nacisnęła dzwonek domofonu z napisem „Kancelaria”. Po chwili w drzwiach ukazał się młody mężczyzna w dżinsach i koszuli, w której kołnierzyku znajdowała się koloratka.

– Szczęść Boże – przywitała się. – Nazywam się Weronika Maszczyk i jestem z redakcji „Wiadomości Tarnogórskich”. Umówiłam się z księdzem proboszczem na przeglądnięcie ksiąg metrykalnych.

– Faktycznie, wspominał, że ktoś ma zrobić tu dziś jakieś badania naukowe. – Uśmiechnął się i zaprosił dziewczynę do środka.

Przeszli przez ciemną sień, na końcu której znajdowały się wielkie na całą ścianę drzwi, i skręcili w prawo. Kancelaria mieściła się w niedużym pokoju, zastawionym przez wysokie, zamknięte przeszklonymi drzwiczkami regały. W absolutnie równych rzędach defilowały na półkach skoroszyty i segregatory o szerokich i opisanych starannym pismem grzbietach.

– Co panią interesuje?

– Chciałabym prosić o księgę chrztów w parafii od roku tysiąc dziewięćset piątego do dwudziestego drugiego.

Ksiądz przystanął przed jednym z regałów i podrapał się po głowie, na czubku której, pomimo młodego wieku, rysowała się już wyraźna łysina. Wyciągnął jeden ze skoroszytów i przeczytał ręcznie wypisany nagłówek. Po chwili na blacie biurka, przy którym

ułożyła się Weronika, ułożył stosik zeszytów niemieckiej marki Herlitz – każdy w twardej oprawie i skrzętnie opisany.

Studiowanie treści ksiąg postanowiła rozpocząć od roku tysiąc dziewięćset piątego, w którym hrabia Egon ukończył osiemnasty rok życia. Otworzyła kajet. Poczła zapach starego, dawno niewietrzonego papieru. Na pożółkłych stronicach czarnym atramentem wykaligrafowano nazwiska i imiona kolejnych dzieci ochrzczonych w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Rybnej, jak oznajmiał napis znajdujący się wokół odcisku owalnej pieczęci.

Nim przyzwyczała oko do pochyłego kroju liter, chwilę ślizgała się wzrokiem po regularnym, przypominającym ornament piśmie wypełniającym poszczególne pola odręcznie wykonanych tabeli: *Nr: 1, Name: Buchta, Vorname: Alfred, Eltern des Täufelings – des Vaters: Joseph, der Mutter: Klyre geb. Mlynneck, Wohnhaft: Piassetzna, Datum der Taufe: 16 Januar 1910.* Pomyślała, że najszybciej będzie, jak skupi się wyłącznie na kolumnie zawierającej informacje o ojcostwie nowo ochrzczonego. Brak wpisu bądź adnotacja *Unbekannt*, nieznanym, oznaczać musi, że dziecko pochodziło z nieprawego łoża.

Praca nie posuwała się wcale tak wolno, jak przypuszczała na początku, zobaczywszy stos zeszytów do przejrzania. Kiedy do roku tysiąc dziewięćset trzynastego nie spotkała ani jednego przypadku nieślubnego dziecka, ogarnęły ją poważne wątpliwości, czy aby kryterium, które wybrała, na pewno zaprowadzi ją dokądkolwiek. Wszak jeszcze całkiem niedawno dziecko z nieprawego łoża było powodem do głęboko skrywanego wstydu, co znajdowało nawet oddźwięk w nazewnictwie. Podrzutek, znajda, bękart nie należały wszak do najczulszych określeń. Tym bardziej więc na początku dwudziestego stulecia pruderyjny charakter ówczesnej kultury

sprzyjać musiał tuszowaniu niewygodnych faktów. „Czy jednak kobiety mogły posunąć się do poświadczenia nieprawdy nawet w dokumentach kościelnych?”, zapytała się w duchu. Zamiast wymyślać odpowiedzi, postanowiła się nie poddawać i sprawdzić księgi do końca.

Kątem oka zerknęła na księdza, który zwrócony do dziennikarki bokiem, pochłonięty był lekturą „Gościa Niedzielnego”. W tysiąc dziewięćset piętnastym natrafiła wreszcie na pierwszy ślad. W kolumnie *des Vaters* ochrzczonego w listopadzie tego roku Antona Kubitzky figurowało *Unbekannt*, a chłopczyk otrzymał nazwisko swojej matki. Na kolejny znów musiała długo czekać. Dopiero w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym w księdze odnotowano chrzest Aloisa Gonsiora, ojciec nieznany. To było jednak wszystko, co znalazła. Czy któryś z tych dwóch było nieprawym potomkiem Egona von Koschützkiego?

Podzieliła się z małomównym księdzem swoimi rozterkami. Ten, choć niechętnie, ze spuszczonego wzrokiem i wciąż płoniąc się jak pensjonarka, poradził dziennikarce sprawdzić losy tych postaci w pozostałych księgach: zgonów i małżeństw.

– Na początku wieku nie było niczym szczególnym, że dzieci umierały, nie dożywszy nawet roku – powiedział wyraźnie stropiony. – Jeśli jednak udało im się przeżyć, jest wysoce prawdopodobne, że po dwudziestu kilku latach zawarli w tutejszej parafii związek małżeński. Kiedyś ludzie tyle nie podróżowali, a i pomimo licznych wojen życie płynęło wolniej i spokojniej – dodał filozoficznie.

Ksiądz miał rację. Wkrótce okazało się, że obydwaj chłopcy zmarli jeszcze w dzieciństwie – mały Alois tuż po chrzcie, a Anton w wieku dwóch lat. „No to koniec dziennikarstwa śledczego –

westchnęła z niechęcią do samej siebie. – Straciłam całe popołudnie”. Spakowała notes i komórkę, podziękowała za życzliwość i skierowała się do wyjścia. W ciemnym przedsionku przyszło jej jednak na myśl, że przecież dziecko poczęte przed wyjazdem Egona z Rybnej, który nastąpił w drugiej połowie tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego, musiało się narodzić dopiero w kolejnym roku. Obróciła się gwałtownie i zdumionego księdza, który chyba liczył już w duchu, że uwolnił się od gościa, poprosiła o księgę chrztów z tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku.

Na łut szczęścia nie liczyła. Bardziej więc dla zasady i zaspokojenia wewnętrznej potrzeby skrupulatności niż z nadzieją na odnalezienie hrabiego bastarda zaczęła z uwagą studiować zapiski w kolumnie *des Vaters: Przybylok Emanuel, Wiedera Bruno, Adamus Teodor, Lyschik Anton, Dittrich Adolf, Siwy Johann, Kocot Bernard, Labus Wilhelm, Otrzonsek Ernst, Bambynek Paul...* Z rozpędu prawie przeoczyła by wpis – pierwszy na dziewiątej stronie – *Unbekannt*. W niedzielę trzynastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku ochrzczony został Franz Kampke, syn Giseli i nieznanego ojca.

– *Yes, yes, yes!* – Ucieszyła się tak bardzo, że radość z dokonanego odkrycia udzieliła się nawet młodemu wikaremu. Euforia nazbyt szybko przeszła jednak w refleksję nieco innej natury, gdy tylko uświadomiła sobie, że Franz Kampke musiał być Franciszkiem Kampką – człowiekiem, z którym rozmawiała przed tygodniem i który na dodatek okazał się dziadkiem Karola.

„Czyżbym więc rozmawiała z synem Egona? Dlaczego pan Franciszek nie przyznał się do swego pochodzenia, dlaczego ukrył przede mną ten fakt, informując jednocześnie o istnieniu jakiegoś

bastarda? Czyżby mógł o tym nie wiedzieć? – zapytywała samą siebie. – Nie, to niemożliwe. Musiał znać prawdę. Jaki był zatem powód, dla którego mi jej nie wyjawiał?”.

W pierwszym odruchu chciała natychmiast zadzwonić do wnuka pana Franciszka, ale powstrzymała emocje i postanowiła sprawdzić rewelację. Poprosiła o księgę ślubów od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego i po dłuższym czasie znalazła adnotację o sakramencie małżeństwa, udzielonym Franciszkowi Kampce i Paulinie Wolnik siódmego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego. Zanotowała również i tę datę. Mogła brnąć jeszcze dalej, pewnie nawet aż do chrztu Karola, była wszak na tyle pewna odkrycia, którego dokonała, że podziękowała i jak na skrzydłach wyfrunęła z probostwa.

„To będzie rewelacja, absolutny hit!”, myślała, zmierzając na przystanek autobusowy przez park w Strzybnicy, które to miano kawałek zieleni nosił zdecydowanie na wyrost. Skwer był mocno zapuszczony: kilka starych, pamiętających zapewne przedwojenne jeszcze czasy kasztanów, buków i świerków, rozmokłe w deszczu alejki z popielatą mazią w miejscu żwiru, kilka ławek okupowanych przez miejscowych amatorów najpodlejszych napojów alkoholowych nabywanych w pobliskim supermarkecie. Przyspieszyła kroku. Oczyma wyobraźni ujrzała na pierwszej stronie „Wiadomości” krzyczący tytuł i artykuł opisujący ujawnioną za sprawą jej odkrycia sensację.

Nie mogła dłużej wytrzymać. Gdy tylko znalazła się na przystanku w cieniu plastikowej wiaty, wybrała numer pana Franciszka. Nie powiedziała, o co chodzi, tym bardziej że i staruszek o to nie dopytywał. Bez zbędnych ceregieli umówiła się na spotkanie

na początku przyszłego tygodnia i zakończyła rozmowę. Spokojny i niespieszny głos starszego pana sprawił, że z dziennikarki zeszło powietrze, którego nabrała, przeglądając stare księgi kościelne. Ulotniło się też gdzieś całe podniecenie.

Schowała komórkę do torebki i w oczekiwaniu na autobus utkwiała wzrok w sunącym szosą na Poznań nieprzebrany sznurze samochodów. Wkrótce zza zakrętu wychynął czerwono-biały, nowusieńki MAN. Pomyślała, że będzie to trzeci raz, kiedy w ciągu jednego tygodnia odwiedzi Rybną. „To bezdyskusyjny rekord”, uśmiechnęła się w duchu i wsiadła do pojazdu.

Rozdział VII

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, PONIEDZIAŁEK

Kasetonowy sufit, który nadawać miał pomieszczeniu wizualnej lekkości, sprawiał wrażenie odwrotne do zamierzonego. Można było o nim powiedzieć wszystko – że wprowadzał pewną dozę dostojności, że dodawał powagi i majestatu, a nawet że było w nim niemało pompy – ale z całą pewnością nie to, że zawierał w sobie subtelność i finezję. Rozciągnięty pomiędzy ścianami wypełnionymi przez wysokie okna, zwisał przyciężko, jakby za chwilę miał runąć z łoskotem, przerywając toczącą się w jego cieniu uroczystość. Jednego wszak nie można mu było odmówić: estetycznie kasetonowy sufit nie odbiegał od całego obiektu, który swym wyglądem podkreślać miał rolę, jaką mu wyznaczono – siedziby powiatowego komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Trzeba było jednak też przyznać, że socrealizmu, który akurat w tym przypadku był całkiem pożądanym, znajdowały się w budynku ilości śladowe: masywna, kamienna podmurówka, jakiś ornament nad oknami, nazbyt może wydatny gzyms, niezbyt widoczna attyka, pretensjonalny portal wejścia głównego, no i kasetonowy sufit w auli.

Kompletnie ignorując płynące ze sceny dźwięki, wyciągnawszy nogi i odchyliwszy do tyłu głowę, kontemplowała go dziennikarka lokalnego tygodnika. Zadanie zrelacjonowania koncertu uczniów zaprzyjaźnionych szkół muzycznych z miast partnerskich,

nadszoławskiego Bernburga i Tarnowskich Gór, wydało jej się na tyle banalne, że zebrawszy szczegółowe informacje, którymi zamierzała wypełnić uniwersalną formę artykułu, oczekiwała już tylko zakończenia recitalu, po którym była umówiona na nagranie krótkiej rozmowy z dyrektorem placówki.

Kiedy tylko ucichły końcowe akordy bagateli a-moll WoO 59 Ludwiga van Beethovena, szerzej znanej jako *Für Elise*, przez wypełnioną po brzegi aulę szkoły przeszła burza oklasków. Zerwała się tym bardziej gwałtownie, im bardziej głucha była cisza, jaka zapadła po zakończeniu refleksyjnego i rzeczywiście dobrze zagranego utworu. Stremowane wrzawą dzieci pokłoniły się ze sceny, po czym okolicznościowe przemówienia wygłosili dyrektorzy obu szkół muzycznych. Weronika przesunęła się do przodu, gdzie dostrzegła swoją rozmówczynię. Żywo dyskutując, stała w towarzystwie młodego, eleganckiego mężczyzny. Dziennikarce wydało się przez chwilę, jakby jego twarz już gdzieś widziała, ale poza wrażeniem nie mogłaby wskazać konkretnych okoliczności.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, gdy jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem pani dyrektor, która gestem ręki przywołała ją do siebie.

- Dzień dobry, pani Weroniko. Przedstawię pani Thomasa Jeschkego, dyrektora wydziału kultury urzędu miejskiego w Bernburgu - powiedziała, wskazując na towarzysza.

- Cień topry - odrzekł z akcentem i wymową jakby skopiowanymi od papieża Benedykta XVI, uklonił i podał dłoń dziennikarce. - Jag zię maszzz? - zapytał. Był niewyróżniającym się specjalnie, szczupłym brunetem średniego wzrostu. Uwagę zwracały jedynie jego intensywnie niebieskie oczy, okolone i kontrastujące wyraźnie z czarnymi, gęstymi brwiami i rzęsami.

- Dzień dobry, ależ pan wspaniale mówi po polsku. - Uciekła wzrokiem, kiedy spojrzał jej prosto w oczy. Coś było w jego spojrzeniu, coś melancholijnego, smutnego, jakaś beznadzieja i coś magnetyzującego zarazem, coś, co trudno byłoby jej zdefiniować i opisać. Niby popatrzył, tak po prostu, szczerze, a jednak odniosła wrażenie, jakby nie do końca, jakby patrzył trochę dalej, w głąb, za zasłonę utkaną z kurtuazyjnych schematów i grzecznościowych gestów.

- Utrzę zię ot ćtery lat. Nie ma leko.

Dyrektorka, której na wywiadzie najwyraźniej bardzo zależało, uczyniwszy zadość kurtuazyjnym wymogom, przeprosiła Herr Jeschkego i ująwszy Weronikę pod ramię, poprowadziła dziewczynę do jednej z pustych klas.

W drodze na spotkanie z Franciszkiem Kampką myślała o Karolu. Znała przysłowie o niewchodzeniu do tej samej rzeki, choć nie uważała, by znajdowało zastosowanie akurat do skomplikowanych relacji damsko-męskich. Zastanawiało ją jednak jego milczenie. Niby nic takiego, nie miał przecież obowiązku oddzwaniać. A jednak nurtowało ją, co było tego powodem. Gdy spotkali się kilka dni temu, miała wrażenie, że ucieszył się na jej widok, a wieczorne spotkanie następnego dnia tylko utwierdziło ją w tym przekonaniu. Tym dziwniejsze więc było jego obecne zachowanie. „Mógł chociaż odpisać esemesem” – pomyślała z delikatnym wyrzutem. - Chyba nic mu się nie stało?”.

Franciszek przyjął dziennikarkę w tym samym pokoju gościnnym. Tym razem odniosła jednak wrażenie, że starszy pan jest dziwnie przygaszony, małomówny, przygarbiony mocniej niż

ostatnio, jakby dźwigał niewidoczne, lecz spore brzemię. Nalał kawy i podsunął czekoladę.

– Proszę, niemiecko szokolada. – Uśmiechnął się bezbarwnie. – Czym mogę pani służyć? – zadane czystą polszczyzną pytanie zabrzmiało sucho i oficjalnie, nie pasowało do życzliwego wyrazu twarzy starca.

– Ostatnio opowiedział mi pan, że Egon von Koschützki miał nieślubnego syna.

– To prawda... – Zadumał się. – Tak powiedziałem.

– Nadmienił pan też, że dziecko to zostało podobno ochrzczone w tutejszym kościele.

Nie odpowiedział. Przez ułamek sekundy jego oczy jakby rozblęły, a może tylko zmienił się kąt, pod którym z okna padało na nie światło. Zauważyła to, ale nie chciała się nad tym zastanawiać. Delikatnie, jakby stąpając po cienkim lodzie, ciągnęła:

– Byłam na probostwie, w kancelarii parafialnej – zatrzymała się, ale nie odnotowała u pana Franciszka żadnej reakcji. – Studiowałam księgi metrykalne – dozowała napięcie niczym Hitchcock.

– I znalazła go pani? – zapytał, ale na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, jakby to, o czym mówiła dziewczyna, było rozmową o pogodzie lub jakby było mu zupełnie obojętne. Pomyślała, że może chce w ten sposób osłabić jej pewność siebie, zasiać w jej sercu ziarno wątpliwości.

– Znalazłam – odpowiedziała zdecydowanie i spojrzała mu prosto w oczy. Nic w nich nie zobaczyła. Zdawały się być rozwodnione, bezbarwne, przejrzyste.

– Dlaczego uważa pani, że Franciszek Kampka jest synem Egona von Koschützkiego? – zapytał zniechęcony, ale dziennikarka także

zachowała zimną krew. Choć nie spodziewała się po starszym panu, że potrafi tak sprawnie z nią pogrywać.

– Nie jestem pewna. Dlatego tu przyszedłam. – W pokoju zapadła ciężka cisza, którą pierwsza przerwała Weronika. – Mały Franek był jedynym nieślubnym dzieckiem płci męskiej, które poczęło się w latach dwudziestych, zostało ochrzczone w kościele w Strzybnicy i które przeżyło. Sprawdziłam to bardzo dokładnie. – I znów cisza.

– Dlaczego tak bardzo chce pani wiedzieć, kim był mój ojciec?

– Ależ wcale mnie to nie interesuje. Szukam śladów prowadzących do bastarda, syna ostatniego dziedzica rycerskiego majątku w Rybnej.

– To tajemnica. Najpierw pieczołowicie skrywana, później pokryła się patyną czasu, której nikomu nie chciało się zeskrobać. Jak widać, wcale nie było to jednak aż takie trudne. Pani pierwszej się to udało. Gratuluję... – Uśmiechnął się smutno. – Może dlatego to pani pierwszej się udało, bo jako pierwsza pani poszukała. Mój własny syn nigdy nie pytał o dziadka, wystarczało mu zapewnienie, że zmarł na wojnie, co zresztą jest prawie prawdą. Zadowolął się wpisaniem do metryk nazwiskiem Egon Kampka. Nikt nie zapytał nawet o nazwisko panięńskie babci.

– Czyli pan wiedział?

– No dyc³⁸...

– Od początku? Od dzieciństwa?

– Niy. Dowiedziałem się ôd swojej mutter³⁹ pod koniec wojny. – Pomału przechodził na powrót na gwaraę, od czasu do czasu bez przyczyny mieszając języki. – W czasach mojej młodości nie było niczym nadzwyczajnym, że ojcowie rodzin nagle znikali. Przecież pani dobrze o tym wie: dwie wojny światowe w ciągu trzydziestu lat,

ofiary liczone w milionach. Każdy miał sam⁴⁰ w najbliższej rodzinie kogoś, kto⁴¹ zginął. Matka samotnie wychowująca syna to była norma.

– Dlaczego nikomu pan nie powiedział?

– A na co? Po pierōna⁴²? Kiedy poznołech prowda, właśnie instalowała sie tukej dyktatura komunistyczna w nojgorszym wydaniu, paskudne czasy. Ludziska znikali bez przyczyny. Czasem komuś z oprawców spodobał się dom, więc jego mieszkańcy stowali sie na roz Niemcami i folksdojczami, choćby po niemiecku nawet nie poradzi⁴³ godać. Priznowanie sie do bliskiego pokrewieństwa z Niemcem i obszarnikiem w jednej osobie byłoby wydaniem na siebie podwójnego wyroku. Można nawet wyroku śmierci.

– Spotkał pan kiedyś ojca?

– Ponoć spotkalimy sie, ale za bajtla⁴⁴, nie moga tego pamiyntać. Fater⁴⁵ przijechoł na Góry⁴⁶, jak zawsze w interesach, a potom pojawił sie w Rybnej, pod naszom chaupom.

– Ojciec nie interesował się nigdy pana losem – bardziej stwierdziła, niż zapytała Weronika.

– Myśla, wiym – poprawił się pan Franciszek – że sie interesował, ale fakt moich narodzin i istnienia utrzymywoł w tajemnicy przed swoją rodziną. Z powodów oczywistych. Do końca wojny opłacał moją edukację – chodziōłech do prywatnego niemieckiego liceum, na kere⁴⁷ mojjj mutter z całą pewnością nie byłoby stać. Swoją drogą, wycie pani, kaj się mieściło? W pięknym budynku przy obecnej ulicy Sienkiewicza. Zdaje się, że teraz też zrobili tam jakąś szkołę.

– Sorbone – wtrąciła, nawiązując do funkcjonującego wśród uczniów potocznego określenia zawodówki, ale stary Kampka nie

zrozumiał aluzji, więc ciągnął dalej:

– Po wojnie wzięli mnie do łagru w Lasowicach. Prowadził go polski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Panowały w nim fatalne warunki. Groziła mi śmierć na tyfus albo deportacja za Odrę. Skończyło się jednak tylko na odwodnieniu, bo fater wykupił mnie i Mutter. Oczywiście nie osobiście, ino przez umyślnego. Nie mogą wiync potwierdzić, że fater niy interesowali sie moim losem. Powiym wiyncyj, zapisali me nawet zōmek we tystamyncie.

– Zamek? – zapytała zdumiona, a gdy nie odpowiedział, dodała: – Mówi pan o pałacu w Rybnej? Przecież Egon von Koschützki sprzedał go i to, zdaje się, jeszcze przed pana przyjściem na świat.

– Zgadzo sie, we książce napisali, że bōło to w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Istniejom na pewno papióry, kere potwiyrdzajom transakcjo, ale – zawahał się na moment – ponoć wszisko bōło nielegalnie.

– Co pana zdaniem znaczy, że nielegalnie?

– Fater godali, że wyjeżdżać z Rybnej niy chciał, ino że został do tego zmuszony. A przeca tako umowa niy może być ważno, pra?

– Miał jakieś dowody na ten rzekomy przymus?

– Twierdziōł, że miōł. To znaczy niy ino twierdziōł, ale wszisko naszkryfloł⁴⁸ we tystamyncie.

– Ta historia jest coraz bardziej niesamowita. Wprost nie mogę uwierzyć, że siedzę teraz i rozmawiam z synem hrabiego z Rybnej.

– Zapewniom, że kolor krwi płynącej w moich żyłach jest richtig⁴⁹ czerwōny.

– A z rodzeństwem miał pan jakiś kontakt? Z innymi dziećmi Egona?

- Pora⁵⁰ lot po śmierci fatra, kajś na poczontku lot piyńdziesiontych, prziszol do mie listek z Efu⁵¹. Pisała Waltraud, mojo starszo siostra. Dowiydziała sie przōdzij ô moim istniyniu ôd umierajoncego ôjca. Bōła... byli przekōnani – poprawił się – bo fater chyba też tak myśloł, że o swoim pochodzeniu nic niy wiym. Fest wnerwiōł mie tyn jej piyrszy listek, bo Waltraud niy pomyśłała zupełnie o mojj mutter i jij uczuciach, tak choby niy miało to nic do rzeczy i liczōł się ino rōd von Koschützkich. – Niespodziewanie przeszedł znów na polszczyznę. – Jak już jednak powiedziałem, prawdę o moim ojcu znałem od kilku lat, gdy mi zatem przeszła złość, podjąłem kontakt i odpisałem siostrze. Odtąd nasza korespondencja trwała nieprzerwanie aż do śmierci Waltraud przed dwoma laty.

- Miał pan jeszcze inne rodzeństwo?

- Ja – potwierdził, wstał i sięgnął po niewielkich rozmiarów książkę o pałacu w Rybnej, którą otworzył na stronie z drzewem genealogicznym von Koschützkich. – Najstarszo siostra Anna-Ilza wyszła za Kurta Horenburga. Miyszkali w wiejskim majątku żony mojigo fatra, w powiecie kozielskim, a po wojnie wyemigrowali do Namibii w Afryce. Oboje z chopym downo już niy żyjom. Bōł tyż bracik Kristof. Tyż go wziyni do wojska. Zginał pod koniec drugiej wojny światowej, w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Żodyn niy wiy kaj. Bōł ino rok starszy ôde mie, ale nigdy zech go niy poznoł... – Zasepił się. – Jak widzicie, rybnieńsko linia von Koschützkich nie przetrwała, bo tak Anna-Ilza, jak i Waltraud nosiōły po swoich chopach inksze nazwiska, jo oczywiście również inne. – Uśmiechnął się. – Pokoża wom coś – powiedział i znów ciężko podniósł się z fotela. Schylony, podszedł do stojącego w kącie

pokoju sekretarzyka, który otworzył kluczem. Po otwarciu kłapa mebla służyła za poziomy blat. Z odległości nie widziała dokładnie, dostrzegła tylko, jak pan Franciszek coś nacisnął i w grubym wieku utworzyła się szczelina. Uniósł płytę i wydobył z wnętrza ciemnozieloną, okazałych rozmiarów teczkę. Usiadł na miejscu. – Trzymia tukej listki wymieniōne z Waltraud. – Wyjął pierwszą z góry kartkę i podał Weronice.

Na firmowym papierze listowym hotelu Graf Zeppelin, którego bladosińą rycinę przedstawiono w lewym górnym rogu kartki, ujrzała równe rzędy liter. Pomyślała, że dziś nikt już w ten sposób nie potrafi pisać, a sztuka kaligrafii odeszła wraz z nachalną inwazją elektroniki. Odwróciła kartkę. Na samym dole tkwił zamaszysty podpis: *für immer Deine – Waltraud*⁵².

– Spotkał się pan z siostrą?

– Ja. Piyrszy roz widzielimy sie pod kōniec lot siedymdziesiontych. Nie chcieli mi wydać paszportu, wiync to Waltraud przyjechała. Oczywiście nie do Rybnej, bo wszystko działo się w tajemnicy. Wiedziała ino mojo kobyta⁵³. Waltraud zatrzymała sie we hotelu w Krakowie. – Zapatrzył się w okno, a jego oczy zrobiły się szkliste. Po chwili milczenia, jakby powracając z odległej wyprawy w czasie i przestrzeni, powiedział: – Przepraszom.

– Waltraud nigdy nie była w Rybnej?

– Dyc, bōła. Już w fest⁵⁴ podeszłym wieku, na początku lat dziewięćdziesiątych, po zmianie władzy, przyjechała zaś do Polski. Siedziała wówczas nawet w tym samym fotelu, co wy terazki, a dziynki kierownicze zōmku w Rybnej mogli my se poleku⁵⁵, przez pora godzin zwiedzać zōmek. Oczywiście z dzieciństwa Waltraud nie zachowała żodnych wspomnień związanych z dawnym rodzinnym

majątkiem, bo wyjechała z Rybnej z rodzicami za bajtlika. Ale pamiyntom, że pobyt w tym miejscu kosztował jom kupa emocji. Chyba trochę ze względu na całą tę historię ze mną związaną... Ôjciec przekazali chyba cerze⁵⁶ czyńś poczucio winy.

– Ma pan do niego pretensje?

– A skond. Jezech już fest stary, do żodnego niy mom o nic pretynsji – uciał po chwili zastanowienia. I dla zmiany tematu wyciągnął z teczki złożoną na cztery chustkę. – Wejrzjicie ino. Při posiłku w rodzinie von Koschützki chodzy posługiwoł sie swojom serwetom. Wsziskie bōły biołe, ale coby uniknąć pomyłki, w lewym dolnym rogu, wele rodowego herbu miōły wysztrykowane⁵⁷ inicjały właściciela. Z oczywistych względów jo swojij serwety nigdy nie miōł, beztoż⁵⁸ podczas piyrszego byzuchu⁵⁹ w Polsce Waltraud dała mi serweta fatra, kero ôn przed swojom śmierciom w przyplýwie uczuć kozoł mie przekozać. – Rozwinął stary, przybrudzony materiał i palcem wskazał w jeden z rogów tkaniny. Kiedy się uważnie przyjrzała, dziewczyna dostrzegła w nim wyszytą nicią tej samej wprawdzie barwy, ale odróżniającą się jednak ściegiem, tarczę herbową. Przedstawiała łuk i strzałę oraz monogram składający się z ukrytych w zdobnym ornamencie roślinnym liter E., v., K. Nagle, jak gdyby o czymś sobie przypomniał, podniósł głowę i oficjalnym tonem zapytał po polsku: – Czy pani nagrywa naszą rozmowę?

– Nie, ale chciałabym kiedyś zrobić z panem wywiad.

– Wykluczone.

– Ale dlaczego? Minęło tyle lat.

– Po prostu – przerwał jej. – Proszę uszanować moją wolę. – Złożył teczkę i pokuśtykał w stronę sekretarzyka, w którego wnętrzościach ponownie ją ukrył. Kiedy się odwrócił, był już mniej

formalny, a jego twarz rozjaśniał swobodny uśmiech. Prawy kącik warg dziwnie śmiesznie uciekał w górę. Przypomniała sobie, że ten grymas zauważyła już poprzednim razem, ale nie zwróciła na niego szczególnej uwagi.

– Pani Weroniko – powiedział staruszek uroczyście – otworzę przed wami coś tajemniczego z mojego życia. Poza moim kobietom żodnym nigdy żech jiej niy wyjawioł, nawet dzieckom. Czymu prawie wōm żech to poôsprawioł⁶⁰? – zatrzymał się na chwilę, po czym kontynuował: – Niy wiym, ale chyba nie poradza⁶¹ cyganić⁶², a wy, jak sie to godo, postawiyliście mie pod murem. – Uśmiechnął się szczerze. – Zdecydowolch sie to zrobić, boch wōm zaufol. Wiym, że to niymodne w dzisiejszych czasach, można nawet nigdy takie nie bōło. Mom dostatecznie dużo lot, by móc tak twierdzić. Proszę was ino, by szczegōły naszymy rozmowy pozostały miyndzy nami. Tyla, nic wiyncyj. Przynajmij do mojej śmierci. Zgoda? – zapytał i wyciągnął przyjaźnie do niej rękę.

– Zgoda – obiecała solennie, by po chwili przerwy dopytać: – Nie mogłabym o tym porozmawiać nawet z Karolem?

– Niy, dyc żech wōm pedzioł⁶³, że z żodnym. – Pan Franciszek zrobił minę, jakby pożałował, że ujawnił dziennikarce wiadomości. – Skond go znocie?

– Długa historia... – Uśmiechnęła się.

Rozdział VIII

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, WTOREK

Przewidywała, że tak to się skończy. Było dobrze po czternastej. Za stołem prezydialnym przykrytym zielonym sukniem ulokowali się już zastępca prokuratora rejonowego, komendant powiatowy policji w Tarnowskich Górach i sztywny jak kij od szczotki drugi funkcjonariusz. Właśnie rozpoczynała się konferencja prasowa w sprawie znalezionej w Rybnej ciała, a Maćka Jarzyny z „Wiadomości Tarnogórskich” nadal nie było.

„Oczywiście – pomyślała z goryczą Weronika i zrobiło jej się naprawdę przykro. – Wystawił mnie do wiatru, po prostu olał. Pewnie drzemie sobie w redakcji albo układa pasjansa i to znów na mnie spadnie ciężar opracowania materiału informacyjnego. A przecież miał mi w tym pomóc. Dostał wyraźne polecenie od szefowej. Co on sobie, do cholery, myśli”, złorzeczyła w duchu.

Wąsaty szef miejscowej policji przywitał nielicznych zebranych: bladą jak lalka panienkę – wschodzącą gwiazdę osiedlowej telewizji internetowej, stażystę z katowickiej redakcji „Wyborczej”, który pewnym sobie zachowaniem dodawał sobie chyba animuszu, dzierżącego w dłoni kanarkowy mikrofon reportera lokalnej stacji radiowej i kilkoro innych sezonowych pismaków. Większości z nich Weronika nie znała i nie miała ochoty poznawać.

- Przedmiotem naszego spotkania jest omówienie aktualnego etapu, na którym znajduje się śledztwo w sprawie zgonu obywatela Republiki Federalnej Niemiec. - Chrząkając jak na szkolnej akademii, oficjalnie rozpoczął komendant policji. Był znany z bezgranicznego uczucia, jakie żywił dla urzędniczego żargonu, pełnego nic niemówiących i drętwych zwrotów, które stwarzały pozory uczoności, ale z całą pewnością nie ułatwiały zrozumienia komunikatu. - O zreferowanie szczegółów niniejszej sprawy poproszę podinspektora Piotra Karalusa, naczelnika Wydziału Kryminalnego - powiedział, po czym z wyraźnym uczuciem ulgi uroczyście przekazał mikrofon podwładnemu.

- Szanowni państwo - rozpoczął równie stremowany naczelnik. - W dniu piętnastym września bieżącego roku na terenie miasta Tarnowskie Góry, w dzielnicy Rybna, odnalezione zostały zwłoki. W wyniku przeprowadzonej przez stosowne organy identyfikacji ciała ustalono, iż zwłoki należały do Jensa S., lat sześćdziesiąt jeden, obywatela Niemiec, który czasowo przebywał na terenie naszego miasta. Zarządzona przez obecną tu panią prokurator Hanneę Niedzielską-Kozielską sekcja zwłok ujawniła natomiast, że zgon denata miał miejsce mniej więcej dobę przed znalezieniem ciała, to jest prawdopodobnie czternastego września - ciągnął monotonnym głosem, jakby czytał z kartki - lecz nie nastąpił z przyczyn naturalnych. Policja wysnuła z tego następujący wniosek: Mamy do czynienia z morderstwem - oświadczył uroczyście.

- Co tam? - półszeptem wysapał zziajany Maciek, jednocześnie sadowiąc się na miejscu obok Weroniki.

- Masz szczęście, zaczęło się z opóźnieniem i na razie nic nowego nie padło - odpowiedziała ze słabo ukrywaną irytacją. - Jakiś

oficjalny bełkot.

- I nie padnie - odparł ze znanstwem. - Przecież nie po to organizuje się konferencje prasowe. Ale co to za nadąsana minka, chyba się na mnie nie gniewasz? - Trącił ją łokciem i się uśmiechnął. - Byłem tylko coś przegryźć. - Istotnie, od redaktora Jarzyny na kilometr zionęło czosnkiem i smażoną cebulą, a w kącikach ust ukrywały się niewytarte resztki sosu pomidorowego.

Spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i niesmaku, po czym odwróciła głowę. Pomyślała, jak wielka jest różnica pomiędzy pilnymi i obowiązkowymi kobietami i zwykle niczym nieprzejmującymi się mężczyznami, dla których czas między czternastą pięć a czternastą pięćdziesiąt sprowadzał się do drobiazgu, którym nie warto zaprzętać sobie głowy, do nic nieznaczącego szczegółu, drobnomieszczańskiej pedanterii i co tam kto jeszcze chce.

Po naczelniku mikrofon przejęła prokurator Niedzielska-Kozielska. Skrzeczącym głosem, jednostajnie, niemal na jednym tonie omawiała właśnie wyniki sekcji zwłok denata. Weronika zerknęła na kolegę kątem oka i dostrzegła, jak ciężkie powieki lgną do siebie, by z coraz większym trudem próbować oderwać się jedna od drugiej. Nagle głowa Maćka bezwładnie opadła na piersi i niczym odbita od podłoża piłka natychmiast uniosła się z powrotem. Rozejrzawszy się wokół, kolega uśmiechnął się do Weroniki. Nawet przedstawienie wyników sekcji zwłok, poetycki opis ran kłutych, ciętych i szarpanych, nie był w stanie zapobiec znużeniu redaktora, będącego, zdaniem dziewczyny, o krok od totalnej kompromitacji. Dla rozbudzenia postanowiła opowiedzieć mu szeptem o odkryciu, którego dokonała w kancelarii parafialnej w Strzybnicy, ale, co

wydało jej się dziwne jak na amatora historii lokalnej, kolega zdawał się średnio zainteresowany rewelacjami, które zbył lekceważącym mruknięciem.

Konferencja prasowa tymczasem ciągnęła się zgodnie z przygotowanym i zapewne po wielokroć przeciwczonym scenariuszem. Zero rewelacji, kilka gładkich frazesów o tym, jak organy ścigania pozostają silne, zwarte i gotowe, odrobina wazeliny, żeby toporna całość lepiej wchodziła, wreszcie trochę bitej piany na deser i już, po krzyku. Żeby nie było, przedstawiciele wszystkich mediów zadali po jednym banalnym pytaniu, na które odpowiedzi jawiły się oczywiste i znane już zawczasu. Najsmutniejsze – pomyślała Weronika – było jednak to, że jutro we wszystkich dziennikarskich relacjach nudna konferencja stanie się wydarzeniem bez precedensu, natomiast za tydzień nikt nie będzie już o niej pamiętał, gdyż nagłówki grzmieć będą świeżymi, choć przecież równie dętymi sensacjami.

Gdy wrócili do redakcji, okazało się, że naczelnej nie ma. Maciek zaproponował, że zrobi kawy w nowym ekspresie ciśnieniowym, który od momentu zakupu cieszył się wśród dziennikarzy niesłabnącą popularnością. Weronika, nie tracąc czasu, od razu przystąpiła do przygotowywania informacji o konferencji na stronę internetową „Wiadomości”. Niespodziewanie redaktor Jarzyna zagadnął koleżankę:

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że to jest sensacja?

Uniosła głowę znad klawiatury i musiała wyglądać wyjątkowo bezradnie, skoro Maciek poczuł się w obowiązku sprecyzować pytanie:

– Mówię o tym, czego dowiedziałaś się od tego dziadka w Rybnej, jak mu tam szło?

– Kampka. Franciszek Kampka – odpowiedziała zaskoczona, po czym dodała ze złościwością: – Czyli jednak cokolwiek kojarzysz z konferencji?

– Oczywiście, że wszystko pojąłem, za kogo mnie masz, kobieto?
– Przeszedł na swój ulubiony, ironiczny ton. – Rozumiem, że wszystkie rewelacje tego Kampki masz nagrane?

– Nie mam.

– Jak to nie masz?! – Podniósł głos i prawie podskoczył.

– Nie mam, bo obiecałam, że nie będę rejestrować naszej rozmowy.

– Jak więc chcesz udowodnić swoje odkrycie? Dziewczyno, czy nie rozumiesz, że w tym kraju nie wolno ci napisać niczego, co nie znajdowałoby potwierdzenia w dowodach?

Spojrzała na niego urażonym wzrokiem i nie odpowiedziała.

– No dobrze – dodał po chwili – przepraszam, że się uniosłem. Ale nie możesz opublikować artykułu powstałego wyłącznie na podstawie własnych domysłów.

– Na razie nie chcę niczego drukować. Przyrzekłam panu Franciszkowi, że dopóki żyje, nie wspomnę o nim ani słowa. I obietnicy dochowam. Poza tym dowody i tak mam. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Jakie dowody?

– Zapisy w księgach metrykalnych. A konkretnie w księdze chrztów.

– Eee – zachnął się. – Czy pojawia się w nich nazwisko von Koschützkiego?

- Oczywiście, że nie. Był protestantem.

- No więc właśnie. Czyli jednak niczego nie masz. -
Zrezygnowany redaktor usiadł na fotelu, który jęknął pod jego ciężarem.

- Maciek, słuchaj, w tej historii jest jeszcze jeden wątek. I to ten chciałabym zbadać - oznajmiła konfidencjonalnie.

- Mhm?

- Kwestia własności pałacu w Rybnej.

- Bzdura. Problem mienia poniemieckiego jest od dawna prawnie uregulowany - odparł beznamiętnie.

- Tak uważasz? To posłuchaj.

Tu Weronika w szczegółach zrelacjonowała koledze wszystko, czego dowiedziała się od starego Kampki.

W pokoju redakcyjnym zapadła cisza. Weronika wyczuwała, że pomimo swobodnej pozy, którą przybrał, Maciek intensywnie myślał. Brak jego reakcji tylko utwierdzał dziennikarkę w przekonaniu, że wszystko, co odkryła, nie jest wartą funta kłaków rewelacją lokalnego pisemka, jak jej się w przyływie melancholii nieraz zdawało, ale prawdziwą sensacją na skalę przynajmniej regionalną. Chcąc jednak przerwać ciężącą coraz bardziej ciszę i zmniejszyć prawdopodobieństwo, że kolega znów zapadnie w mimowolną drzemkę, zapytała:

- Powiesz coś?

- Ale co? - odparł jak człowiek wybudzony z głębokiego snu.

- Co o tym wszystkim myślisz. Maciek, czy ty mnie w ogóle słuchałeś?!

- Oczywiście.

- Więc?
- Brzmi całkiem interesująco.
- Tylko tyle?
- Wydaje się wiarygodne, ale... - zawiesił głos.
- Ale?
- Ale to złudne wrażenie.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Co zamierzasz? - zapytał w odpowiedzi.

- Właśnie próbuję poprosić o radę starszego kolegę. -
W pomieszczeniu znów zapadła nieznośna cisza, którą potęgował tylko szum wiatraków komputerowych i dochodzący zza okien szmer samochodów przemierzających się ulicą Bytomską.

- Której jednak nie otrzymasz. - Gwałtownym ruchem Maciek przechylił filiżankę, jakby wlewał w gardło płyn inny niż ciepła, aromatyczna kawa. - A przynajmniej nie otrzymasz jej w tej chwili. - Uśmiechnął się kokieteryjnie i podniósł z fotela. - No, to narka!

„Świnia”, pomyślała Weronika, gdy zatrzaskały drzwi.

- Co za świnia! - powtórzyła na głos, kiedy zorientowała się, że nie tylko zdradziła Jarzynie całą tajemnicę, nie otrzymując w zamian nic poza sapanieciami znudzonego czterdziestolatka, ale przede wszystkim, że została sam na sam z pustą kartą, którą powinna była wypełnić zgrabną relacją z policyjnej konferencji, w czym kolega miał jej przecież pomóc. - Po prostu męska szowinistyczna świnia!

*

Opuszczając redakcję „Wiadomości”, Weronika postanowiła przespacerować się i przewietrzyć umysł, który wydawał jej się mocno przegrzany. Ruszyła przed siebie, w głąb srebrnego miasta,

które – zmęczone całodzienną krzątaniem – od dobrych kilku kwadransów trwało w swej prowincjonalnej, przedwieczornej drzemce. Zmęczone słońce leniwie prześwitywało przez szczeliny pomiędzy budynkami. Gęsty jeszcze niedawno ruch samochodów na ulicach Bytomskiej i Piłsudskiego rozrzedził się wyraźnie, a przemierzający chodniki w centrum tłumek rozpiechł się gdzieś po domach, gdzie celebrował spóźnione obiady i telewizyjne podwieczorki. Lubiała puste o tej porze miasto.

Gdzieś w okolicy seledynowej ściany secesyjnej kamienicy przy Piastowskiej pomyślała, że w zasadzie Maciek ma rację. „Niczego nie mam, żadnego dowodu, którym mogłabym potwierdzić swoje odkrycie – pomyślała. – Wszystko, czego dowiedziałam się do tej pory, równie dobrze może okazać się bajką, fantasmagorią miłego staruszka cierpiącego na chorobę Alzheimera. Jedyną sensacją, na jaką zasługują Tarnowskie Góry, jest śmierć obcokrajowca w niewyjaśnionych okolicznościach, które przy odrobinie dociekliwości najpewniej wkrótce wyjdą na jaw i zgon stanie się logiczną konsekwencją wcześniejszych zdarzeń, o których teraz jeszcze nikt niczego nie wie”.

Ulica Karola Miarki zawsze zdawała jej się jak ze starego filmu: drobny bruk, nadgryzione zębem czasu elewacje domów, zalatujący z otwartych okien zapach smażonych kotletów i gotowanej kapusty. „Dlaczego jednak mam się ograniczać, dlaczego nie miałabym uwierzyć i podążać tropem tajemnicy sprzed lat? – zapytywała sama siebie. – Bo brzmi jak fabuła tandetnej powieści przygodowej? Być może, ale, ale, zaraz, zaraz, czy gdybym nagrała pana Franciszka, cała historia nagle zyskałaby na wiarygodności? Przecież to absurd, to chore!”, obruszyła się sama na siebie i skręciła w stronę Kaczyńca,

choć najbardziej z całej ulicy lubiła dwie szare kamienice usytuowane u jej końca, tuż przed szkołą gastronomiczną.

W pewnej chwili przyszła jej do głowy myśl, że powinna jednak upublicznić wiedzę, jaką nabyła w trakcie swego miniśledztwa. Początkowo nieśmiały, z każdym kolejnym krokiem dziennikarki pomysł stawał się coraz bardziej natarczywy i jak wstrętna, tłusta i zielona mucha krążył jej w głowie, bzyczał i nie pozwalał o sobie zapomnieć.

„No jasne!”, jak dziecko ucieszyła się na myśl o swoim profilu facebookowym, ostatnio wprowadzie trochę zapomnianym, ale idealnym – jak jej się teraz zdawało – miejscu na ogłoszenie rewelacji o tym, że syn ostatniego właściciela majątku w Rybnej wciąż żyje. „Przecież nie muszę wspominać ani słowem o Franciszku Kampce – przekonywała sama siebie – a prawo prasowe gwarantuje mi zachowanie mojego źródła informacji w tajemnicy. W ten sposób dotrzymam obietnicy danej panu Franciszkowi, a moje odkrycie wreszcie ujrzy światło dzienne”.

Podniecona najświeższym pomysłem skręciła w stronę ulicy Legionów i przyspieszyła kroku. W drodze na przystanek autobusowy obmyślała treść wpisu, który postanowiła koniecznie jeszcze dziś zamieścić na portalu społecznościowym. Ma być krótki i treściwy, sama esencja, zapadający w pamięć, a jednocześnie dosadny: *Nieślubny syn hrabiego von Koschützkiego żyje. Przez lata skrywał tajemnicę swego pochodzenia. Czy teraz zdecyduje się zawalczyć o odzyskanie pałacu w Rybnej?*

Tak, wiedziała doskonale, że taka treść z daleka śmierdziała tabloidem, ale wiedziała też, że tylko taka była skuteczna, bo

przyciągała uwagę i nie pozwalała przejść obojętnie, wymuszała pytania i wyzwalała emocje. I na nie właśnie najbardziej liczyła.

Rozdział IX

To był strzał w dziesiątkę. Siedząc przed ekranem laptopa, Weronika Maszczyk mogłaby powtórzyć tylko piarowski gest byłego premiera, który obfitą gestykulacją i charakterystyczną mimiką okraszona bojowym okrzykiem *Yes, yes, yes!* dał niegdyś wyraz swemu szczęściu z powodu jakiegoś politycznego dealu. „Tak, po trzykroć *yes!*”, myślała, obserwując, jak liczba lajków pod jej wpisem rośnie z prędkością większą niż częstotliwość odświeżania witryny przez komputer. Po niedługim czasie pojawiły się pierwsze komentarze. Zrazu wyłącznie pozytywne, uderzające w pochwalne tony, później również neutralne, niekiedy z odrobiną goryczki, niekiedy z ledwie wyczuwalną ironią. O ile wyrosła już z wieku, w którym rzeczywiście cieszyła się z fejsbukowych, nieszczerých i czczych, choć przecież mile łechcących ego komplementów, o tyle w tych drugich dostrzegała zawołowaną dezaprobatę, a czasem nawet ukrytą między wierszami naganę.

Tym razem jednak postanowiła nie reagować i poczekać na rozwój dyskusji w sieci. Doskonale wiedziała, że internet rządzi się swoimi prawami, a wszystkie próby ich skodyfikowania już dawno spełzły na niczym. Trudno było więc przewidzieć, jak skończy się draka, a już z całą pewnością nie należało na nią przesadnie wpływać. Ważny był w końcu sam fakt wywołania sensacji i oczywiście jej autor, odkrywca. By więc nie zepsuć ostatecznego

efektu, wyłączyła zielony symbol dostępności w serwisie społecznościowym, a po chwili w ogóle zamknęła urządzenie.

– Jutro się zobaczy – powiedziała do siebie z zadowoloną miną.

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, ŚRODA

Tymczasem jutro, kiedy już nadeszło, przywitało dziewczynę skrzeczącym dźwiękiem telefonicznego budzika, nie zwiastując fajerwerków. Prysznic oraz wypijana w trakcie babskiej toalety poranna kawa – realizacja żelaznego programu – zawsze zabierały jej więcej czasu, niż miała do dyspozycji. A widok dziennikarki goniącej z rozwianym włosom do autobusu i dopinającej w biegu guziki wierzchniego odzienia należał na osiedlu Przyjaźń do lokalnego kolorytu, by nie rzec – folkloru. Kilkuminutowa podróż do centrum Tarnowskich Gór okazywała się najlepszą okazją do zebrania myśli i ustalenia jako takiego planu działań na najbliższy dzień lub przynajmniej pierwszą jego połowę.

Dopiero po usadowieniu się na wyściełanym pluszową wykładziną plastikowym fotelu i wyciągnięciu telefonu z niedowierzaniem odkryła nieodebrane połączenie i kilka wiadomości. „Karol – zdziwiła się – a czegoż to mógłby chcieć ode mnie o tej porze?”. Odsłuchiwała pocztę głosową, ale nie znalazła nowego nagrania. „Albo się pomylił i przez przypadek wybrał mój numer, albo nic ważnego i zadzwoni później”, skonstatowała i zabrała się do odczytywania esemesów. Jak można było przypuszczać, wszystkie dotyczyły wczorajszego wpisu na fejsie.

Z pełnym oczekiwania napięciem natychmiast połączyła się też z portalem, by poznać efekty wczorajszej rozróby. Liczba polubień dochodziła jednak dopiero pięćdziesiątki i okazała się dla Weroniki

sporym rozczarowaniem. Liczyła na więcej. Komentarze też nie przytłaczały ani ilością, ani treścią. Z zaciekawieniem dostrzegła natomiast inny komunikat. – „Thomas Jeschke prosi Cię o przyjęcie do grona znajomych” – informował portal. Kliknęła w nazwisko i po chwili z wyświetlacza telefonu spoglądał na nią brunet o pociągłej twarzy i intensywnie jasnych oczach. „No, ciacho z ciebie, chłopaczku, ale skąd ja ciebie w ogóle znam?”

Nim jednak zdążyła sobie odpowiedzieć, autobus otwarł drzwi pod gmachem liceum Staszica i dziennikarka w pośpiechu musiała salwować się ucieczką z pojazdu.

– Czołem – przywitała się po wejściu do redakcji, lecz odpowiedział jej tylko szum ekspresu, wydzielającego intensywny aromat świeżej kawy. Usiadła więc na swoim miejscu przed ekranem i wtedy odezwała się pani Terenia.

– Chyba będziesz musiała porozmawiać z szefową.

– Ups, czyżbym została wezwana na dywanik?

– Hela była dziś punkt ósma i kazała ci przekazać, żebyś zajrzała do niej zaraz po przyjściu.

– Cóż, raz kozie śmierć... – Weronika machnęła ręką i zrezygnowana ruszyła do gabinetu naczelnej.

Wbrew przypuszczeniom wszystkich szefowa okazała się dla niej nader litościwa, rozmowa zaś, która – rzecz jasna – nie mogła dotyczyć innego tematu, jak tylko wczorajszego wpisu na profilu dziennikarki, przypominała raczej poradę doświadczonej koleżanki niż surową reprimendę przełożonej. Pogawędka nie trwała zresztą zbyt długo, bo podczas spotkania Helena Bonk otrzymała informację o śmiertelnym wypadku na drodze krajowej w Nakle Śląskim

i zdecydowała wysłać na miejsce właśnie Weronikę. I to czym prędzej.

*

Cinquecento, do którego wsiadła, było niewiele młodsze od niej samej. I z całą pewnością mogłoby liczyć na względy dziewczyny lubującej się w południowym typie urody, gdyby oczywiście było Włochem oryginalnym, a nie północną, tuską podróbką. Jedyne bowiem, co pojazd miał wspólnego z Południem i jego mieszkańcami, to niemiłosierny bałagan panujący wewnątrz oraz smród papierosów i plastikowej tapicerki, pod wpływem wysokiej temperatury roztopiającej się i rozkładającej na czynniki pierwsze. Wysłuzony do granic możliwości samochód był własnością redakcji. Wykorzystywano go do pilnych wyjazdów na terenie powiatu. Takich jak właśnie kolizje drogowe, które prócz rzadkich zmian na stanowiskach władzy stanowiły jedyną, regularną sensację prasową.

Relacje z wypadków nie należały do specjalnie uciążliwych, toteż cieszyły się całkiem sporą popularnością wśród dziennikarzy. Zwłaszcza że później trafiały najczęściej na pierwszą stronę gazety, no i pewnie również dlatego, że nie wymagały od piszącego przesadnej inwencji twórczej. Składała się na nie bowiem krótka charakterystyka sytuacji i okoliczności, dwie lub trzy udzielone na gorąco – na miejscu zdarzenia – wypowiedzi policjantów, kilka fotografii zmasakrowanych wraków i krótki komentarz odautorski. Ten ostatni ograniczał się z kolei do wyrazów dezaprobaty wobec łamania przepisów i cokolwiek ckliwego zawodzenia nad ofiarami oraz pozostawionymi przez nie na pastwę losu rodzinami (i

czworonogami, gdyż naczelna należała do zagorzałych członków miejscowego Klubu Przyjaciół Zwierząt „Homo Animalibus”).

Kiedy już minęła rondo, Weronika wrzuciła na luz i postanowiła spuścić samochód z pochyłości wiaduktu. Jednocześnie wygrzebała z torebki telefon i machinalnie sprawdziła, czy nikt się do niej w międzyczasie nie dobijał. Wyświetlacz wskazywał tylko jedno nieodebrane połączenie: znowu od Karola. „A więc rano to jednak nie była pomyłka, skoro dzwonił i teraz. Chyba jak byłam u Heli”, pomyślała i już zabierała się do oddzwonienia, gdy kątem oka dostrzegła, że biały dostawczak przed nią nagle znalazł się niebezpiecznie blisko maski zdezelowanego cinquecenta. Odruchowo wcisnęła pedał hamulca i, tak jak to bywa przedstawione w filmach, gdy czas nienaturalnie spowalnia, obserwowała, jak ślizgiem łysych opon, przy przeraźliwym pisku i smrodzie palonej gumy zbliża się do busa. Nie czekając kraksy, zamknęła oczy. Trzask giętej w zderzeniu blachy ani wystrzał hartowanego szkła szyb jednak nie następował. Przekonana, że samochód, niczym piłka w replayu, nadal ospale zmierza w stronę przeznaczenia, a chwila zderzenia za chwilę nastąpi, nie unosiła powiek. Z nogą na hamulcu sztywno wbitym do samej podłogi czekała. I trwała tak w zawieszeniu, jak jej się zdawało, w dziwnym letargu, zawieszona w próżni, dopóki nie wyrwał jej z tego stanu chór wściekłych klaksonów, który dosłyszała zza pleców. Wówczas dopiero odważyła się otworzyć oczy.

Ostrożnie uniosła powieki. Nie dostrzegła jednak przed sobą ani białego dostawczaka, ani żadnej innej przeszkody. Na jezdni nie leżała sterta złomu, nikt nie krwawił, nie wzywał pomocy, nie

mrugały oślepiające koguty policji, pogotowia i innych służb ratowniczych. Prawy pas był zupełnie pusty. Tak po prostu.

– Ale jak to, co jest grane? – zapytała na głos. Jazgot trąbiących wściekle kierowców nie pozwolił jednak na podjęcie wątku. Zebrała się więc w sobie, odpaliła samochód, który ze zgaszonym silnikiem stał na środku ulicy, i ruszyła. Kilkanaście metrów dalej skręciła na samoobsługową stację benzynową, świadomie oszczędzając sobie spojrzeń rozjuszonych przymusowym postojem na wiadukcie szoferów.

Zarzuciła na ramię torebkę i wyszła z samochodu. Potrzebowała świeżego powietrza, by ochłonać. Dużo świeżego powietrza.

„Albo dzieją się wokół mnie dziwne rzeczy, albo mam zwidy – perorowała w myślach. – Tylko jedna odpowiedź jest prawidłowa, choć ta druga chyba jednak gorsza. Więc albo zatrzymałam się na drodze, by uniknąć zderzenia z białym busem – skąd wobec tego te wściekle klaksony z tyłu i gdzie się podział ten cholerny dostawczak? Albo to wszystko wydarzyło się tylko w mojej głowie, a chore majaki przeniosłam do rzeczywistości, budząc się niespodzianie na środku jezdni”.

– A wtedy, o, wtedy to ja bardzo przepraszam szanowne panie i panów stojących za mną, bo wtedy... to powinno się mnie zamknąć w wariatkowie. W niskich domkach bez klamek, do kurwy nędzy! – wycedziła zza ściśniętych ze wzburzenia zębów.

W tym momencie zadzwonił telefon. Z irytacją wyjęła aparat i spojrzała na wyświetlacz, na którym mrugało imię: Karol.

– Czego on znów ode mnie chce? – powiedziała na głos i wrzuciła urządzenie do torebki. Wsiadła na powrót do ciasnego auta i ze złością trzasnęła drzwiami. Była spóźniona i nie miała czasu na

dzielenie włosa na czworo. Musiała odbębnić pilną robotę, bo na miejscu kolizji mieli ważniejsze sprawy do załatwienia niż oczekiwanie na udział w sesji zdjęciowej dla prowincjonalnej gazetki.

– Pieprzony dzień... – Westchnęła.

Dalsza droga do Nakła Śląskiego minęła szybko i sprawnie. Wjazd do miejscowości od strony zachodniej przedstawiał się urokliwie o każdej porze roku. Za skrzyżowaniem z obwodnicą Tarnowskich Gór chaotyczne zabudowania przedmieść urywały się jak ręką odjął. Za szybą cinquecenta rozpościerały się pofałdowane z jednej strony, puste przestrzenie pól – upstrzone, niczym archipelagiem bezludnych wysepek, kępami drzew o regularnych, obłych kształtach. Dalej, za zakrętem wysadzanym szpalerem klonów i jesionów szosa wyrastała spiczasta wieża neogotyckiego pałacu Henckel von Donnersmarków. Jakby dla kontrastu z jej smukłą sylwetką po przeciwnej stronie rodowej posiadłości nieśmiało przycupnęła przysadzista neoromańska bryła ceglanego kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Do kraksy doszło na skrzyżowaniu z biegnącą wzdłuż przypałacowego parku ulicą Powstańców. Z dziennikarskiego punktu widzenia wydarzenie prezentowało się całkiem atrakcyjnie. Malowniczo splecione wraki dwóch samochodów stanowiły symboliczny obraz tragicznych skutków ludzkiej lekkomyślności, a grozę pejzażu podkreślali dodatkowo strażacy w pełnym rynsztunku, kłęby piany gaśniczej, plamy piasku na asfalcie i stojące na poboczu puste nosze pogotowia ratowniczego. Choć i bez tego nikt nie robiłby jej specjalnych problemów, na szyi zawiesiła laminowaną legitymację prasową „Wiadomości”. Uważnie

sprawdzając, czy wszystkie elementy dramatycznej scenografii znalazły się w kadrze, pstryknęła kilka okolicznościowych zdjęć. Następnie podeszła do oficera policji i w kołonoatniku zapisała parę nieskładnych wypowiedzi funkcjonariusza, z których miała nadzieję wyłowić informację o przyczynach wypadku. Następnie wdała się w pogawędkę z wąsatym strażakiem, który z kolei nad wyraz barwnie opisał jej proces rozcinania karoserii uszkodzonego pojazdu i wydobywania ciała ofiary. W ciągu godziny materiał potrzebny do sporządzenia typowego artykułu miała zgromadzony. Mogła wracać.

W redakcji panowała gorąca atmosfera. Zza otwartych drzwi swojego gabinetu naczelna wykrzykiwała jakieś inwektywy skierowane do nieobecnego felietonisty, który znów na czas nie dostał artykułu. Maciek przez telefon głośno ustalał warunki publikacji tekstu sponsorowanego, a pozbawiona większych ambicji pani Terenia usiłowała w roli sekretarki doczekać fajrantu. Weronika schroniła się za ekranem swojego komputera i przystąpiła do konstruowania artykułu. Jak zwykle, gdy chciała odizolować się od redakcyjnego zgiełku, nałożyła na głowę wielkie słuchawki i wyszukała odpowiednią do nastroju muzykę. Po porannej przygodzie potrzebowała teraz spokoju i wewnętrznej równowagi.

Z monotonii pracy wyrwał ją dopiero mrugający ekran telefonu. Pochłonięta pisaniem, zatopiona w muzyce, dźwięku połączenia i tak by nie słyszała. To Karol dzwonił po raz czwarty. Nim jednak zdążyła chwycić pobłyskujące miarowo urządzenie, próba nawiązania kontaktu została przerwana. Zerknęła na zegar. Minęła piętnasta. Podniosła się z fotela, by rozprostować zeszytwniałe kości,

i wyszła przed budynek redakcji, by oddzwonić. Odebrał już po pierwszym sygnale.

– Hej, pali się czy jak? – zaszcebiotała bardziej zaczepnie niż z wyrzutem.

– Weronika... – po drugiej stronie słuchawki jej wesoły głos zderzył się jednak z murem.

– No, co jest?

– Weronika... Weronika, dziadek Franciszek nie żyje – wyrzucił to z siebie wreszcie.

– Ale co ty w ogóle mówisz? – zapytała, jakby chciała oddalić prawdę, którą przyjaciel próbował jej przekazać. – Karol...

– Weronika... To ty go zabiłaś.

– Karol, co ty pleciesz? – Nie wiadomo, czy bardziej z powodu szoku wywołanego zaskakującą informacją, czy bardziej ze wzburzenia na skutek postawionego oskarżenia, krew uderzyła jej do głowy. – Człowieku, zastanów się, co ty, kurwa, pierdolisz!

Karol niczego już jednak nie odrzekł. Po chwili w słuchawce rozległ się sygnał przerwanej rozmowy, który swą obojętną powtarzalnością tylko spotęgował jeszcze furję dziewczyny. „Skończony debil!”, pomyślała i wyładowała swą złość na drzwiach do redakcji, które aż jęknęły, zderzając się z futryną.

Maciek spojrzał zdziwiony na wchodzącą, ale napotykając piorunujące spojrzenie młodszej koleżanki, szybko odwrócił wzrok. Weronika tymczasem rzuciła się na obrotowy fotel i zniknęła za ekranem komputera. O dalszej pracy oczywiście nie miała nawet co marzyć. Z irytacją pomyślała, że będzie musiała odrobić zaległości wieczorem. Dopiero po chwili, gdy odsunęła od siebie absurdalne zarzuty Karola, dotarło do niej, że Franciszek Kampka nie żyje.

Świadomość, że nigdy go już nie spotka, uprzytomniła jej, że polubiła starszego pana i że w pewien nieoczywisty sposób stał się bliskim jej człowiekiem.

Wówczas dopiero wściekłość minęła, a jej miejsce zajął żal nad zmarłym, nad sobą, nad całym światem. Chciało jej się wtulić twarz w poduszkę i płakać, wypłakać całą gorycz, która niespodziewanie wezbrała wielką falą i utknęła gdzieś w okolicach gardła.

Po policzku dziewczyny spłynęła łza. Samotna łza wyłobiła bruzdę w makijażu, zwilżyła skórę i przetała szlak. Po chwili jej śladem ruszyły następne, a później płynęły już strumieniem, podczas gdy drobnym ciałem Weroniki wstrząsały spazmy szłochu. Maciek spoglądał na koleżankę bezradnie, wołał jednak zachować dystans.

Gdy się wreszcie uspokoiła, wyłączyła komputer, przerzuciła torbę przez ramię i bez słowa pożegnania wyszła z redakcji.

Rozdział X

W domu Weronika nawet nie zerknęła do internetu. Popularność wczorajszego posta na Facebooku zupełnie przestała ją interesować. Zresztą prawie o nim zapomniała. Podobnie jak o kolacji i kilku jeszcze innych obowiązkach domowych. Leżąc w wypełnionej po brzegi wannie, obsesyjnie myślała o panu Franciszku.

Coś ją w jego niespodziewanej śmierci gryzło, uwierało, coś nie pasowało. Nie wiedziała tylko, co dokładnie. Na pierwszy rzut oka doszukiwanie się w tej historii drugiego dna byłoby szaleństwem i z pewnością skończyłoby się kompromitacją śledczego z Bożej łaski. Jedno wszak pytanie zaległo się w jej głowie i nie dawało spokoju: czy śmierć starca mogła mieć coś wspólnego z opublikowaniem informacji o bękarcie Koschützkiego?

Jak tylko mogła, starała się odrzucić natrętną i absurdalną myśl, prowadząc z sobą samą wewnętrzną dialog.

„Śmierć dziewięćdziesięcioletniego staruszka nie jest niczym szczególnym i jakkolwiek przykro to może wyglądać, należało się jej spodziewać raczej wcześniej niż później”, analizowała ukryta w Weronice racjonalistka.

„Dziwne jest tylko to, że kiedy go widziałas, nic nie zapowiadało, że właśnie znajduje się na łożu śmierci”, drażyła jej sceptyczna połowa.

„Nie jestem lekarzem, nie wiem, jak wygląda umierający człowiek”.

„Z pewnością nie robi wrażenia energicznego i wesołego staruszka. Poza tym, śmierć wybiera się do Franciszka akurat dokładnie po tym, jak publikujesz sensacyjną wiadomość o dziecku z nieprawego łóża ostatniego właściciela Rybnej. Nie sądzisz, że przedziwna jest również owa zbieżność?”

„Może jest dziwna, a może tylko przypadkowa. Poza tym nikt poza mną i samym Franciszkiem nie znał tajemnicy jego pochodzenia”.

„Nikt nie znał, czy może nikt się z tą wiedzą nie ujawniał?”

Pachnąca piana opadła, a woda w wannie już dawno zrobiła się zimna. Spojrzała na zegar. Było grubo po dwudziestej trzeciej. Podniosła się i otuliła białym, miękkim ręcznikiem kąpielowym. W głowie miała mętlik. Po wszystkich przygodach tego dnia sama nie wiedziała już, co jest prawdą, a co fikcją – co przydarzyło jej się naprawdę, a co podpowiadała rozbuchana czy też może chora wyobraźnia. Pewna była jednego: potrzebowała pomocy w rozdzieleniu rzeczywistości i iluzji.

Maciek. Tak, ten grubas mógłby pomóc mi wrócić na ziemię. Szkopuł tylko w tym, że mu się nie chce.

Wzięła do ręki komórkę i zgrabnymi ruchami długich palców wystukała treść esemesa: „Franciszek K. nie żyje”.

Żeby się nie rozmyślić, czym prędzej nacisnęła komendę „wyślij”. Potem położyła się, nogi przyciągnęła do siebie i tak w pozycji embrionalnej, naciągnawszy kołdrę na głowę, wymamrotała: „Dobrej i spokojnej nocy, Weruś”.

Półmrok. Długi korytarz. Jasne ściany oklejone materiałową tapetą. Na ścianach kinkiety. Kasetonowa boazeria drewniana do wysokości biodra. Białe drzwi ukryte w potężnych portalach.

Stylowe gzymsy nad drzwiami. Na podłodze parkiet, misternie ułożony w romby. Intarsjowany. Godny i dostojny, jak wszystko wokół.

Na parkiecie damski trzewik z miękkiej skóry. W trzewiku stopa, obok druga. Parkiet delikatnie skrzypi pod niepewnymi stąpięciami. Raz, dwa, trzy... Zatrzymuje się. Jest cicho. Oko przyzwyczajają się do półcienia. Elegancja wokół powtarzalna, przewidywalna staje się monotonna. Wyszukane obicia drzwi, boazeria, parkiet nie mają odniesienia, tła, na którym mogłyby błyszczeć.

Cisza. Głucha cisza dopełnia monotonii otoczenia. Rusza dalej. Parkiet skrzypi, wypełnia ciszę – o, tak lepiej. Korytarz zdaje się nie mieć końca. W sercu po raz pierwszy pojawia się niepewność. Idzie jednak dalej. Zatrzymuje się, skrzypienie ustaje. Zalew ciszy. Obraca się i spogląda za siebie. Nic. Kieruje się w stronę drzwi po prawej, podchodzi i decyduje wejść. Niepewnie przekręca gałkę, ale drzwi nie ustępują. Rezygnuje.

Podchodzi do kolejnych drzwi, po lewej. Obraca gałkę, zamknięte. Dalej. Mija kolejne skrzypiące romby parkietu. Kielkuje lęk. Korytarz musi się wreszcie skończyć. Nie ma przecież nieskończonych się korytarzy. Ale końca nie widać. Oddech przyspiesza, tętno rośnie. Pantofle z miękkiej skóry coraz szybciej przeskakują intarsjowane klepki.

– Może za tymi jest wyjście? – Zatrzymuje się przy drzwiach. Skrzypienie drewna ustaje. Kołatanie serca. Promyk nadziei. Zimną mosiężną gałką kręci w prawo. Ale drzwi pozostają nieruchome. Przyspiesza kroku. Rozgląda się nerwowo, na boki i w tył. Wszędzie ta sama wytworność. Przestaje być nużąca, robi się zimna i... Boi się

pomyśleć, czy elegancja może być również straszliwa. – Nie, nie dajmy się ogłupić.

Znów przyspiesza. Prawie biegnie. Końca korytarza wciąż nie ma. „A może należało pójść w drugą stronę? Absurd. Któreś w końcu muszą być otwarte”. Mija kolejne portale. Stop. Wybiera na chybił trafił. Te z lewej. Ułamek sekundy zwątpienia, ułamek nadziei. Gałka. Zdecydowany ruch dłonią. Skrzypienie.

Dysonans. Coś nie gra. Zastanawia się. Skrzypienie nastąpiło w niewłaściwym momencie. Pojawia się nadzieja, drzwi skrzypnęły. Zachrzęściły dawno nieoliwione zawiasy. Popycha ostrożnie białe skrzydło. Szczelina pomiędzy nim a framugą się powiększa. Jest jasna i wytryska w mrok. Smuga światła rzuca obraz. *Camera obscura*. Obraz odbija się na zwiewnej, letniej sukience. „Nie mam takiej sukienki, skąd się...”. Stop. Nie ma czasu na refleksje o garderobie, nie teraz – Przywołuje się do porządku i zagląda w szczelinę.

Jasno. Duże okno. Firanki i zasłony, kotary raczej – stop, nie pora na finezję – upięte misternie po obydwu bokach okna. Parkiet: romby, jakby jeszcze bardziej szykowne, silniejszy kontrast odcieni drewna. Portret na ścianie. Chyba Chopin. Długimi palcami pianisty – czyli jednak on – wertuje kartki. Zapewne nuty jakiegoś, preludium, polonez albo nokturn. Nieważne.

Fotele. Wiele chaotycznie rozstawionych foteli. Eleganckie, z wykrzywionymi wykwinicie nogami, zawijającymi się oparciami i podłokietnikami. Obite tkaniną w delikatne pasy, beżowe. Nie, perłowe.

Na jednym człowiek. Odwrócony tyłem do wejścia. Spod oparcia wystaje głowa wyrastająca z chudej szyi. Krótkie, siwe włosy,

poprzetykane gdzieniegdzie czernią. Cisza. Bezruch, brak życia, głowa tkwi nieruchomo. Człowiek śpi?

Popycha więc drzwi. Zawiasy znów skrzypią.

– Nie skrzyp. Czekałem na ciebie – nie odwracając się, przemawia męskim, starczym głosem.

Znów lęk, szybsze bicie serca, krew krąży w żyłach, rozgrzewa nadmiernie rozpalone policzki. „Na mnie – myśli – na mnie? Chyba się pogubiłam”. Na głos nie mówi jednak niczego. Czeka. Milczy. Ale to starzec jest panem sytuacji. Więc i on milczy, wyczekuje, rozgrywa, przeciąga tę chwilę niepewności, zawieszenia do granicy wytrzymałości. Wreszcie, jakby z litości, a może ujęty jej nieustępliwością, znów się odzywa:

– No chodź, nie bój się.

I próbuje powstać. Starczym uściskiem skostniałych dłoni kurczowo chwyta oparcie fotela i powoli podnosi się na rękach. Musi tak chwilę pozostać zgarbiony i skurczony, nim odzyska pełną władzę w sztywnych nogach. Ale nim to nastąpi, nim stanie wreszcie o własnych siłach, odwraca głowę do drzwi.

Stoi jak zahipnotyzowana, bo twarz starca skąpana jest w świeżej krwi. Jej strużki spływają mu z czoła, płyną po głębokich oczodołach, zapadniętych policzkach i ostrym nosie, po brodzie. Kapią na białą koszulę, spodnie i plamią intarsjowany parkiet.

– To nic, zmyje się, to tylko krew – mówi z delikatnym uśmiechem. A ona patrzy i dostrzega w tym uśmiechu starca, którego zna, którego gdzieś widziała i z którym rozmawiała. Widzi pana Franciszka i usilnie próbuje sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i który to ze światów.

Ale pan Franciszek już stoi o własnych siłach, już drepce w stronę otwartych drzwi, już wyciąga do niej rękę w powitalnym geście. Więc ona czuje, jak umyka gdzieś nadzieja, rodzi się zwątpienie, a zaraz po nim wraca lęk, czuje, jak ogarnia ją przerażenie na widok umazanego krwią starca, który nie żyje, lecz który mówi, który zmarł, ale zmierza teraz w jej stronę z wyciągniętą ręką.

– Chodź, opowiem ci wszystko, wszystko, jak było... – Uśmiecha się wciąż i idzie.

I bardziej widzi, niż przeżywa, niż kreuje, niż współtworzy tę scenę. Widzi, jak pantofle z miękkiej skóry robią półodwrot i znów są na skromniejszych, ale przecież wciąż dostojnych i godnych rombów parkietu. Jak pomykają, biegną, jak sprawnie przeskakują po klepkach. Jak gołe kolana unoszą się spod letniej, zwiewnej sukienki i napędzają mięśniami tę maszynę strachu, w którą się przeobraziła.

Ale nie słyszy już skrzypienia drewnianej podłogi. Nie słyszy nawet dudnienia odbijających się od podłogi stóp. Słyszy tylko rozlegające się za nią wołanie:

– Nie uciekaj, wszystko ci opowiem, wszystko jak było!

Ujęta prośbą odwraca głowę i widzi zakrwawionego starca, pochylonego pana Franciszka, jak drobi krokami tuż za nią. I wyciągniętą ku sobie rękę ze zgrabiałymi starczo palcami.

A potem zaraz przyspiesza. Ruch powietrza omiata jej twarz. Po obydwu stronach migotają mijane kolejne drzwi w eleganckich obramieniach, mrugają mosiężne kinkiety, na wysokości biodra sunie równy pas drewnianej boazerii. I jeszcze przyspiesza, jeszcze trochę. Brakuje jej tchu, biegnie ostatkiem sił, ale wciąż słyszy za sobą wołanie, słyszy człapanie starca, czuje prawie jak palcami

o zrogowaciałych paznokciach zagłębia się w jej falujące włosy, jak chwyta, szarpie, usiłuje zatrzymać, by opowiedzieć jej wszystko. Ale ona nie chce słyszeć, jak było, wyrywa się i próbuje biec dalej.

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, CZWARTEK

Dzwonek. Intensywny, świdrujący, zdolny postawić na nogi nieboszczyka. Weronika otworzyła oczy i machinalnie sięgnęła po komórkę. Rozejrzała się niepewnie wokół, jakby przeniesiona wprost z innej galaktyki. Wszystko było jednak na swoim miejscu: wielkie łóżko, czerwona pościel, okno, a za oknem szare niebo zwiastujące nijaki dzień. Dochodziła siódma. Najwyższa pora na pobudkę.

Podniosła się na posłaniu. Bolały ją głowa i wszystkie mięśnie. Czuła się, jakby wczoraj ktoś ją poturbował. Ze zdziwieniem zauważyła, że skąpa koszulka, w której spała, jest zupełnie mokra. Podobnie prześcieradło i pościel. Wstała. Zakręciło się jej w głowie. Musiała odpocząć. Chyba nie miało sensu iść dziś do pracy. Zadzwoiła do naczelniej i poprosiła o dzień urlopu na żądanie.

Całe przedpołudnie spędziła w łóżku. Wyszła dopiero, gdy poczuła, że dalsze wylegiwanie się nic nie da. Wzięła prysznic i ugotowała pierogi przechowywane w zamrażarce na takie jak właśnie ta okazje. Zjadła obiad. Poczowała się lepiej. Włączyła radio. Nadawali wiadomości, ale ich nie słuchała. Wciąż nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że śmierć starego Kampki nie była jednak zupełnie przypadkowa i że historia pałacu w Rybnej kryje jeszcze wiele nieodkrytych tajemniczych wątków.

Rozdział XI

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, SOBOTA

Siąpiło. Drobinki wody, jakby rozpylone w aerozolu, unosiły się w powietrzu. Deszcz nie-deszcz irytował przechodniów, którzy na przemian to składali, to rozkładali parasole, bezskutecznie próbując ochronić się od falujących kropelek. Ukryta w cieniu granatowej parasolki Weronika Maszczyk noga za nogą wlokła się na końcu konduktu.

„Wymarzona pogoda na pogrzeb”, pomyślała i zaraz boleśnie ugryzła się w język, który, bądź co bądź, z myślami nie miał akurat nic wspólnego. Na przodzie orszaku krzyż chwiał się na wszystkie strony, jak gdyby niosący go ministrant uparł się, by mosiężnemu Zbawicielowi dodać nadprogramowych tortur. Nad niezbyt liczny tłumek, w którym zdecydowanie przeważali emeryci i renciści, od czasu do czasu wyskakiwała jeszcze laska dyrygenta. Rzewne zawodzenie trąb parafialnej orkiestry dętej miało zapewne potęgować posępny nastrój, budzić świadomość kresu istnienia i przemijalności, w rzeczywistości stanowiło jednak tylko tło dyskusji, jakie prowadzili ze sobą uczestnicy procesji.

Minąwszy strzybnicką piekarnię, z której szerokiego komina wolno ulatywał ku górze gryzący, gęsty dym, w akompaniamencie bijących wściekle dzwonów kondukt dowlóknął się wreszcie do świątyni. Chcąc uniknąć wzroku Karola, Weronika nie zdecydowała

się na wejście do nawy, lecz krętymi schodami wdrapała się na chór. Mogła stąd obserwować ceremonię, sama jednocześnie pozostając w ukryciu.

Tuż po rozpoczęciu nabożeństwa na chór wszedł ktoś jeszcze i ulokował się w pewnej odległości za dziewczyną. W miarę upływu czasu coraz wyraźniej odczuwała na plecach jego spojrzenie. Początkowo ją drażniło, później stało się jeszcze bardziej uciążliwe i przeszkadzało w skupieniu. Nie wypadało jej jednak odwrócić się za siebie i ordynarnie sprawdzić, kto wierci wzrokiem dziurę w jej plecach.

W pewnym momencie drgnęła, poruszona hukiem, który organista niespodziewanie wydobył z potężnego instrumentu. Jak głosiła tabliczka przymocowana nad klawiaturą, organy skonstruowała znana na całym Śląsku firma Schlag & Söhne Schweidnitz, ze Świdnicy oczywiście, która przez kilkadziesiąt lat zbudowała w krajach niemieckich grubo ponad tysiąc instrumentów. Znajdując się w niewielkiej odległości od źródła muzyki, Weronika z zaskoczeniem odkryła, że dźwięki piszczałek nie są wcale tak czyste, jak wydają się na dole, gdyż w tle słychać jeszcze szmer klawiszów, trzeszczenie drewnianych pedałów i szum powietrza tłoczonego przez miechy.

Myślami pobiegła do domu pana Franciszka, z którym tak niedawno udało jej się nawiązać szczególną nić porozumienia. Przez chwilę raz jeszcze roztrząsała tragiczny zbieg przypadków ostatniego tygodnia, po czym poddała się nastrojowi chwili i uciekła w pogrzebową refleksję o upływie czasu. Z zadumy wyrwał ją dopiero stukot kroków. Współwierny wyszedł z ławki podczas

rozdzielania komunii i zniknął za niepozornymi drzwiami. Zdążyła dostrzec zaledwie znikającą za rogiem szczupłą męską sylwetkę.

Kątem oka spojrzała za to na usadowionego z boku długowłosego organistę. Lamentując do mikrofonu, niczym wielki owad wymachiwał wszystkimi kończynami równocześnie – jedną dłonią przygrywał na górnej klawiaturze, drugą na dolnej, nogami tańcząc na pedałach basowych. „Dziś moją duszę w ręce Twe powierzam, mój Stworzycielu i najlepszy Ojcze”. Pomiedzy zwrotkami zaś końcem palca przesuwiał po ekranie tabletu. „Do domu wracam jak strudzony pielgrzym, a Ty z miłością przyjmij mnie z powrotem”. Niebieskie kolory na wyświetlaczu urządzenia sugerowały Facebooka, ale nie miało to przecież najmniejszego znaczenia. „Oto bolesne przebudzenie do życia”... Dziewczyna uśmiechnęła się do grajka, a ten odwzajemnił uśmiech.

Podczas odbywającej się na cmentarzu ceremonii pogrzebowej niebo postanowiło najwyraźniej zrobić przerwę i wstrzymało chwilowo opady jesiennego deszczu. By pozostać niezauważoną, Weronika ustawiła się w ostatnim, zewnętrznym, kręgu otaczających mogiłę pana Franciszka. Zza pleców wiernych mogła obserwować Karola, którego młoda sylwetka zdecydowanie wyróżniała się z tłumu w większości zgarbionych, pochylonych, zmarszczonych seniorów. Po przeciwnej stronie kolejna młoda osoba przykuła jej uwagę. Niewysoki człowiek stał jednak, na tyle daleko, by nie mogła dokładnie dostrzec jego rysów, choć przez chwilę wydały jej się dziwnie znajome, jakby gdzieś, i to całkiem niedawno, już je widziała.

Starła mu się przyjrzeć, gdy wtem ktoś złapał ją pod ramię. Podskoczyła przestraszona.

– Szczyńś Boże, pomożecie mie, pani? – Do dziewczyny przytuliła się staruszka. Bielutka jak gołębica, miała na sobie popielaty płaszcz do kolan, w jednej ręce trzymała czarną torebkę, a drugą opierała na lasce. – Nie gorszcie sie⁶⁴, słabo sie cuja⁶⁵, ôdprowadźcie mie do dōm.

Zgodziła się. I tak planowała przecież szybciej ulotnić się z cmentarza. Ujęła więc starowinkę pod ramię i wśród wiekowych tui ruszyły pustą alejką cmentarną. Co jakiś czas przystawały dla odpoczynku. Wtedy babcia zwracała się w stronę dziennikarki i serdecznie uśmiechała.

– Bóg wom zapłać, pani, Bóg zapłać. – To bardzo blisko, o, ta chaupa⁶⁶. – Machnęła laską w stronę dużego domu o piaskowej fasadzie, usadowionego w najbliższej odległości cmentarza. Nim ksiądz zdążył złożyć rodzinie Franciszka Kampki wyrazy ubolewania, obie były już za ogrodzeniem domostwa.

– Włyźcie pani, włyźcie, zrobieymy se bōnkawy⁶⁷ – zachęcała kobieta i początkowo niechętna Weronika wreszcie uległa jej namowom, by uniknąć spotkania z opuszczającymi cmentarz najbliższymi zmarłego, a zwłaszcza z Karolem.

– Somżeście⁶⁸ z rodziny Francka?

– Nie, jestem znajomą – odpowiedziała, w tej samej chwili zdając sobie sprawę ze śmieszności swojej odpowiedzi. Na szczęście zajęta parzeniem kawy staruszka nie dopytywała, a może nawet nie dosłyszała. – A pani jest z rodziny?

– Niy. Niystety niy.

– Dłaczego niestety?

– A, to bardzo staro historia. Niy wiy, czy chcecie, pani, suchać.

- Dlaczego nie? - powiedziała kurtuazyjnie, żywiąc jednak szczerą nadzieję, że tym razem obędzie się bez rodowych eposów. Na próżno.

Otylia - bo tak nazywała się babcia - urodziła się przed drugą wojną światową. Na tyle długo, by zapamiętać przedwojenne porządki i ówczesną rzeczywistość. Była córką strzybnickiego młynarza. Po dyrektorze huty, proboszczu i kilku urzędnikach zamieszkałych w okazałych willach przy kościele - najbogatszego człowieka we wsi. A właściwie to trochę poza wsią, bo młyn dziadek Otylii wybudował pod lasem, w połowie drogi z Piasecznej do Boruszowca i Pniowca.

- Piaseczno to stare miano. Godało się tak na te pora chaupków, co stojom wele⁶⁹ kapliczki. No, tyj staryj kapliczki we Piosecznij, wiycie? - Weronika nie wiedziała, ale dla świętego spokoju twierdząco skinęła głową. - Dopiero potem, po Piosecznij, pobudowali Friedrichshütte, dzisiaj godajom Strzybnica, pra?

Dzieciństwo Otti, jak wołano na nią w domu, płynęło sielsko. Pomimo charakterystycznej dla czasów dyscypliny i wynikających z niej rygorów oraz gospodarskich obowiązków, którymi obarczono także dzieci, dziewczynka sporo czasu spędzała na łonie natury, w pobliskim lesie, na ojcowskich łąkach, w towarzystwie zwierząt. Szczególnie kochała konie. Ojciec miał ich kilka, głównie do pracy na polu, ale dwa trzymał pod wierzch. Trochę ze snobizmu chyba, dla podkreślenia swojej pozycji społecznej. Pod okiem parobka, po kryjomu - bo gdyby mutter się dowiedziała, nie zawahałaby się użyć wszelkich dostępnych jej sposobów, a Otylia na własnej skórze doświadczyła, że miała ich bez liku - w wieku ośmiu lat nauczyła się jazdy konnej.

- Niczego nom niy brakowało, pani. Jak coś niy szło dostać w polskim sklepie na Strzybnicy, to sie przywoziōło z Tworoga. Czyli z Niymiec. Tam bōła i szokōlada, i kakao, nawet apfelziny⁷⁰, a na świynta i banany bōły.

Do szkoły powszechnej poszła Otti w Piasecznej. Stary budynek z czerwonej cegły klinkierowej stoi do dziś. Albo raczej: niszczeje do dziś, bo nie jest łatwo zniszczyć starą pruską architekturę. Stromy dach kryty dachówką, wielkie okna, jasne pomieszczenia. Gromada miejscowych dzieciaków, ubogich, wesołych, obutych w drewniane chodaki, a latem po prostu bosych. Kilku surowych belfrów. Wszyscy przysłani tu z Polski, znaczy się z okolic Krakowa. Posługujących się chropawą gwaraą małych tubylców uczyli literackiej polszczyzny, poprawnej koniugacji, deklinacji i roztomajtych inkszych obcych słówek. Niesfornych targali za uszy i ćwiczili dyscypliną, zgodnie z ówczesnymi europejskimi standardami wychowawczymi. Innych przeganiiali na pole.

- Ino że przy szkole pola prawie niy bōło. Plac bōł, inksze chaupy bōły, rzyka⁷¹ bōła. Ale pole bōło dopiero pod lasym. Potym dopiyo my sie kapli, że ôni durch⁷² na plac godali⁷³ pole.

Wszechobecny marszałek. Dobrze go zapamiętała. Z każdego pomieszczenia w szkole zerkał znad sumiastego wąsiska, czy dzieci przykładają się należycie do nauki i starannie wypełniają kredowymi zawijasami swoje szkolne tabliczki, nadstawiał ucha nad tymi wszystkimi a, e, a jednemu Alojzowi, co na belfrowski atrament uparcie wołał tinta, nawet pogroził raz wielkoksiążęcopolitewskim paluchem. No i wciąż spoglądał marszałek na szosę biegnącą od Tworoga, czy czasem kajzer w pikielhaubie nie nadjeżdża na kole, by polskiej macierzy wydrzeć Strzybnicę i Rybną.

– W szkole godali: wybawiciel ôjczyzny. Ale fater, jak se wypiół, godali, że roz Piłsudski przyjechoł do Tarnowskich Gór swoim ekstra cugiym⁷⁴, salonkom. Na banhowie⁷⁵ czekał burmistrz Michatz, ale marszałek nawet nie wyłoz do niego. Pedzioł ino, że czas Niymców na Ślonsku sie skońcōł. I kalup⁷⁶ pognoł na Strzybnica, huta chcioł ôglondać. Niy przeszkodzało mu, że niemiecko bōła huta.

Marsowe oblicze marszałka przyszło Otti adorować tylko trzy lata. Potem zmieniono portret na ścianie i wąs sumiasty zastąpiono wąsikiem prostokątnym. Zniknęli też starzy nauczyciele, a ich miejsce zajęli nowi. Posługujące się wasserpolnisch⁷⁷ dzieci uczyli Deklination und Plusquamperfekt, niesfornych, stosownie do wielowiekowej tradycji, targali za uszy, ćwiczyli dyscypliną i przeganiali raus⁷⁸. W sąsiadującym niemal ze szkołą budynku ulokowało się gestapo, a z masztu na dachu załopotala czerwona chorągiew z czarnym hakenkrojcem.

– Tera sie godo, że piyrszego wrześnio czidziestego dziywiōntego wybuchła wojna. Ale tukej żodnyj wojny niy bōło. Przeszło wojsko, zmiyniōły sie napisy, piniōndze, rehtory⁷⁹, beamtry⁸⁰. Poru chopa znikło. I tyła, to bōł cołki nosz wrzesiyń.

Dalsze zmiany przyszły dopiero z czasem. Z niedzielnego stołu zniknęło kakao, a kolejnej zimy nie można już było dostać pomarańczy. Pewnego dnia do domu przyszło opieczętowane swastyką pismo i już nazajutrz młynarz wraz żoną i dwoma córkami, Otti i Lyjną, stawili się na gestapo. Kobiecie i dziewczynkom urzędnik w białym kitlu i rękawiczkach wykonywał jakieś badania i pomiary, sprawdzał poziom uszu względem nosa, odmierzał obwód głowy. Z urzędniczą, neutralną grzecznością dopytywał o żydowską

babcie, o której dziewczynki zachowały ledwie mgliste wspomnienie, i każde słowo notował skrzętnie w zeszycie.

– Fater czekali we antryju⁸¹. Piyrszy roz widziałach go takiygo. Do dziś mom tyn ôbroz przed ôczami, jako stoi i miyndli⁸² w rynkach mycka⁸³.

Po powrocie młynarz zaordynował świniobicie, ale wszyscy obesзли się smakiem, bo całe mięso gdzieś zniknęło. Jednak więcej pism z gestapo już nie było. W jakiś czas później do wojska powołali Paulka, starszego kuzyna Otti z Pniowca. Przed wyjazdem na front do Rusyji przyjechał do młyna w odprasowanym na glanc mundurze w towarzystwie rodziców i dumnej jak paw dziewczyny, swojej lipsty⁸⁴. Wszyscy siedzieli w ogrodzie na wiklinowych fotelach, bo właśnie zaczynało się lato, i pili słodkie wino. A potem, wczesną zimą, ciotka Erika dostała pismo i Paulka żodyn wyncyj niy widzioł.

– Francka poznałach w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Pamiyntiom dokładnie. Tragacym⁸⁵ przywióz zboże do zmlonio. Prawie⁸⁶ wyszłach ze chlywika, a ôn stoi na placu, wysoki, postawny, akuratny. Wcześnij musiałach go widzieć w kościele, ale wiadomo, wtedy to dzołchy po lewyj stronie, a chopcy po prawyj siedzieli. No i tak zech stanola przed tym chlywikiem jak to ciele i patrza sie na Francka, a ôn na mie sie patrzy.

Zaczęli się spotykać. Pełne napięcia oczekiwanie niedzieli, przed żdzadłym⁸⁷ sztiglowanie⁸⁸, wieczorne spacery po wsi, długie rozmowy, odkrywanie się. Rok to trwało i był to najpiękniejszy rok w życiu Otti. Pewnego letniego popołudnia wybrali się do lasu w Rybnej. Franciszek pokazał dziewczynie ukryty pomiędzy drzewami ceglany grobowiec i mówił, że to miejsce magiczne.

W Hannowaldzie całowali się pierwszy raz. Tuż po Nowym Roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego Franciszek dostał jednak powołanie do Wehrmachtu. A potem wypadki potoczyły się z prędkością lawiny, której biegu nie zmieniał żaden z toczących się kamieni.

– Jednego styczniowego dnia na Strzybnicy pojawili się Ruse. Przyszli polami ôd strony Pniowca. Fest boroki⁸⁹ to bōły. Godni⁹⁰ jak sto pierōnów, ôblycyni⁹¹ w kufaje i mycki z czerwonom gwiazdom, a niykerzy ôbuci w potargane hadry⁹².

Matka zamknęła Otti z Lyjną w komorze za kuchnią, groźbą i prośbą przykazując im milczenie. Wejście zasłoniła byfyjem⁹³. Nie licząc zarekwirowanych koni i zegarka na łańcuszku, przetrzebionych zapasów oraz ludzkich odchodów pozostawionych na strychu i w stodole, gdzie krasnoarmiejcy spali pokotem, poważniejszych szkód współcześni Hunowie nie wyrządzili. Tyle samo szczęścia nie mieli sąsiedzi z Rybnej, gdzie żołdactwo brutalnie pobiło sołtysa i zgwałciło jego niemłodą już żonę, a miejscowego piekarza, który za Niemca po kryjomu pomagał pracującym na kolei jeńcom radzieckim, jako obcego klasowo wyzyskiwacza ludu pracującego miast i wsi po prostu powieszono na jego własnym podwórku. Później młynarz znów dostał opieczętowane pismo i na drugi dzień z samego rana furmanką pojechał do gestapo, które w międzyczasie przemianowano na Urząd Bezpieczeństwa.

– Nazot bōł dopiero na drugi dziyń. Přiyszol piechty⁹⁴ z opuchniyntom gymbom⁹⁵ i złomanymi zebroma. Zawarli się z mutter w izbie, a przed wiecerzom zawołali nos, swoje cery⁹⁶.

Wrodzony spryt pozwolił uratować młynarzowi życie i majątek, choć cena, jaką przyszło za to zapłacić całej rodzinie, nie była niska. Otti i Lyjną postanowiono wydać za braci, którzy obejmowali właśnie stanowiska w miejscowym aparacie bezpieczeństwa. Dzięki temu rodzina ochrzczona mianem faszystowskiego elementu uniknęła konfiskaty majątku i wysiedlenia do Niemiec, które nie znajdowały się już teraz tuż za miedzą, w Tworogu, ale przesunęły się jakieś trzysta pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód. A groźba deportacji była całkiem realna, bo tarnogórski starosta Józef Marek ochoczo i bez zbędnych formalności podpisywał decyzje o wyjeździe kolejnych wagonów w stronę Zgorzelca.

– Piyrso noc płakalimy wsziskie trzi z mutter, drugiej ino jo za Franckiem, a trzeciej nocy brakło łez. Koždy dziyń bōlach po dwa razy pod chałupom mojego Francika. Zawarte⁹⁷. Żodyn nic niy wiedziol, koždy sie bōł coś pedzieć.

Tymczasem Franciszek nie zdążył odjechać z Wehrmachtem dalej niż do Rud Raciborskich, gdzie jego oddział został rozwiązany i skąd sam w niemieckim mundurze musiał przedzierać się do domu. Udało się, ale szczęście po powrocie nie trwało długo. Już następnego dnia, jeszcze nim zdążył wybiec do swojej Otti, uzbrojeni cywile odtransportowali go wraz matką, bratem i kilkoma sąsiadami do obozu w Lasowicach. Tam wśród głodu, smrodu i pleniącego się wraz z wszami tyfusu mieli oczekiwać na werdykt, który pozbawi ich obywatelstwa i mienia lub też, po rehabilitacji i wybląganiu u Matki Polski wybaczenia zdrady, pozwoli wrócić na jej szerokie, słowiańskie łono. Warunki sanitarne w obozie były dramatyczne nawet jak na ówczesne, zaniżone przecież do granic, standardy, a bałagan tak potężny, że po pół roku obóz zlikwidowano,

a pozostałych przy życiu więźniów rozpuszczono bez pojedynczego choćby *mea culpa*. Kto miał do czego wracać, wracał, a kto nie miał, ten nie śmiał nawet zapracowanej władzy ludowej zawracać głowy. Franciszek odzyskał dom.

– Do młyna przyszedł ino roz. Jak dostał sztylem bez łeb⁹⁸, drapko⁹⁹ zrozumiał nowy ordnung¹⁰⁰.

Znów miał szczęście, bo nowego gospodarza trudno było zastać w stanie innym niż kompletnego upojenia alkoholowego. Gdyby tak właśnie trafił, zarobiłby od razu serię ze służbowej pepeszy i nikłą miałby szansę, by nie dosięgnął go choć jeden z wystrzelonych do jebanych-szwabów-giermańców-pierdolonych pocisków. O takim farcie nie mógł marzyć żeliwny Fryderyk Wilhelm von Reden z przyhutniczego parku w Strzybnicy, który napatoczywszy się ongiś na wstawionego funkcjonariusza, od razu oberwał z karabinu w swój zakuty, prusko-hrabiowski łeb. A odbijające się odeń bezpieczniackie kule świstały wśród parkowych drzew niczym pszczoły wokół ula. Do dziś podobno tkwią, zarośnięte w pniach okolicznych buków.

– Potym nasze życia potoczyły się już ôsobno. – Przeoraną zmarszczkami twarz kobiety przecięła łąza.

W czystej, staroświecko urządzonej kuchni, gdzie siedziały, zapadła długa cisza.

– Mogę mieć jeszcze do pani pytanie? – zagadnęła staruszkę Weronika.

– No dyc.

– Czy Franciszek wspominał kiedyś o hrabim von Koschützkim?

– Ô von Koschützkim? Dziołcha, my byli fest¹⁰¹ zakochani, fto by tam ô jakiś grofach godoł?

Dziennikarka pokiwała głową ze zrozumieniem. Kiedy jednak wychodziła, staruszka ni stąd, ni zowąd rzuciła:

– Interesujecie się von Koschützkiem? Na Rybnej musicie pytać. Grof wyjechał stond zarozki¹⁰² po powstaniach, nic po nim niy ôstało.

– A bękarty hrabiego?

– To ino zowistne ludzie tak godali. Jo żodnego niy znoła.

W drodze na przystanek Weronika zajrzała jeszcze na świeżą mogiłę pana Franciszka. Honorową wartę przy niej pełnili już tylko uwijający się i cokolwiek podchmieleni grabarze.

Rozdział XII

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, PONIEDZIAŁEK

– To jest zajebiste!

– Nie używaj przy mnie aż tak tandetnych słów – Maciek ostrzegł podnieconą redaktor Maszczyk.

– Gdzie to znalazłeś?

– Trzeba umieć szukać, moja droga – dorzucił nie bez satysfakcji.

– Naprowadził mnie trop z książki tego buca Emila Grysika, a resztę załatwił internet.

– Jesteś po prostu, no... – zatrzymała się w pół słowa – niezastąpiony. – I dodała po chwili: – Ten fragment potwierdza dokładnie to, o czym opowiedział mi stary Kampka. Mianowicie, że von Koschützcy byli solą w oku polskich aktywistów, którzy po powstaniach śląskich przejęli władzę w Tarnowskich Górach, i że...

– Dobra, weź mi już nie opowiadaj – zgasił jej entuzjazm, jak gasi się papierosa w słoiku z wodą. – Widzimy się o szesnastej pod Biedronką. Bądź punktualna, bo nie zamierzam długo czekać. *Ciao, baby!* – rzucił na pożegnanie i nie czekając na reakcję rozmówczynie, zakończył połączenie.

Weronika tymczasem jeszcze raz spojrzała na zeskanowany artykuł, który dostała mailem od Jarzyny. Jako ignorantce historycznej nadawca nie omieszkał wyklarować, że artykuł pochodzi z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku i został

opublikowany w wysokonakładowym „Katoliku”, czasopiśmie znanym z walki o polskość Górnego Śląska. Zredagowaną mało finezyjnym językiem notatkę sygnował autor, ukrywający się pod pseudonimem *Czarny*. To zauważyła już sama.

Rybna w Tarnogórskim. Zdawałoby się, że w naszej wiosce wcale ludek żyje, lub też, że sobie żyje jak w raju. Lecz zupełnie tu jest przeciwnie. Mamy i my rozmaite cierpienia i bóle. Znajdują się nawet takie wrzody, które by nam trzeba koniecznie wyciąć, bo zaczynają cuchnąć. Największą bolączką naszą jest nasz opiekun hakatysta p. v. Koschützki, który dumnie depce po głowach obywateli. Stara on się rozmaitemi wyzwiskami i groźbami nasz ludkę odstraszać od towarzystw polskich. Tak daleko sięga jego bezczelność i brutalność, że powiedział jednego razu żonie p. Zorychty: „Sie kriegen kein Feld, denn ihr mann ist ein Grosspole und das verbiete ich ihm¹⁰³”. Kochani rodacy! Dzisiaj, kiedy ma być równouprawnienie, kiedy ma mieć każdy tę wolność, się otwarcie przyznawać, jakiego ducha posiada i dla kogo mu serce bije, ma ten pan tę odwagę p. Zorychcie, który się nie kryje z swoją duszą polską, zabronić tego? – Zaś drugi wypadek: Dziewczyna ogrodnika jego, tak samo serce ma polskie, które gorąco bije ku Macierzy Polski, uczęszcza na lekcye śpiewu i brała udział w pochodzie 3. Maja jak wszyscy inni Polacy, to za to spotkała surowa kara jej rodziców. Odmówił im ten pan v. K. po części pola i rocznego deputatu po 1 cetnarze, a do tego strasznie ich wyzywał. Między innemi powiedział, żeby tej dziewczynce mogło wystarczyć, kiedy on (von i zu

Koschützky) się do niej odezwie, nie dopiero tam gdzieś do towarzystw lub na lekcje chodzić. Takie i wiele innych rozmaitych przyczyn jest, nad którymi by mi się trzeba żalić, lecz to może na razie wystarczy, ażeby wam, kochani rodacy, otworzyć oczy. Pokażmy temu panu, że jego praca na rzecz Niemców nie przynosi żadnych owoców. Niech nam będą przykładem słowa – że czem więcej na klin żelazny się uderza, tem głębiej się on zanurza. Tak też czem więcej ten pan nas prześladował będzie, tem więcej nasza miłość do Ojczyzny powinna się krzewić. Zastanówcie się dobrze nad tem, drodzy bracia i siostry, gdzie się najlepiej uzalić możecie, jeżeli nie w towarzystwach na zebraniach. Z powodu tego apeluję do was, żebyście w przyszłości sobie wszelkich zebrań nie lekceważyli, lecz jak najtłumniej na nie spieszyli.

– Niesamowite – powiedziała sama do siebie, bo oprócz niej w pokoju nie było nikogo.

Pod kołami granatowego volkswagena zachrząścił żwir. Po chwili na pustym parkingu rozległ się charakterystyczny dźwięk zamykanego pilotem centralnego zamka samochodu. Z przewieszonym przez ramię aparatem fotograficznym i długim zawiniątkiem dwójka pasażerów pojazdu pomaszerowała w głąb parku. Dziwacznie wyglądali razem: ona drobna, filigranowa, szczupła i niewysoka, o starannie ułożonej fryzurze do ramion; on zaś wysoki, potężny, nieogolony i niechlujnie ubrany, z figurą wskazującą na słabość do dobrego jadła i napitku.

Nie wzbudzili zainteresowania ze strony nielicznych pracowników pałacu w Rybnej, którzy przyzwyczajeni byli do

nieczęstych wprawdzie, ale jednak coraz liczniejszych odwiedzin miłośników zabytkowej architektury Górnego Śląska lub przypadkowych podróżnych. Nie poświęcając szczególnej uwagi urodzie rezydencji, goście przemaszerowali w dół parku, w stronę szpaleru starych dębów i ukrytej w krzakach za nimi furtki.

Po chwili byli za ogrodzeniem. Szli bez słowa błotnistą drogą, wzdłuż cuchnącego ścieku. On z zawiniątkiem w ręce, ona z aparatem na ramieniu. Dopiero gdy wyszli na otwartą przestrzeń wśród łąk, mężczyzna się odezwał:

– Czuję się, jakbym znów był chłopcem i szukał skarbu templariuszy.

– No widzisz, praca ze mną odmładza. – Uśmiechnęła się. – To musi być gdzieś tam. – Wskazała ręką klin drzew wrzynający się w wygon.

Skierowali się w prawo, na przełaj przez błonia i po chwili znaleźli się w lesie, u wejścia którego leśnicy ustawili drewnianą wieżę obserwacyjną.

– Gdzie teraz? – Maciek bezradnie wpatrywał się w ścianę rudziejących dębów.

Nie wiedziała, ruszyli więc przed siebie miedzą, pomiędzy łąką i zagajnikiem. Tylko najkrótszym bokiem łączył się on z potężnym kompleksem leśnym, jednym z większych w Polsce, ciągnącym się nieprzerwanie od Siewierza po samo prawie Opole. Z pozostałych stron prześwitywała przestrzeń okolicznych pól. Szli skrajem lasu, a w zasadzie przedzierali się przez pnącza ostreżyn, zwanych tu dziadami, i paproci, kiedy wreszcie w głębi po prawej stronie dostrzegli rozpiętą pomiędzy drzewami żółto-czarną taśmę z napisem „Police line do not cross”¹⁰⁴.

- To tu musieli znaleźć tego biedaka - wzruszył się redaktor Jarzyna.

- I tu właśnie musimy szukać - zdecydowała dziewczyna.

- Jesteś tego pewna?

- A widziałeś gdzieś wcześniej równie charakterystyczne miejsce?

Pytanie było retoryczne, gdyż Hannowald, choć pozarastany chaszczami, po wielu dziesiątkach lat nadal wyróżniał się w sposób niepozostawiający złudzeń co do swojej szczególnej kompozycji. Od łąki w czeluść lasu ciągnęły się dwa rzędy dostojnych dębów. Ich grube konary tworzyły rodzaj tunelu, na końcu którego, wieńcząc ów osobliwy pasaż, znajdowała się potężna lipa o wielu pniach. Jeśli istotnie byli w Hannowaldzie, to tylko w tym miejscu mogła znajdować się mogiła Hanna von Koschützkiego. Weronika uniosła szarfę i przekroczyła okolony nią teren.

- Zdajesz sobie sprawę, coś zrobiła?

- Owszem, złamałam policyjny zakaz i przeszukuję miejsce zbrodni - odpowiedziała ze stoickim spokojem, który rubasznego dziennikarza wprowadził w zdumienie. - Jak to szło? Każdy przestępca wraca na miejsce zbrodni? Chyba tak właśnie - dodała zuchwale.

Okolica, w której znaleziono zwłoki mecenasa Jensa Stolpego, została już dawno temu uporządkowana oraz, jak słusznie podejrzewali, skrupulatnie przeszukana i sfotografowana przez policję.

- No, to bierz się do roboty! - Rzuciła Maćkowi swój najśłodszy uśmiech.

- Jeśli cokolwiek znajdziemy w miejscu, które przebadali kryminalni, to chyba do zakonu pójdę. Ludzie, w co ja się wplątuje...

– zaskomlał, ale posłusznie zaczął rozgarniać szpadlem ściółkę na dnie zagłębienia.

– Oni szukali śladów zbrodni, a my śladów historii.

– Taaa, archeolodzy z Bożej łaski...

W zagajniku zapanowała cisza, przerywana z rzadka ćwierkotem ptaków i dochodzącym z domów przy ulicy Raclawickiej ujadaniem psa. Redaktor Jarzyna jak rasowy działkowicz spulchniający glebę pod grzędę cierpliwie przekopywał miejsce przy miejscu. Oparta o pień dębu Weronika przyglądała się pracującemu koledze. Od czasu do czasu z rozpadliny dobywał się metaliczny szczęk i mężczyzna wyciągał z ziemi kolejne zmurszałe cegły oraz śmieci. Po godzinie uzbierała się ich całkiem pokaźna przyzma.

– To chyba cały skarb, który kryje ten twój Hannowald. – Spocony, ciężko dyszał i najwyraźniej nie miał ochoty na dalszą eksplorację.

– To raczej dowód na to, że opowieści starego Kampki nie były zmyślone. Choć trudno mi w to uwierzyć, von Koschützki, opuszczając pałac w Rybnej, chyba faktycznie zabrał stąd trumny.

– O ile kiedykolwiek były tu jakieś groby.

– A cegły niby skąd znalazły się w lesie? Trzeba jechać do Wronina, bo tak się jakoś nazywała miejscowość, do której przeprowadził się hrabia. Musimy i tam poszukać.

– A gdzie to jest?

– Gdzieś w okolicy Kędzierzyna-Koźła.

– O nie, *baby*, jedź sobie sama, ja się już nigdzie nie wybieram – zaprotestował.

Zmęczona usiadła na kanapie i włączyła laptop. Postanowiła odpowiedzieć na korespondencję, obficie prowadzoną z bliższymi i dalszymi znajomymi. W ciągu ostatnich kilku dni nazbierało jej się całkiem sporo. W czasie gdy komputer z mozołem miał dane i uruchamiał system, uciekła w refleksję.

Choć wszystko przemawiało na jej niekorzyść, nieomal instynktownie wyczuwała w Rybnej aferę. Nie miała tylko punktu zaczepienia, twardych argumentów, bodaj jednego, którego mogłaby się ucześcić i podążać jego tropem. Śmierć starca i opowieści o hrabim, a nawet skrywany fakt ojcostwa Koschützkiego, w żaden sposób przecież nieweryfikowalny, nie stanowiły nawet domniemania czegokolwiek. Nie mówiąc już o dowodzie w sprawie.

– No właśnie, w jakiej sprawie? – sama zadała sobie pytanie, na które nie знаła odpowiedzi.

Wróciła na ziemię i uruchomiła pocztę. Nie było tego znów tak sporo. Kilka naładowanych emocjami emotikonów załatwiało sprawę i oszczędzało żmudnej pisaniny. Znak czasów. Maila od Ewy zostawiła sobie na sam koniec. Licealna przyjaciółka, niegdyś bardzo jej bliska, po studiach została we Wrocławiu, załapała się na staż do kancelarii adwokackiej, a wkrótce podbiła serce syna współwłaściciela. Żył sobie teraz jak panisko, wzbudzając wśród pozostałych na prowincji koleżanek zawiść i stając się ulubionym przedmiotem ich plotek. Być może wiedząc, jakim wysiłkiem okupiła Ewa studia i aplikację, być może też wskutek feministycznej wiary w to, że książęta na białych rumakach wyginęli, a planetę zamieszkują jedynie egoistyczne samce, gotowe zniweczyć każdą zapowiadającą się happy endem historię, Weronika nie tylko nie

zazdrościła przyjaciółce, lecz przy każdej okazji ostrzegała ją przed, jak to nazywała, życiem.

„Laska, żyjesz? Dlaczego nie odpisujesz?” – gdy tylko Weronika przeczytała pierwsze zdania wiadomości, od razu przypomniała sobie, że istotnie, poprzedniego maila Ewy pozostawiła bez odpowiedzi. W kilku zdaniach opisała jej przygody, w jakie się wplątała. Kiedy jednak miała wysłać wiadomość, palec zatrzymał się w pół drogi i zawisł nad klawiszem enter. „A gdyby tak...? – impuls, wyzwolony przez jeden z miliardów neuronów, przebiegł w ułamku sekundy aksonem, po czym został przechwycony przez antenkę dendrytu. – No właśnie, gdyby...”.

Telefon. „Zawsze w nieodpowiedniej, w najmniej odpowiedniej chwili”, pomyślała i podniosła aparat. Na ekranie, poprzedzony znakiem plus, mrugał rząd jedenastu cyfr. Nie знаła numeru. Jeszcze raz rzuciła okiem na maila do Ewy i odebrała połączenie.

– Halo?

Rozdział XIII

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, WTOREK

Biel. Blask. Lśnienie. Jasność. Trochę dentystyczna ta jasność, niemal chirurgiczna. Raczej niepasująca do dostojnych wnętrz pomieszczenia o zaokrąglonych narożnikach, do intarsjowanego parkietu, obitych kremowym sukrem foteli, do wielopiętrowych żyrandoli, mosiężnych kinkietów, do tych wszystkich gzymsów, płycin, gustownych futryn.

I do okoliczności też niepasująca do końca. Jakby przenikliwa świetlistość przeszkadzała w skupieniu, w refleksji, w przeżywaniu piękna wydobywanego z czarnego instrumentu przez pianistę. Utwór, który właśnie gra, nie przetrwał dwóch stuleci pod nazwą nadaną mu przez twórcę – Sonata *Quasi una fantasia* brzmi cokolwiek pretensjonalnie. Tym bardziej nie przetrwał jako sonata fortepianowa nr 13 cis–moll, op. 27, pod nazwą przypominającą fabryczny numer produktu, i został zapamiętany dopiero pod nazwą prostą, nazwą pozbawioną naukowych cyfr i skrótów, nazwą odartą z postbarokowych makaronizmów, przetrwał jako *Mondscheinsonate*, pod nazwą *Sonaty Księżycowej*.

W takt adagio tejże *Mondscheinsonate*, z przymkniętymi powiekami faluje teraz artysta, jak gdyby przez skinienia, dreszcze ciała chciał dodatkowo zaakcentować akordy. Wspinając się długimi palcami ku skrajowi klawiatury, stopniuje napięcie, by za sekundę

opaść w błogim wyczerpaniu. A wraz z dźwiękami sonaty wznoszą się i opadają piersi zahipnotyzowanych słuchaczy, których już nie razi dentystyczna jasność sali, którym nie przeszkadza dysharmonia pomiędzy blaskiem, wnętrzem i okolicznościami.

Przerwa. Cisza. Wyczerpany muzyk ociera perły potu ze skroni. Nikt nie śmie nawet głośniejsze zaczerpnąć powietrza, kaszlnąć. Nikt nie klaszcze. Nikomu nieśpieszno, by wyjść z narkotycznego błogostanu, w który wprowadziła ich pierwsza część *Mondscheinsonate*, by rozstać się z tą chwilą, która już minęła, choć jeszcze trwa, z chwilą, w której mogli dotknąć piękna w najczystszej postaci.

Część druga, allegretto. Zabawa dźwiękami. Rozprężenie na sali, poprawianie nóg zmartwiałych w bezruchu i zasiedziały mięśni lędźwiowych. Ust zaschniętych zwilżanie, śliny przetykanie, grdyką poruszanie. Wszystko to, czego wykonanie było niemożliwe podczas adagio i na potrzeby czego kompozytor stworzył zapewne allegretto. Trwa więc rozproszenie, chwila oddechu trwa, bo trwać musi, bo za moment z instrumentu popłynie rwący potok presto, część trzecia. I gdy uda się artyście na powrót wprowadzić słuchaczy w trans, porwać w dziki nurt presto, wówczas nic już nie będzie możliwe. Niech więc rozprężenie trwa i niech płynie muzyka, bo nikt nie ujdzie wiecznemu pięknu *Sonaty Księżycowej*.

Choć do melomanów nie należała, podobnie jak większość słuchaczy Weronika dała się uwieść pianiście i kontemplując urodę *Sonaty Księżycowej*, zapomniała o świecie, przyziemnych troskach, a nawet o historii, w którą się uwikłała. Do rzeczywistości przywróciły ją dopiero burza oklasków i szmer powstającej z miejsc publiczności.

Wychodząc z sali, ukłoniła się kilku znajomym z miejscowej socjety, przywitała się też z towarzyszącą burmistrzowi delegacją z miast partnerskich Tarnowskich Gór. Jej wzrok przeciął się na ułamek sekundy ze smutnym spojrzeniem mężczyzny, którego kilka dni wcześniej poznała w szkole muzycznej i którego oczu niełatwo było zapomnieć.

W hallu na parterze podeszła do niej kobieta w średnim wieku.

– Weronika Maszczyk? – zapytała niepewnie i uśmiechnęła się życzliwie. – Teresa Kampka jestem.

– O! To pani! – Ucieszyła się, bo zaczęły dręczyć ją wątpliwości, czy zdoła spotkać się z nieznajomą, dla której specjalnie pojawiła się na koncercie.

– Przejdziemy się czy woli pani zostać w kawiarni?

Po dwugodzinnym siedzeniu obydwie miały ochotę na spacer, więc po chwili były już przed pałacem.

– Pewnie dziwi się pani mojej prośbie o spotkanie? – zapytała pani Teresa i kontynuowała: – Przecież się nie znamy, a jednak chciałabym podzielić się z panią pewnymi spostrzeżeniami.

– Czym zasłużyłam sobie na zaufanie? – nie bez kokieterii zapytała dziennikarka.

– Nie mam do niego specjalnych powodów. No, może poza jednym: zaufaniem darzył panią ojciec, znaczy Franciszek – powiedziała konfidencjonalnie. – I to musi mi wystarczyć. Mam nadzieję, że się nie mylił – dorzuciła z rezerwą.

Weronika nie odpowiedziała. W jej głowie zapaliła się jednak ostrzegawcza lampka. Przez chwilę dreptały w milczeniu.

– Choć był tylko moim teściem, Franciszek mi ufał. Może czasem nawet bardziej niż swojemu synowi, a mojemu świętej pamięci

mężowi. To jednak nieistotne... W każdym razie... Nie zwierzał mi się, często jednak lubił po prostu porozmawiać. Dlatego wiem, że się pani z nim widywała i stała się, by tak rzec, powierniczką jego sekretu.

– Chyba zbyt wielkie słowa. Widziałam się z nim ledwie dwa razy, a co do sekretu...

– Nie proszę, by go pani wyjawiała. Zresztą i tak już to pani zrobiła.

– Słucham?

– Na Facebooku, nie pamięta pani?

– To był wpis bez podawania szczegółów osobowych. Pani też ma do mnie o to pretensje?

– Też? – pytanie niebezpiecznie zawisło w powietrzu. – Nie, nie mam pretensji. Stwierdzam tylko fakt. Pani wpis był enigmatyczny, ale kto chciał, ten skojarzył. Ale ja przecież nie o tym chciałam...

– Zatem?

– Nie wiem, czy prowadzi pani dziennikarskie śledztwo, w każdym razie policja na pewno nie prowadzi żadnego. Dziewięćdziesięcioletni ludzie umierają ze starości. Tak mi powiedzieli na komendzie, odmawiając sekcji zwłok. Wyobraża sobie pani? – nie kryła oburzenia.

Co jak co, ale taką odpowiedź funkcjonariusza Weronika akurat doskonale potrafiła sobie wyobrazić. I znając policyjne realia, wcale jej nie zdziwiła. Na głos zapytała tylko:

– Skoro domaga się pani śledztwa, czy posiada pani też twarde argumenty, by twierdzić, że pan Franciszek nie umarł w sposób naturalny? Lub choćby jakiegokolwiek przypuszczenia? – dodała.

- Nie mam ich, ale policja też nie miała podstaw, by odmówić mi sekcji. Chciałam mieć pewność...

- Policja nie może robić sekcji każdemu trupowi - zauważyła lakonicznie Weronika.

- Tylko że Franciszek był w doskonałym zdrowiu i nic nie wskazywało... - Oczy pani Teresy wypełniły się łzami, ale powstrzymała płacz.

- Przykro mi, proszę pani, naprawdę, polubiłam pani teścia. Ale on miał przecież ponad dziewięćdziesiąt lat.

- I co z tego? Znałam go dobrze, wyraźnie dostrzegłam, jak się zmienił od czasu tego morderstwa tu, za pałacem, w Hannowaldzie. No, może nawet ciut wcześniej.

- Jak się zmienił?

- Znam... Znałam - poprawiła się - mojego teścia ponad ćwierć wieku. Potrafiłam dostrzec zmianę w jego zachowaniu, sposobie bycia, monotonnym spędzaniu starości. To niuanse, ale nie dla ludzi żyjących tyle lat pod jednym dachem, rozumiejących się bez słów.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że śmierć pana Franciszka miała coś wspólnego z tamtym wydarzeniem?

- Nie chcę, ale nie mogę tego wykluczyć.

- A podstawy, dowody, podejrzenia, domniemania?

- Poza wyraźną zmianą zachowania teścia nic.

- Mówiła pani o tym na policji?

- Mówiłam, nikt nie był zainteresowany. Zbyli mnie.

- Nic dziwnego, trudno łączyć ze sobą dwie sprawy, spośród których jedna jest zgonem z przyczyn naturalnych.

- Pani mi nie wierzy...

- Powiedzmy, że jestem sceptyczna – skłamała.

- W takim razie przepraszam, że zabrałam pani tyle czasu. –
Teresa Kampka zamieniła się w Królową Śniegu.

- Proszę się nie gniewać. Staram się być tylko ostrożna
w ferowaniu wyroków.

- Przepraszam, trudno mi jednak przejść obojętnie wobec straty
Franciszka. To był dusza człowiek. Absolutnie nie chcę też niczego
pani sugerować, proszę jednak wziąć pod uwagę, że on się wyraźnie
zmienił, a zmiana ta nastąpiła w tym samym czasie, w którym zginął
ten mecenas z Niemiec. Tylko tyle i aż tyle. Resztę pozostawiam pani
sumieniu.

- Czy oni się w ogóle spotkali? To znaczy pan Franciszek z tym
adwokatem?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Pożegnały się bez wylewności. Pani Kampka zniknęła za
ogrodzeniem rezydencji, a redaktor Maszczyk powlokła się na
przystanek. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś tu jest naciągane.
„Nazbyt książkowa ta intryga – myślała. – Zbyt wiele przypadków
i niezwykajnie dużo zaufania do obcych”.

Zza zakrętu na końcu ulicy wyłonił się pomarańczowy napis „180
Tarnowskie Góry Dworzec”. Przyspieszyła kroku, by zdążyć na
autobus.

WRONIN, GRZĘDZIN, WRZESIEŃ, ŚRODA

- Dlaczego ja to robię? – beznadziejnie powtarzał Maciek, wyciskając
z wysłużonego volkswagena passata ostatnie moce.

- Bo widzisz w tym jakiś sens? Bo mnie lubisz? – kokietowała
kolegę Weronika.

- Pudło.

Milczenie. Z głośników dudniły rytmy kolejnych przebojów, przerywane od czasu do czasu wątpliwej jakości bon motami redaktorów muzycznej stacji radiowej, wspinających się na wyżyny elokwencji.

Odkąd zjechali z autostrady, widok zza okna stał się ciekawszy. Minęli tablicę z podwójną nazwą miejscowości: Sośnicowice – Kieferstädtel i stojący w centrum wsi ogromny pałac, potem Sierakowice i wjechali w las. Po obydwu stronach szosy co chwila ukazywały się rozłożyste korony dostojnych dębów, które zdawały się niejedno pamiętać i chyba przez wzgląd na wstydliwą pamięć o przeszłości zawzięcie milczały. Wreszcie dotarli do Odry w Bierawie. Cały ruch przez rzekę nadal przeprowadzał się starym, drewnianym mostem, który – wbrew sączonej przez pół wieku propagandzie zwycięstwa – brutalnie przypominał o tymczasowości tych ziem. Dopiero niedawno Unia Europejska postanowiła zrzucić się na budowę nowego.

Zakrzów – stare domki na bazie solidnej, niemieckiej receptury, przemieszane z nowoczesną architekturą spod znaku betonu, plastiku i styropianu. Polska Cerekiew, czyli Gross Neukirch, głosi dwujęzyczny napis na zielonej tablicy. Wcześniej miejscowość nosiła nazwę Polnisch Neukirch, ale tego nikt już nie głosi, bo ten fakt przestał być *trendy*, w końcu dokąd można sięgać w etymologii? W centrum wsi renesansowy zamek von Oppersdorffów, na zmianę odbudowywany i rujnowany, właśnie znów obrosły pajęczyną rusztowań. Dzielau – Dzielawa – potężny dom, na narożnikach wieżyczki, łuki z cegły, które nie spełniają już swojej funkcji nośnej wobec znacznie szerszych, trzyskrzydłowych – jakby wyrwanych

z bloku z wielkiej płyty – okien. Kakofonia. Funkcjonalizm. Wronin. Wreszcie.

Po prawej stronie szosy zamajaczył szary budynek. Większy niż pozostałe domy i, inaczej niż one, usadowiony w pewnej odległości od drogi.

– To musi być tu! – wykrzyknęła radośnie Weronika.

Skreśli. Obiekt pomału wyłaniał się z gąszczy drzew i krzewów, które w nieładzie porastały posesję. Na pierwszy rzut oka nie przypominał pałacu, może trochę willę, ale mocno nadgryzioną zębem czasu i młotami dzierzonymi w dłoniach estetycznych bęcwałów. Dopiero po dłuższej obserwacji niewprawnemu oku ukazywał się biegnący wokół elewacji gzyms, boniowanie, eleganckie – zanim nie zmurszały i się nie rozsypały – obramienia okien. Alejką podjechali niemal pod same schody – zresztą również popękane i obrosłe dywanikiem mchu. Nad wejściem wznosił się ganek. Zamknięty trójkątnym szczytem i wspierający się na czterech filarach portyk dopełniać kiedyś musiał obrazu całości fasady, nadawać jej klasycystycznemu stylowi lekkości i smaku. Z głupoty lub z prozaicznej potrzeby zabudowane szarym pustakiem przestrzenie pomiędzy kolumnami potęgowały wrażenie zaniedbania. Podobnie jak wyrastające z pseudoryzalitu brzoźki, umocowane na ścianie anteny i walające się wokół zardzewiałe sprzęty.

– No, widać nie każda rezydencja naszych hrabiów miała tyle samo szczęścia co Rybna – ocenił Maciek, gramoląc się ciężko z samochodu.

„Poprawił się humor staremu zgredowi”, z wyraźną ulgą pomyślała dziewczyna, głośno zaś zaordynowała:

- Obejdźmy sobie najpierw tę hacjendę.

W miejscu opadającego łagodnie zbocza, w przeszłości zapewne tonącego w zieleni, aktualni lokatorzy, kimkolwiek byli, urządzili rupieciarnię. Kilku zdezelowanych samochodów pilnowało zabiedzone psisko, nieskore bynajmniej do najmniejszej reakcji na najście obcych. Za rozciągniętą byle jak drucianą siatką, po pozbawionym najmniejszych oznak roślinności i upstrzonym ptasimi odchodami poletku przechadzało się kilka kur. Z boku wisiało nie pierwszej świeżości pranie. Widok tyłów niegdysiejszej rezydencji dopełniał jej aktualnego obrazu nędzy i rozpacz.

- Tiaaa, tu jaśnie pana raczej nie znajdziemy – skomentował redaktor Jarzyna i odwrócił się na pięcie.

Wrócili i po stopniach wdrapali się na werandę, pełniącą obecnie funkcję sieni. Do wnętrza willi wiodły obskurne drzwi, ostatnie malowanie mające za sobą chyba jeszcze w czasach Republiki Weimarskiej. Wobec braku dzwonka Weronika nacisnęła klamkę. Z ciemnego wnętrza wyzionął koktajl stęchlizny i smażonego tłuszczu. Wymownie spojrzeli po sobie i ruszyli dalej.

Nagle z góry dało się słyszeć śpiewne na wschodnią modłę „Kurwa ci twoja jebana mać”, a chwilę później szerokimi schodami stoczył się jegomość, zapewne autor owej laudacji. Na widok nieznanomych zatrzymał się, usiłując skupić wzrok, i poprawiwszy kraciastą marynarkę, wydeklamował:

- Uszanowanie, czym można państwu służyć?

- Jesteśmy z redakcji „Wiadomości Tarnogórskich” – w osobliwych okolicznościach inicjatywę przejął redaktor Jarzyna. – Zbieramy materiały do artykułu o von Koschützkich, którzy kiedyś tu mieszkali.

- Aaa... - zafrasował się fornał, od którego intensywnie zalatywało przetrawionym alkoholem, szybko jednak odzyskał rezon i tonem nieznoszącym sprzeciwu zawołał: - Jadziu, skarbie, pozwól no tu!

Jadzia okazała się korpulentną kobietą w wieku bliżej nieokreślonym, choć nieco już zaawansowaną w latach.

- Czego? - buńczucznie odparowała, schodząc.

- Państwo pozwolą, Jadwiga, małżonka moja - przedstawił kobietę amator samogonu, po czym ponownie zwrócił się do połowicy: - Państwo są z gazety i piszą o tych, no, Fonszuckich. Wytlumacz państwu, gdzie mieszkają, bo ja się spieszę - zakomenderował, po czym wybełkotał: - Państwo wybaczą. - I równo niczym żołnierz na warcie przed Grobem Nieznanego Żołnierza odmaszerował w stronę wyjścia.

- Do proboszcza trza iść, może coś uradzi - przytomnie zaproponowała Jadwiga.

Rozdział XIV

Plebania w pobliskim Grzędzinie mieściła się tuż przy pomniku *den Opfern der Kriege* – Ofiarom Wojen, co wieszczęł dwujęzyczny napis na obelisku. Jak wiele mu podobnych w tej części Górnego Śląska, która po powstaniach pozostała w granicach Niemiec, monument wzniesiono ku czci mieszkańców wspólnoty parafialnej poległych podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. Weronika zatrzymała się i zaczęła uważnie studiować kolumny wygrawerowanych na płycie nazwisk. Po chwili wśród wroninian zamordowanych w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku dostrzegła Christopha von Koschützkiego, syna Egona i przyrodniego brata Franciszka Kampki. Nie omieszkała też od razu podzielić się swoim odkryciem z Maćkiem.

Ksiądz Stefan Wycisk był zaskoczony wizytą dwójki dziennikarzy z Tarnowskich Gór, ale starał się tego nie okazywać. Z delikatną rezerwą zaprosił gości do salonu i poczęstował herbatą. Okazał się za to całkiem obeznany z miejscową historią, choć, jak zastrzegł, na temat von Koschützkich wielkiej wiedzy nie posiadał.

– Dlaczego von Koschützcy upodobali sobie akurat Wronin i tu się osiedlili? Nie ma w tym żadnej tajemnicy... – Uśmiechnął się dobrodusznie. – W tutejszym majątku gospodarował teść Egona major Hugo von Oheimb. Było więc całkiem naturalne, że córka po opuszczeniu Rybnej wraz z całą swoją rodziną przeprowadziła się właśnie do ojca. Oczywiście, żadne pamiątki po nich nie przetrwały,

bo też nie mogły przetrwać. Tak zwane wyzwolenie przez Armię Czerwoną i późniejsze włączenie tych terenów do Polski, na dodatek Polski Ludowej, oznaczało dla mieszkańców radykalną zmianę. Mówiąc wprost, było katastrofą, kataklizmem niemającym precedensu w dziejach. – Zamyślił się, po czym dodał: – Powiedzmy, że wydarzenie to można porównać chyba tylko z wcześniejszym o siedemset lat najazdem Tatarów lub z wojną trzydziestoletnią, jeśli coś to państwu mówi... – Spojrzał na gości podejrzliwie jak profesor na studentów podczas egzaminu.

Zachęcany przez Weronikę wzrokiem farorz¹⁰⁵ ciągnął.

– Sowieci dostali obietnicę, że wszystkie trudy wojny odbiją sobie po wejściu do Niemiec. A że cały Górny Śląsk okazał się pierwszą prowincją niemiecką, którą udało im się zająć, proszę sobie samemu dopowiedzieć, co tu wyprawiali. Największe okrucieństwa i bezceństwa, jakie tylko można sobie wyobrazić, spadły właśnie na ludność górnośląskich miast i wsi. I oczywiście powszechne grabieże. Rzecz jasna, hitlerowskie władze do końca utrzymywały mieszkańców w przekonaniu o bezpieczeństwie i potrzebie pozostania w domach. Po czym, kiedy okazało się, że radziecka nawała jest nie do zatrzymania, to decydenci pierwsi czmychnęli w głąb Rzeszy, na pastwę losu pozostawiając głównie kobiety, dzieci i starców, bo mężczyźni objął przecież obowiązkowy pobór do Wehrmachtu i walczyli gdzieś, rozrzućeni po wszystkich frontach Europy.

– A później? – dopytała Weronika.

– No cóż, później nadeszły polskie władze komunistyczne i tutejszych mieszkańców z góry, jak to się mówi: z urzędu, uznano za Niemców. Wielu z nich pozbawiono majątków, obywatelstwa

i deportowano do Niemiec. Ich domy zasiedlili repatrianci z polskich Kresów, których z kolei wygnano z ich własnych mieszkań na Wschodzie, zajętych przez Związek Radziecki. Ale chyba trochę się rozgadałem – na widok nieumiejętnie ukrywającego znużenie Maćka ksiądz proboszcz urwał opowieść.

– A von Koschützcy? – Weronika nie zamierzała zbyt łatwo zrezygnować.

– Arystokratom z reguły udawało się wyjechać. Mieli po prostu za co. Tak też zrobili von Koschützcy. Nie wiem dokładnie, dokąd się udali. Często obierano drogę na południe, przez Czechy, do Bawarii. Wiem tylko, że Egon stał już wtedy nad grobem i odszedł w rok po ewakuacji, za to jego żona Erika dopiero pół wieku później. W wieku niemal stu lat zmarła w Monachium, zdaje się, że w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. W zasadzie to wszystko, co o nich wiem. – Upił łyk herbaty. – Pewnie państwa zawiodłem, ale nie jestem historykiem. Dopiero na starość zainteresowałem się przeszłością tych ziem. Niestety, zrobiłem to o wiele za późno, bo wraz ze zmarłymi świadkami tamtych wydarzeń, zdaje się, bezpowrotnie przeminęła również i pamięć o nich – dodał filozoficznie.

– Dlatego historię próbują odgrzebywać dziennikarze lokalnych mediów – uaktywnił się niespodziewanie Maciek, ściągając na siebie wzrok rozmówców.

– I chwała wam za to! – Ksiądz Wycisk uśmiechnął się, ale robił wrażenie, jakby chciał już zakończyć spotkanie.

– Mam jeszcze jedno pytanie – dziewczyna nie dawała za wygraną. – Von Koschützcy byli ewangelikami...

- Podobnie jak von Oheimbowie należeli do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego – wszedł jej w słowo ksiądz Stefan.

- Opuszczając Tarnowskie Góry, zabrali ze sobą nawet trumny ze zmarłymi, tak przynajmniej mówi miejscowa legenda. Czy wiadomo księdzu, by uchodząc przed Armią Czerwoną, von Koschützcy przetransportowali sarkofagi gdzieś dalej na zachód?

- Ależ pani redaktor! Ratując w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku życie, nie mieli już do tego głowy. To nie była przeprowadzka, ale ucieczka w popłochu. Z tego co wiem, zdążyli spakować tylko najpotrzebniejsze i najcenniejsze rzeczy.

- Czyli groby pozostały we Wroninie?

- Oczywiście. Po zasiedleniu rezydencji przez nowych lokatorów pojawiło się niebezpieczeństwo zbezczeszczenia mogił znajdujących się w minimauzoleum w parku przy willi, którą widzieliście. Zresztą najprawdopodobniej i tak wcześniej dokonali tego już krasnoarmiejcy. Dlatego pod koniec lat czterdziestych szczątki zostały ekshumowane i przetransportowane do krypty pod kaplicą przy kościele, tu, w Grzędzinie.

- I co działo się z nimi potem? – zapytała Weronika.

- No jak to co? Nic się nie działo, spoczywają tam po dziś dzień. Taki lokalny przejaw ekumenizmu, bo kaplica jest obecnie rzymskokatolicka – wyjaśnił proboszcz.

- Czy – na moment się zawahała. – Czy moglibyśmy je zobaczyć, zrobić zdjęcia?

- Nie nadużywajmy gościnności księdza proboszcza – napomniał ją Maciek.

- Myślę, że nie powinno być z tym problemu. – Farorz wykorzystał okazję i wstał z miejsca. – Pójdę poszukać kluczy.

- Zgłupiałaś do reszty?! - szeptem ofuknął koleżankę redaktor Jarzyna, kiedy zostali sami.

*

Na zewnątrz wiatr przepychał spiętrzone, kłębiaste chmury, które właśnie odsłoniły skrawek błękitu nieba, i zza kościoła, wprost na plebanię, wychynęło wczesnowieczorne, poziome słońce. Wysoka wieża świątyni pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła rzucała długi cień na ogród przy probostwie. Pierwszy raz w ciągu dnia zrobiło się ciepło. Jednorazowe uderzenie dzwonu oznajmiło w pół do szóstej wieczorem.

Proboszcz Wycisk prowadził dziennikarzy przez plac przykościelny. Z dumą opowiadał o różnych gatunkach drzew i krzewów, które obficie porastały okolicę. Wokół miękko ścieliły się przystrzyżone trawniki, w poprzek których od linijki wytyczono alejki wysypane jasnym żwirem. Wszystko było wypielęgnowane i do przesady wychuchane.

Smukła, dwuprzęsłowa kaplica wpijała się fundamentem w zbocze pagórka, tuż przy drodze. Skonstruowano ją z czerwonej cegły w stylu dość luźno nawiązującym do gotyku. Po wybudowaniu kościoła straciła na znaczeniu, okazjnie pełniąc dodatkowe funkcje sakralne.

Ksiądz Stefan wyjął z kieszeni pęk kluczy i wybrał właściwy. Do środka dostali się przez małe wejście usytuowane na ścianie zachodniej. W dawno niewietrzonemu wnętrzu panował charakterystyczny zaduch. Znalazłszy się pośrodku nawy, proboszcz przyklęknął, przeżegnał się z nabożeństwem, po czym wymownie spojrzął na gości, którzy natychmiast powtórzyli gest. Następnie

zbliżyli się do niewielkiego prezbiterium. Wykorzystując nachylenie terenu, zbudowano je na naturalnym podwyższeniu, na które po obydwu stronach wiodły schodki. Pomiędzy nimi znajdowało się wgłębienie.

Ostrożnie stawiając stopy, duchowny zszedł i ponownie wygrzebawszy pęk kluczy, otworzył solidne, niskie drzwi. Pochyliwszy się, wsunął się następnie do ciemnego wnętrza i dłonią namacał kontakt na ścianie. Po chwili kryptę rozświetliło światło mizernej mocy żarówki.

Kapłan ponownie przeżegnał się i odmówiwszy na głos „Wieczne odpoczywanie”, powiedział szeptem:

– Jesteśmy. Zostawiam państwa teraz na jakiś kwadrans, muszę otworzyć zakrystię i usiąść w konfesjonale. O osiemnastej zaczynam mszę świętą. – Po chwili zaś dodał: – Nie muszę chyba państwu przypominać, że jesteśmy w miejscu kultu religijnego.

Weronika skwapliwie przytaknęła, po czym wśliznęła się do krypty. Niewielką przestrzeń zajmowały trumny, ustawione niczym skrzynie, jedna na drugiej. W sumie było ich pięć. Na czole każdej umocowano metalowe tabliczki w kształcie barokowego kartusza herbowego. Dwie po lewej należały do członków rodu von Oheimb. Po prawej stronie spoczywali von Koschützcy, u dołu Richard, *Herr auf Rybna*, jak głosił napis, a na górze jego żona Anna z domu Schickfus und Neudorf. Obok rodziców zaś stała trumna syna. Weronika przykucnęła i fatalną niemczyzną odczytała na głos treść klepsydry: *Hier ruht in Gott¹⁰⁶, Hanno von Koschützki, Kgl. Sachs. Lt. im Hus-Rgt. Nr 20, geb. 22 Nov. 1895, ges. 13 Mai 1915.* Wyciągnęła komórkę i zrobiła zdjęcie tabliczki.

– Chcesz zobaczyć? – zapytała Maćka, wychodząc.

- Skoro dałem się już namówić na tę wyprawę... - odparł i wypełnił sobą przestrzeń miniaturowej krypty, w której natychmiast zrobiło się za ciasno. - No, to znalazłaś wreszcie swojego Hanna - powiedział po chwili, gramoląc się na zewnątrz.

Gdy rozsiadłszy się wygodnie w ławce, redaktor Jarzyna oczekiwał na powrót proboszcza, Weronika ponownie zeszła do podziemi. Pochyliła się nad trumną młodszego von Koschützkiego i nie zważając na grubą warstwę kurzu zalegającą na powierzchni niczym pleśń, obie dłonie złożyła na wieku skrzyni. Poczowała przyjemne mrowienie, a całym jej drobnym, dziewczęcym jeszcze ciałem wstrząsnął delikatny dreszcz podniecenia. Oto kilka centymetrów pod jej rękami znajdowały się szczątki hrabiego, który przed stu laty opuścił majątek, by w służbie Jego Cesarskiej Mości walczyć i zginąć w okopach I wojny światowej.

Pomyślała, że to, co zostało z człowieka zmarłego przed stu laty, musi przedstawiać makabryczny widok. *Memento mori*, te wszystkie rozkładające się truchła, które widziała na rycinach w podręczniku, kościotrupy, kosy... „Koszmar”, pomyślała. Zamierzała właśnie skierować się w stronę wyjścia, gdy palcami natrafiła na krawędź wieka sarkofagu. Wbrew sobie samej, niemal instynktownie pchnęła pokrywę, która jednak ani drgnęła. Ponownie naprężyła mięśnie przedramion i obejmując ją z obydwu stron, zupełnie już teraz świadomie, bardziej chyba siłą woli niż mięśni podważyła i przesunęła wieko. W skrzyni pojawiła się wąska szczelina. Popychając z całych sił drewnianą klapę, zdołała jeszcze powiększyć otwór.

Z torebki wydobyła komórkę. Uruchomiła podręczną latarkę i skierowała strumień światła w stronę szpary w trumnie. Okazała

się jednak zbyt ciasna, by mogła dojrzeć cokolwiek poza burym tłem. Na nowo ujęła więc wieko i zapierając się nogami o występ w nierównej posadzce, z niemałym trudem przesunęła je o kolejne kilka centymetrów. Z oddali dobiegł ją znudzony głos kolegi:

– Śpisz tam czy kontemplujesz?

Nie odpowiedziała. Pchając ze wszystkich sił pokrywę skrzyni, zdołała jeszcze powiększyć wyłom. Dalej nie dało już rady, krypta okazała się za krótka. W tym momencie za plecami usłyszała poirytowanego redaktora:

– Wariatko, co ty wyprawiasz?

– Usiłuję tylko zrobić sobie z nieboszczykiem słitfocię – usprawiedliwiła się słodko, wiedząc, że tym razem nie uda jej się przekabacić kolegi.

– Zamykamy to i wychodzimy – rozkazał, ładując się do przyciasnego wnętrza. – I to natychmiast.

– Maciek, chwilka, proszę.

– Zaraz będzie tu proboszcz, a my będziemy mieli kłopoty. Nie ma mowy.

– Sekunda, tylko tam zajrzę – odpowiedziała i ponownie zapaliła latarkę, by po chwili niemal wykrzyczeć: – To niemożliwe, ale tam niczego chyba nie ma.

– Wszystko jedno, zamykamy.

– Maciek, pomóż – wystękała, usiłując podnieść wieko.

– Nic z tego. Zostaw!

Nie zareagowała i nic nie zapowiadało, że zrezygnuje. Jarzyna spojrział na zegarek i bardziej w celu okiełznania szalonej dziewczyny niż z własnej ciekawości schwycił obiema dłońmi

pokrywę i jednym końcem uniósł ją aż do niskiego sklepienia. – Rób te swoje zdjęcia, byle szybko.

– A nie mówiłam? Nie ma go tu! – jazgotała w podnieceniu, błyskając fleszem z komórki. – Maciek, spójrz, nie ma go tu!

Z politowaniem spozierał raz po raz to na dziewczynę, to na wnętrze skrzyni. Istotnie. Na dnie trumny wyściełanej niegdyś gładkim sukniem, którego strzępy żałośnie zwisały teraz z krawędzi, znajdował się jedynie zmieszany z trocinami i mysimi odchodami piasek.

– Wystarczy – zdecydował redaktor i z największą delikatnością ułożył wieko na swoim miejscu. Następnie zakomenderował: – Przesuń się! – I pochylony nad sarkofagiem, dmuchając, zaczął rozprowadzać pozostały na wierzchu kurz równomiernie na całej powierzchni. – Jeśli księżulo nie będzie zbyt wąsy, może nie wyniknie z tego większa chryja. A teraz wychodzimy, no rusz się, won, sio! – dodał pojednawczym tonem.

Droga powrotna do Tarnowskich Gór minęła dziennikarzom „Wiadomości” spokojnie, lecz w całkowitym milczeniu, które niczym kurz na trumnie spowijało atmosferę konfliktu.

Rozdział XV

NAKŁO ŚLĄSKIE, WRZESIEŃ, PONIEDZIAŁEK

W autobusie linii sto dziewięćdziesiąt dwa z łoskotem otwarły się środkowe drzwi i na chodnik wyskoczyła pasażerka. W tym czasie do wnętrza pojazdu wiała się intensywna woń jesieni, mieszanka aromatów liści topoli, klonów i lip, liści schnących na wietrze i słońcu za dnia i butwiejących wilgotną nocą. Zapach niósł w sobie jednocześnie beztroskie wspomnienie letniego ciepła i niepokojącą zapowiedź zbliżającej się słoty.

Dziewczyna nawet nie zwróciła uwagi, że przystanek, na którym wysiadła, wciąż nosił nazwę „Nakło Śląskie Szkoła Rolnicza”. Od czasu, kiedy ostatni uczniowie opuścili mury bajkowego pałacu, minęło już jednak sporo czasu, a posiadłość gruntownie odnowiono i przemianowano na Centrum Kultury Śląskiej. Żwawym krokiem ruszyła wzdłuż brudnego wapiennego muru i po chwili zatrzymała się przed bramą prowadzącą do rezydencji.

Wejścia do parku strzegła stróżówka. Kubaturą zdecydowanie wyróżniała się wśród okolicznych domów – potężna i masywna, przyozdobiona niby-wieżą, która wyrastała z rozszerzającego się ku górze gzymsu. Dom o ścianach pokrytych burym tynkiem, który jak gąbka chłonał spaliny samochodów sunących drogą krajową numer siedemdziesiąt osiem, łączącą nadgraniczne Chałupki ze świętokrzyskim Chmielnikiem, wydawał się zaniedbany. Mocno

kontrastował ze stylizowaną, neogotycką i świeżo odmalowaną bramą, oflankowaną i wyposażoną w dwie miniaturowe baszty, usadowione po obydwu stronach przejścia zasklepionego ostrym, jakby żywcem przeniesionym z angielskiego zamku łukiem i zamkniętego kutymi wrotami. Dziewczyna minęła je bez cienia refleksji i jedyną otwartą furtą przedostała się do parku.

Z perspektywy, która się przed nią otwarała, pałac musiał budzić respekt. Nie tylko za sprawą wieży zegarowej, smukłej i dwukrotnie wyższej od głównego skrzydła budynku, wieży niemal żywcem przeniesionej z bawarskiego zamczyska Ludwika Szalonego w Neuschwanstein. Bajkowego efektu dopełniały liczne mniejsze wieżyczki, wydatne gzymsy, szczyty, wnęki sprawiające wrażenie chaotycznie rozrzuconych, jakby stężałych przedwcześnie w trakcie budowy albo zastygłych z przerażenia. Istotnie rezydencja w Nakle Śląskim mogłaby przecież stanowić idealną scenografię filmu grozy. Oczywiście, gdyby tylko ktoś chciał w niej jakikolwiek film nakręcić.

Ale i na to dziewczyna nie zwróciła uwagi. Zbyt mocno pochłonięta była myślami o tajemnicy von Koschützkich, której rozwiązania, nie wiedzieć czemu, doszukiwała się w Hannowaldzie. Jak dotąd zresztą bezskutecznie oraz na przekór wszystkim i wszystkiemu. Z zadumy wyrwał ją dopiero młody portier. Wypytując dokładnie o cel wizyty, wskazał drogę do wschodniego skrzydła pałacu, gdzie mieścił się gabinet historyka, heraldyka i specjalisty od genealogii śląskiej szlachty, z którym Weronika była umówiona.

Kiedy już wreszcie pokonała reprezentacyjne schody i ciągnący się w nieskończoność korytarz, nacisnęła klamkę, a wysokie białe drzwi ustąpiły nadspodziewanie gładko. Doktor niemal tonął

w ciemnej, przepastnej pracowni, ukryty za dwoma monitorami i obstawiony stosami książek, które bez ładu porozrucane były też po całym pomieszczeniu. Z jego ścian spoglądały marsowe, wąsiste i bokobrodziaste oblicza niegdysiejszych panów tych ziem, urozmaicone rycinami eleganckich siedzib rodowych. Porozwieszane drzewa genealogiczne miejscowych dynastii o nazwiskach długich, podwójnych i niemożliwych do wymówienia, korzeniami wpijały się w tynk ścian.

– Witam panią, czym mogę służyć? – doktor Eugeniusz Drucki-Kownacki (na mieście mawiano, że z tych Druckich-Kownackich, choć nikt nie precyzował, z których) przywitał ją radośnie, rozwiewając zarazem obawy dziewczyny, że atmosfera spotkania będzie równie mroczna co gabinet naukowca.

Zapadając się w głęboki fotel z epoki, Weronika miała przez chwilę wrażenie, że mebel służy podróżom w czasie i przestrzeni. „Nic, tylko zapiąć pasy, zamknąć oczy i przenieść się, hmm, powiedzmy, w epokę Napoleona, wojny trzydziestoletniej albo od razu do średniowiecza”, pomyślała. Zachęcona jednak uprzejmie, przedstawiła zebrane przez siebie informacje o ostatnich właścicielach Rybnej. Doktor Drucki-Kownacki słuchał w milczeniu opowieści dziennikarki, od czasu do czasu ze zrozumieniem kiwając głową. Niebieskie światło z obydwu monitorów odbijało się w jego okularach, przez co dziewczyna nie mogła dostrzec, czy spogląda na nią, czy też, nieobecny, błądzi wzrokiem gdzieś w zaściatach.

– Zasadniczo wszystko się zgadza – powiedział po chwili. – Co do ogółu, wspomnienia o von Koschützkich znajdują potwierdzenie w źródłach historycznych. Przeróżnych: herbarzach, kalendarzach gotajskich, książkach adresowych. Dziś większość z nich dostępna

jest już w internecie. Chciałaby może pani wiedzieć, jakim areałem ziemi dysponował pan na Rybnej?

Weronika zrobiła nieokreślony ruch głową, co doktor odebrał jako zachętę do wykładu.

– Nic prostszego.

Pod palcami naukowca klawiatura wydała charakterystyczny dźwięk uderzanych w pośpiechu klawiszy. Naciśnięty z impetem enter grał rolę ostatniego, triumfalnego akordu w tej etiudzie.

– Proszę bardzo – powiedział, zadowolony z siebie – w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku Alfred von Koschützki, ówczesny właściciel majątku na mapach występującego pod nazwą *Rittergut Rybna*, panował na tysiącu siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu morgach ziemi, z których tysiąc sto sześćdziesiąt stanowiły grunty orne, sto siedemdziesiąt siedem łąki, a czterysta pięćdziesiąt jeden lasy. – Zerknął na dziewczynę sponad okularów i w nadziei na pogłębienie efektu zaskoczenia dodał: – A może chciałaby pani dowiedzieć się, jak wysoki podatek płacił hrabia Alfred?

– Niekoniecznie – przerwała mu wprawdzie bez irytacji, ale i bez należącego tak epokowym odkryciom szacunku. – Szukam jednak nieco innych informacji. Weźmy dla przykładu brata ostatniego właściciela. Hanno zginął podczas pierwszej wojny światowej...

– Chwileczkę – odparł niezrażony Drucki-Kownacki i klawisze komputera ponownie wybrzmiały plastikową suitą. – Istotnie, Hanno von Koschützki, podporucznik w dwudziestym regimencie huzarów armii Królestwa Saksonii, zginął trzynastego maja tysiąc dziewięćset piętnastego roku pod Berry-au-Bac.

– Został pochowany w Rybnej, w lesie za pałacem, nazwanym na jego cześć Hannowaldem.

- Mało prawdopodobne – zachnął się badacz.

- Następnie – postanowiła go zignorować – trumna z jego ciałem została wywieziona w nowe miejsce osiedlenia von Koschützkich, do Wronina, niedaleko Polskiej Cerkwi...

- Do majątku Vierraben, który poprzednio należał do rodu von Oheimb – wtrącił doktor Drucki-Kownacki, na bieżąco weryfikując informacje na tylko sobie znanych, tajemniczych stronach internetowych.

- Byłam tam, widziałam trumnę Hanna... – Konfidencjonalnie ściszyła głos. – Ale ciała tam nie ma. I co pan na to?

- Wietrzy pani spisek? – Uśmiechnął się tajemniczo.

- Po prostu pytam – odparła.

- W takim razie już odpowiadam – odparł poważnie. – Wie pani, gdzie leży Berry-au-Bac, w okolicach którego, jak piszą w annałach, zginął Hanno?

- Nie mam pojęcia.

- A co mówi pani brzmienie nazwy?

Cisza. Klikanie klawiatury. Triumfalny uśmiech doktora.

- Proszę spojrzeć. – Obrócił w stronę Weroniki jeden z monitorów, na którym wyświetlił mapę. – I co pani powie? – Weronika wciąż milczała jak zaklęta, więc ruchem palca na pokrętle myszki oddalił perspektywę.

- Francja?

- Brawo! – Poczowała się, jakby brała udział w teleturnieju.

- No i co z tego wynika?

- Jeszcze się pani nie domyśla? – zapytał, lecz dostrzegając na twarzy dziewczyny bezdenne zdziwienie, uśmiechnął się ponownie.

– Zaraz pani zrozumie. Facet ginie na froncie, gdzieś we Francji, czyli bardzo daleko od domu, pi razy drzwi: tysiąc dwieście, tysiąc trzysta kilometrów na zachód stąd. Jest wojna, pierwsza wojna światowa. Państwa koalicji, Niemcy i Austro-Węgry, w szeregach których bohatercko służy nasz Hanno, otoczone są przez nieprzyjaciela ze wschodu i z zachodu. Dodatkowo blokady morskie skutecznie izolują je od reszty świata. Robi się po prostu kruczo, zaczyna brakować wszystkiego. Za chwilę pojawi się nędza w pełnej krasie, dla niepoznaki nazwana zimą brukwiową. Pierwszeństwo w transporcie ma przede wszystkim wojsko. – Doktor zrobił pauzę i popatrzył dziewczynie w oczy, po czym z nieudawanym, tragikomicznym wyrzutem zapytał: – A pani żąda, żeby przez pół Europy, w wysokich wiosennych temperaturach wieziono do domu rozkładające się ciało podporucznika dwudziestego regimentu huzarów, imię Hanna von Koschützkiego? Litości! – Opadły z sił ze wzburzenia, osunął się na oparcie krzesła.

W mrocznym gabinecie Eugeniusza Druckiego-Kownackiego zapadła cisza. Doktor patrzył na dziennikarkę, a ta zawiesiła wzrok gdzieś na gałęziach drzewa za oknem. Nie ukrywała kompletnego zaskoczenia. Jeszcze przed chwilą już prawie była w ogródku, już witała się z gąską, rozwiązanie tajemnicy miało być na wyciągnięcie ręki. Tak rozczarowującego, ale, musiała to przyznać, również i logicznego obrotu sprawy po prostu nie przewidziała. Po chwili odwróciła się w stronę rozmówcy i zapytała:

– Zaraz, zaraz... A pogrzeb, grób, Hannowald? Po co w takim razie odgrywano całą tę komedię z przenoszeniem trumien do Wronina?

- Równie proste. To była, by posłużyć się pani określeniem, komedia, teatr, w którym aktorzy odgrywali jednocześnie rolę widzów. Ojciec traci ukochanego syna, więc urządza mu symboliczny pogrzeb. Kamieniarz wykuwa grobowiec, imieniem poległego nazywają leśny zagajnik. W ten sposób najbliżsi pielęgnują wspomnienie o Hannie, który poniekąd wraca w ten sposób do domu. Ziarno pamięci pada na żyzny grunt, kiełkuje, zapuszcza korzenie i rośnie, aż staje się naturalnym elementem otoczenia, którego braku nikt już sobie nie wyobraża. Opuszczając Rybną, von Koschützcy zabierają to, co najcenniejsze, wykopują więc pustą trumnę i zabierają do Wronina, gdzie być może odprawiają nawet powtórny pogrzeb. Rzecz jasna nie mam na to żadnych dowodów, ale to chyba oczywiste. - Cisza. - A pani co myślała?

- Nie, nic.

*

Gdy wracała z Nakła ogarnęły ją najpierw bezradność i zmęczenie, a zaraz potem irytacja i wzburzenie. Pozwoliła się ponieść złości i za chwilę już kipiała gniewem na doktora, który przedstawił jej hipotezę prostą jak budowa cepa i jednocześnie niepodważalną, na wszystkich von Koschützkiach po mieczu, po kądzieli i tych z nieprawego łóża, a na końcu wściekła się jeszcze na siebie samą. „Zrobiłam z siebie idiotkę, kretynkę, pośmiewisko”, wymyślała sobie w głowie.

Za oknem przesuwały się chaotyczne zabudowania tarnogórskich przedmieść przy ulicy Nakielskiej. Weronika, wpatrzona w obraz za oknem, zdawała się go jednak nie widzieć. Dopiero gdy autobus zjechał z wiaduktu, minął rondo i skręcił w stronę dworca, podniosła

się z miejsca. W torebce odszukała komórkę, by sprawdzić, czy zdąży na połączenie do Starych Tarnowic. Była zmęczona i chciała jak najszybciej zakopać się w łóżku, wszystko zapomnieć i zasnąć.

Na czarnym ekranie telefonu wyświetliła się godzina osiemnasta czterdzieści siedem. A pod spodem drobnym drukiem zamigotało: „1 wiadomość”. Dziewczyna wyciszyła urządzenie przed spotkaniem z doktorem, a po wyjściu z pałacu z roztargnienia i ze złości zapomniała przywrócić poprzednie ustawienia. Ze zdziwieniem skonstatowała, że nie zna adresu mailowego nadawcy. Pomyślała nawet, że to internetowy śmieć, spam, którego pełno krąży po wirtualnej orbicie.

Wóz zahamował gwałtownie i kierowca otworzył wszystkie drzwi. Weronika schowała telefon do kieszeni i szybkim krokiem ruszyła na peron, gdzie już gotowa do odjazdu warczała sześćdziesiątka czwórka. Usadowiwszy się na siedzeniu, ponownie wyciągnęła urządzenie i dopiero teraz odczytała krótką wiadomość: „Szczerze Ci radzę, przestań dłużyć w tej historii. Wiesz, w której...” W tej samej chwili poczuła w nogach dziwną słabość, drżenie, gdyby stała, pewnie by się pod nią ugięły. E-mail ponownie przywrócił ją do życia. Wprawdzie sama próbowała znaleźć dla treści wiadomości racjonalne wytłumaczenie, wprawdzie jeszcze tlił jej się w głowie ogień nadziei – w końcu zdarzają się pomyłki, ludzie przekręcają adresy – intencje nadawcy były jednak nad wyraz oczywiste.

„Ktoś mi grozi”, wreszcie dotarła do niej bolesna prawda.

Rosnący strach, którego napięcie powoli zbliżało się do granicy akceptacji. Weronika spojrzała na kilku siedzących przed nią pasażerów i się odwróciła. Kilkanaście osób. Każdy zajęty sobą. Młodzież ze słuchawkami wetkniętymi w uszy i poruszająca do

rytmu głowami. Starszy mężczyzna z gazetą i otyła kobieta w średnim wieku tuż przed nią z jakimś romansidłem w ręku. Właśnie podniosła wzrok znad książki i spojrzała pytająco na dziennikarkę. Ta uśmiechnęła się w nerwowym tiku, jak gdyby chciała powiedzieć, że to tylko jakiś gówniarski żart, że nie ma się czego bać, ale jej rozchwiany wzrok w najwyższym stopniu zdradzał roztargnienie. Kobieta spuściła oczy i wróciła do lektury.

Szczeliny w zasłonie strachu, przez które przedostaje się natłok myśli. Kilka na ułamek sekundy. Lęk walczy z rozsądkiem. W myślach znów zaczęła rozmawiać sama ze sobą:

- To stalking!
- Więc proszę przedstawić, jak brzmi groźba.
- No właśnie, jaka groźba?
- „Zostaw tę sprawę” to nie groźba, to prośba, zwykła sugestia.
- Z tym trzeba na policję, natychmiast.
- Spokojnie. Na razie nie ma z czym, poczekajmy na dalszy rozwój wypadków.

Dalsza droga upłynęła jej na gorączkowych rozważaniach i nawet się nie zorientowała, gdy stanęła pod drzwiami mieszkania. Otworzyła drzwi, weszła i zamknęła je na wszystkie zamki, w jakie były wyposażone. Choć było jeszcze całkiem jasno, zaświeciła lampy, zajrzała do kuchni, do łazienki i jedyne go pokoju. Pusto. „Bo i kto miałby tu być?”, zapytała samą siebie. Odkręciła gorącą wodę i dołała do wanny relaksacyjnego płynu do kąpieli. Zamknęła na rygiel drzwi łazienki, mimo że była przecież sama i zwykle tego nie robiła.

Dopiero leżąc w przyjemnie ciepłej i pachnącej kąpieli, zdecydowała. Na dotykowej klawiaturze zgrabnie wystukała: „Pomyłka”. Komenda: „Wyślij” i wiadomość wyfrunęła w cyfrową

przestrzeń. Na nadejście komunikatu zwrotnego nie trzeba było długo czekać: „*Mail Delivery System* – wiadomość nie została doręczona do adresata”.

I wtedy Weronikę Maszczyk ogarnęła druga fala strachu. O wiele silniejsza niż poprzednia.

Rozdział XVI

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, WTOREK

Każdy doskonale zna ten stan świadomości. Przenikliwy pisk budzika wyrywa cię z ciepłego snu. Odruchowo wyłączasz uciążliwy jazgot i otwierasz oczy. Spostrzegasz ścianę. Tę samą, którą widziałeś przed zaśnięciem. Niby gładką i równą, a jednak pełną załomów, delikatnych wgłębień i wypukłości, których nie powinno tu być. Nie, nie okłamuj sam siebie, że ich nie ma. Są na każdej ścianie, nawet tej najrówniejszej. Tym bardziej na twojej są, przecież znasz je wszystkie na pamięć. Tak samo jak znasz kształt tego uszczerbka politory na blacie nocnego stolika po babci i postrzępiony materiał abażura lampki. Co dzień rano obiecujesz sobie, że usuniesz te mankamenty, kupisz nowy abażur, oddasz stolik do renowacji i zlecisz gipsowanie ścian. Domaga się tego twoje poczucie estetyki.

A jednak nic z tym nie robisz. Kładąc się spać, sprawdzasz znowu, czy wszystkie defekty są na swoim miejscu, a rano nie wstaniesz, dopóki nie przywitasz się z każdym z nich. Dzięki ich istnieniu jesteś w domu – kładziesz się i budzisz u siebie. Ich obecność uspokaja cię, uświadamia, że już nie opadasz na dno oceanu, nie mogąc zaczerpnąć powietrza, że nie leżysz w głęboko zakopanej ciasnej trumnie i że wcale nie jesteś więźniem straszego obozu. Że to wszystko, co przed chwilą przeżywałeś, nie wydarzyło się naprawdę, że było jedynie nocnym koszmarem. Koktajlem pobudzonej wyobraźni i rzeczywistych przeżyć. Zupełnie

nieobiektywną serią obrazów, dźwięków i emocji zamkniętych w obrębie twojej czaszki i w obracających się pod powiekami gałkach ocznych.

Z ulgą napełniasz więc płuca powietrzem, przeciągasz ramiona, prostujesz nogi, wstajesz. Brzemie czekających cię obowiązków wydaje się słodkie jak nigdy dotąd, a świadomość, że dziś dopiero wtorek, przykładowo, jest miłsza niż w najdłuższy weekend. Wszystko blednie w obliczu historii, która mogłaby stać się twoją historią, gdybyś tylko nie dojrzał na ścianie załomów, a na blacie odprysku politory. Gdybyś się nie obudził.

Czy zastanawiałeś się jednak, co byłoby, gdyby koszmar nie minął? Gdyby nie odszedł wraz ze skowytem budzika, gdyby nie okazał się sennym marzeniem, wytworem śpiącego mózgu, ale gdyby wydarzył się naprawdę?

Weronika też się nad tym nie zastanawiała. I dopiero dziś rano zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd tak naprawdę się nie bała. Owszem, jak każdy, miewała chwilowe lęki i obawy, ale strach, którego namiastkę odczuła dziś rano, był przerażeniem natury zwierzęcej. Takim, które nie dotyczy już tylko poziomu i jakości bytu, ale które sięga jego istoty.

W tym właśnie stanie obudziła się rano. Jak zwykle spojrzała na nierówności w ścianie – wszystkie znajdowały się na swoim miejscu. Podobnie jak na miejscu stała nocna lampka ze starym, kremowym abażurem, stolik przy łóżku i wszystkie inne sprzęty. Na nic jednak zdało się uporczywe w nie wpatrywanie, na nic wejście w karby dyscypliny porannej toalety. Niby wszystko było jak dotąd, a jednak jakieś inne. Towarzyszące dziewczynie uczucie przerażenia, ba, ów zwierzęcy strach, lęk, nie minął ani w łazience, ani w kuchni, ani

w przedpokoju. Wzmógł się wręcz, kiedy wychodziła z mieszkania, trzykrotnie sprawdzając, czy aby na pewno przekręciła klucz w zamku, utrzymywał się podczas podróży autobusem i za nic nie chciał zelżeć po wejściu do redakcji.

Usadowiwszy się za biurkiem, utknęła przed pustą stroną, której wypełnienie literami wydawało się jej teraz nadludzkim wysiłkiem. Historia zamku Wrochemów w Starych Tarnowicach – kolejne zadanie wyznaczone przez naczelną, stała się równie odległa w czasie i przestrzeni, co opowieść o Smoku Wawelskim i szewcu Dratewce. Niezwykłe zachowanie Weroniki, zazwyczaj energicznej, rozszczebiotanej i pyskatej dziewczyny, nie umknęło uwadze otoczenia. Współpracownicy chodzili wokół niej na palcach, nie zadawali pytań i z życzliwości incognito wykonali nawet przypisaną jej robotę. Wreszcie Helena, litując się nad apatyczną dziewczyną, zaproponowała, by wróciła do domu, odetchnęła od pracy i ostatnich emocji.

Weronika przyjęła sugestię, obiecując solennie szefowej, że sił ma aż nadto, tylko nie za bardzo ciśnienie dziś jej służy. Była to nieprawda tak oczywista dla niej samej, jak i dla wszystkich pozostałych, ale jednocześnie kłamstewko tak niewinne, że trudno byłoby w tym miejscu dłużej się nad nim rozwodzić. Wyszła z redakcji, ale nie chciała wracać do siebie. Miała nadzieję, że pozostając jakiś czas u rodziców, upora się ze złymi myślami, odpocznie i nabierze sił.

– Czy aby na pewno wszystko z tobą w porządku? – zatroskała się matka, zaalarmowana niezwykłym zachowaniem córki, która zaraz po wejściu udała się do swojego niegdysiejszego pokoju i wsunęła pod koc na kanapie.

- Jestem tylko trochę zmęczona - odpowiedziała. - Sporo roboty mam ostatnio. - Po raz kolejny skłamała bez mrugnięcia okiem.

- Co tam ostatnio czytasz? - zapytał jak gdyby nigdy nic nieświadomy niczego ojciec, który powiadomiony przez żonę, przydreptał pod próg pokoju dziewczyny. - Jest taka świetna powieść Jonathana Littela *Łaskawe*. Długa i drastyczna, ale czytając ją uważnie, znajdziesz w niej wątek lokalny, tarnogórski... Myślę, że cię zainteresuje...

- Tato... - Westchnęła beznadziejnie i to wystarczyło, by senior rodu Maszczyków wycofał się na bezpieczną pozycję.

Weronika podziękowała za rekomendację i poprosiła o odrobinę spokoju. Zamknęła oczy, próbując zasnąć, ale jej myśli z maniakalnym uporem krążyły wokół jednego: wczorajszego e-maila i historii Rybnej, w którą wplątała się wyłącznie na własne życzenie. Albo przez własną głupotę. W tej chwili wcale nie miała ochoty tego rozstrzygać.

Sen nadejść jednak nie zamierzał. Wyciągnęła więc z torebki smartfona i postanowiła posłuchać relaksacyjnej muzyki. Z listy albumów wybrała Yasmin Levy i po chwili w słuchawkach rozległ się przeładowany emocjami, krystalicznie czysty głos piosenki. Trzymając w ręku urządzenie, machinalnie weszła na Facebooka, gdzie jak zwykle trwał niekończący się festiwal próżniactwa. Poczowała dziwny, nieznanym jej wcześniej wstręt do wszystkich tych pustych wynurzeń, pseudozwierzeń i refleksji, publikowanych bez żenady tras joggingu znajomych wraz z liczbą spalonych kalorii czy wakacyjnych zdjęć, na których niemal codziennie mijani na ulicy znajomi w jakimś narcystycznym amoku na tle porozmazywanych

zabytków prezentowali swe wdzięki. Często zresztą wątpliwej jakości.

Z przyzwyczajenia otworzyła skrzynkę pocztową. Tkwiła w niej tylko jedna nieodebrana wiadomość. Nadawcą maila była jakaś kancelaria adwokacka i nosiła tytuł „Re:”, co sugerowało, że jest odpowiedzią, zachęcając w ten sposób do kliknięcia. Znała dobrze ten marketingowy zabieg, usunęła więc wiadomość bez czytania i zamknęła oczy. Yasmin Levy właśnie śpiewała jej ulubioną pieśń *Una noche mas*. Wsłuchując się w porywającą melodię, Weronika na chwilę odpląnęła w głąb siebie, z rzeczywistością pozostając związana jedynie cienką nicią strachu, zaczepioną gdzieś w podświadomości.

Nagle, zupełnie bez impulsu z zewnątrz, uświadomiła sobie, że we wrocławskiej adwokaturze pracuje Ewa i że przecież przed kilkoma dniami wysłała jej maila, o którym potem kompletnie zapomniała. Ponownie otworzyła więc skrzynkę i wygrzebała z kosza usuniętą wiadomość. I to był jej błąd. Kolejny zresztą popełniony w ciągu ostatnich dni.

Początkowo nie potrafiła nawet rozpoznać stylu tekstu pióra swojej najlepszej niegdyś przyjaciółki. A w zasadzie dopasować go do charakteru wesołej i roztrzepanej dziewczyny, jaką zapamiętała. Epistoła zredagowana była bowiem w sposób wyjątkowo staranny, hermetycznym językiem prawniczym. Autorka niemal w każdym zdaniu powoływała się na jakieś przepisy, a całość upstrzona była paragrafami do tego stopnia, że równie dobrze mogłaby robić za perski dywan.

Odpowiadając na pytanie, Ewa pisała, że na tle postępowań rewindykacyjnych przypadek Rybnej rzeczywiście jest wyjątkowy.

Po pierwsze bowiem, sprawy te są stosunkowo rzadkie, a po drugie dotyczą majątków znajdujących się na terenach, które w granicach Niemiec pozostawały do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Całe Tarnowskie Góry oraz Rybna, wówczas jeszcze niewchodząca w skład miasta, miały jednak swój siedemnastoletni polski epizod w latach od tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego do trzydziestego dziewiątego. Wszelkie więc uprzednie spory własnościowe, o ile jakiegokolwiek były, powinny były znaleźć rozwiązanie właśnie w tym czasie.

I najczęściej tak też bywało, gdyż niezależnie od fobii narodowych odwieczne, święte prawo własności respektowano na całym świecie z wyjątkiem, rzecz jasna, bolszewickiej Rosji, gdzie pojmowano je w sposób osobliwy i zupełnie nowatorski. Czy w sprawie Rybnej był zatem jakiś punkt zaczepienia, jakiś wyłom, którego można się było jeszcze uchwycić? Ewa dopuszczała taką możliwość, ale zastrzegła się, że jest ona mocno hipotetyczna i po niemal dziewięćdziesięciu latach z całą pewnością niezwykle trudna do udowodnienia. Jeśliby jednak doszło do wszczęcia sporu sądowego w tej sprawie, byłby on – jak dobitnie podkreślała – nie tylko precedensowy, ale również fascynujący. Z całą pewnością także zaciekle komentowany w świecie politycznym. A więc bardzo, bardzo głośny, a z tej przyczyny również mało prawdopodobny.

Pani mecenas szczegółowo przeanalizowała wszystkie podane przez dziennikarkę fakty i jedyny kruczek prawny, jaki przyszedł jej do głowy, mógłby polegać na wywieraniu przez polską administrację nieustannej presji na von Koschützkiego w celu pozbawienia hrabiego majątku. Ten, choć przecież stosunkowo niewielki, tylko pozornie nie miał znaczenia. W wiosce położonej tuż przy polsko-

niemieckiej granicy, rok po sztucznym podziale Górnego Śląska – podziale, w którego trwałość ufać mogli chyba tylko zachodnioeuropejscy dyplomaci, którym spieszno było do swoich śródziemnomorskich kurortów, ale z całą pewnością nie wierzył weń nikt twardo stąpający po bruku w Warszawie czy Berlinie – kontynuacja i eskalacja konfliktu musiała być tylko kwestią czasu. A w takim wypadku rybnieńska posiadłość zyskiwała na znaczeniu, które urastało do rangi strategicznego.

Późniejsze dzieje i pogłębiające się dysproporcje w militarnych możliwościach Rzeczypospolitej i Rzeszy pokazały wprawdzie, że ta hipoteza była całkiem chybiona, ale przecież, jak utrzymywała Ewa, w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, czyli w rok po zakończeniu trzeciego powstania śląskiego, musiała być jeszcze całkiem realna, a tak polscy, jak i niemieccy urzędnicy nie mogli wiedzieć, jak potoczy się historia. Polityczne wytyczne były jasne, a to ich przecież trzyma się administracja każdego państwa w każdym czasie.

„Czy zatem przedstawiona hipoteza o przyczynach wyjazdu von Koschützkiego była nierealna?”, zastanawiała się Ewa. I sama sobie odpowiadała, że, owszem, mogła być jak najbardziej prawdopodobna. Skoro w pamięci mieszkańców wsi zachowały się wspomnienia o utrudnieniach czynionych przez celników często przekraczającemu polsko-niemiecką granicę von Koschützkiemu – a trzeba mieć na względzie, że wspomnienia te musiały przejść odległość przynajmniej dwóch pokoleń mieszkańców – skoro w ówczesnej prasie zdecydowano się na druk tak jawnie stronniczego artykułu, to opisane przez adwokatkę rozwiązanie nie

było fantastycznym snem, ale mogło mieć całkiem solidne podstawy.

„A późniejsze losy rezydencji, czy nie potwierdzają częściowo mojej koncepcji? – Ewa dalej stawiała pytania, natychmiast udzielając na nie odpowiedzi. – Oczywiście, tak właśnie jest – kontynuowała. – Gdy tylko perspektywa zbrojnego konfliktu o Śląsk się oddaliła, a zarówno Warszawa, jak i Berlin zajęły się innymi sprawami – przez chwilę można nawet było mówić, że stosunki pomiędzy obydwojma państwami się ociepliły – a więc nawet w tym czasie ulokowano w Rybnej organizację jawnie i agresywnie promującą polskość wśród rdzennych mieszkańców o płynnej tożsamości narodowej”.

Taki wszak charakter miała – jak wspomniała Ewa – działalność Związku Strzeleckiego. Opublikowany w książce o pałacu w Rybnej fragment dziennika prowadzonego przez jedną z aktywistek Związku Młodych Polek, który siedzibę miał właśnie w rezydencji, pełen jest zapisków o charakterze wyzywającym wobec drugiej strony, którym dorównać mogą tylko równie liczne peany na cześć Piłsudskiego i Polski. A przecież autorki dzienniczka musiały być w większości miejscowymi dziewczynami, posiadającymi krewnych po obu stronach granicy, a zatem – perorowała mecenas – dziewczęta zostały ukształtowane przez organizację, w której służyły. Krótko mówiąc, były już produktem warszawskiej propagandy, ideologii.

I o to właśnie, zdaniem prawniczki, chodziło – o młodych mieszkańców regionu toczyła się wówczas walka. Po obydwu stronach sztucznej granicy doskonale wiedziano, że im dłużej trwa *status quo*, tym większe znaczenie będzie miało indywidualne poczucie tożsamości, od którego z kolei zależeć będzie, po której

stronie opowiedzą się mieszkańcy Górnego Śląska w momencie wybuchu konfliktu. Kiedy? Tego nikt nie wiedział, ale przygotowanie gruntu pod przyszłą konfrontację należało rozpocząć z wyprzedzeniem. Nie było to, rzecz jasna, odkrycie wyłącznie polskie, bo i po stronie niemieckiej rozumiano je równie dobrze, powołując zresztą analogiczne organizacje, posługujące się podobnie zaczepną symboliką – ale w kwestii hipotezy o strategicznym znaczeniu nadgranicznego majątku fakt ten może być wyłącznie jej potwierdzeniem.

„Weryfikację tych poglądów przyniósł dopiero pewien słoneczny poranek pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, kiedy posiadłość w Rybnej dosłownie z dnia na dzień straciła swe strategiczne znaczenie, ale – kończyła Ewa – to już całkiem inna opowieść”.

Weronika z zapartym tchem i rozdziawionymi ustami chłoneła wywód koleżanki, której nie podejrzewała o tak dogłębną analizę postawionego przecież ot tak, z głupia frant, pytania. Była naprawdę pod wrażeniem. W miarę upływu czasu wrażenie to pomału ustępowało jednak miejsca uporczywej myśli, która niczym natrętna mucha pojawiała się w głowie Weroniki, po czym na moment znikała, by za chwilę objawić się ponownie. Nie wiadomo, skąd się nagle wzięła, ale tak to już z myślami jest. *Idées fix* przychodzą znienacka, rosną i pęcznieją w taki sposób, że pod wieczór dziennikarka była już pewna: dwa zgony w Rybnej nie mogą być przypadkowe, muszą być w ścisłym związku z historią pałacu.

– A ja dołożę wszelkich starań – zadeklarowała, odzyskując niespodziewanie werwę do działania – zrobię wszystko, co w mojej

mocy, by ów związek wyjaśnić i opisać. – Co postanowisz, oddała się na powrót kontemplacji utworów Yasmin Levy.

Rozdział XVII

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, CZWARTEK

Wynurzenie – wdech, zanurzenie – wydech. Pęcherze powietrza wypuszczanego przez nozdrza ulatują ku górze. Wynurzenie – wdech, zanurzenie – wydech. Na powierzchni wody rozlewa się światło, które z dołu wydaje się oleistymi plamami. Wynurzenie – wdech, zanurzenie – wydech. Dnem suną błękitne kafelki o konturach rozplywających się niczym w gorącym powietrzu. Wynurzenie – wdech, zanurzenie – wydech. Zamaszysty ruch ramion rozgarnia wodną przestrzeń. Wynurzenie – wdech, zanurzenie – wydech. Nogi odbijają się od miękkiej ściany wody. Wynurzenie – wdech, zanurzenie – wydech. Ciało jak maszyna.

Kolejną długość basenu Weronika pokonywała jakby w transie. A w każdym razie w rytmie, który przez swą powtarzalność i regularność pozwalał dziewczynie zapanować nad zmęczeniem, nad bólem zmuszanych do wysiłku mięśni i rozrywanych ciśnieniem płuc. Jej głowa, okolona opaską pływackich gogli, w regularnych interwałach wynurzała się spod wody i znów zapadała w błękitną toń, by po chwili ponownie pojawić się na moment kilka metrów dalej i kolejny raz zniknąć.

Z parku wodnego w Tarnowskich Górach korzystała w miarę regularnie. Przede wszystkim z basenu pływackiego, gdzie w wysiłku fizycznym lubiła topić zły humor, porażki, zmęczenie i inne babskie

humory. Rzadziej bywała w saunie. Czuła się tu jak u siebie, znała większość personelu, sama również nie będąc anonimową.

Pokonując teraz kolejne długości, nie mogła jednak oderwać się od Rybnej. Ciało wprawdzie pracowało jak maszyna, ale umysł uszedł w odległe rewiry tuż po wejściu do wody. Analizowała fakty, łączyła informacje, szukała wspólnego mianownika, próbowała odnaleźć punkt zaczepienia, wyłom w monolocie banalnej, choć tragicznej przecież historii. Wyłom, który pozwoliłby dotrzeć głębiej i dalej. Wciąż jednak na próżno.

Związek pomiędzy zamordowanym mecenasem, zmarłym panem Franciszkiem i nieżyjącym od stu lat podporucznikiem Hannem von Koschützkim nie istniał. A przynajmniej ona, Weronika, go nie dostrzegała. Zresztą nie tylko ona, nikt go nie dostrzegał. Jakże zatem było prawdopodobieństwo, że jakakolwiek relacja między mężczyznami w ogóle istniała? Dlaczego zgony tych trzech upatrzyła sobie na zaczyn kryminalnej sensacji? Skąd brała się magnetyczna siła pałacu w Rybnej i dlaczego pozwoliła jej się pochłonać?

Dopłynąwszy do końca kolejnej długości basenu – której z kolei, straciła rachubę – wyciągnęła ręce, by podciągnąwszy się, wyskoczyć na brzeg. Swoim zwyczajem, wychodząc z wody, prawie nigdy nie korzystała z drabinki. I właśnie wtedy, jak gdyby nie mogła pojawić się nieco wcześniej lub trochę później, właśnie kiedy na obu rękach zwiślał cały ciężar jej ciała, akurat w tym ułamku sekundy przyszła jej do głowy myśl. A w zasadzie to dwie myśli pojawiły się gdzieś pod welonem mokrych włosów Weroniki Maszczyk. Lecz choć objawiły jej się niczym jeden błysk, pozornie równocześnie, zachowywały własną odrębność i kolejność.

Pierwsza myśl – Hanno nie pasuje do tej układanki. Tak podpowiedział jej umysł, gdy siłą ramion podciągała się na brzeg basenu. „Nie może być związany z zagadkowymi wydarzeniami, skoro urodził się jeszcze w dziewiętnastym wieku i zginął podczas pierwszej wojny światowej. Poza tym i bezeń tajemnica Rybnej pozostaje dostatecznie trudnym równaniem, wciąż z dwoma niewiadomymi – perorowała w duchu. – Dlaczego uparłam się, by odkrywać przeszłość człowieka, który zmarł przed wiekiem? – niemal z wyrzutem zapytywała sama siebie. – A nawet jeśli nie umarł wówczas, dziś przecież żyć by już po prostu nie mógł. Takie rzeczy się nie zdarzają, no może poza Księgą Rodzaju”, dodał rozsądnie umysł i Weronika nie miała innego wyjścia, jak tylko zgodzić się z tą oczywistością.

I zaraz po pierwszej, przyszła myśl druga. Choć pojawiła się, jeszcze nim dziennikarka znalazła się na brzegu, nie mogła wszak objawić się pierwsza, gdyż była wynikiem analizy. Mózg, ten genialny komputer, który każdy z nas nosi pod czaszką, komputer o wydajności oszałamiającej nawet współczesnych znawców maszyn liczących (któż jeszcze posługuje się dziś tym określeniem?), zdążył bowiem nie tylko podpowiedzieć swojemu właścicielowi jedno z możliwych rozwiązań zagadki, ale też, bazując na nim, a przynajmniej je uwzględniając, przetworzyć je i od razu podsunąć wniosek. Fantastyczne.

Myśl druga była równie prosta, co odważna. Można rzec nawet bez przesadnego naciągania faktów, że była odważna w swej prostocie, w prostolinijności wyciągniętego wniosku, jak i prosta w śmiałości postawionej hipotezy. Była jak myśl dziecka, które pozbawione świadomości istnienia przeszkód, zarówno

rzeczywistych, jak i tych sztucznych, wynikających z wychowania i zakorzenienia w kulturze, a więc barier krępujących kreatywność, stawia zawsze na rozwiązania najprostsze.

A czyż i największe odkrycia w dziejach ludzkości nie wynikały z odwagi intelektu do publicznego głoszenia idei naiwnych, pozbawionych ograniczeń postawionych przez samego siebie, czyli pomysłów infantylnych właśnie? Weźmy, ot, Krzysztofa Kolumba. Tytu przed nim w drodze do Indii przemierzało niebezpieczne stepy Azji, tytu innych zmagalo się w tym samym celu z bezkresem oceanów, wszelako nikt nie wpadł na to, by jeśli podróż wiedzie na wschód, popłynąć na zachód. Nikt poza żeglarzem z Genui nie pomyślał, że skoro Ziemia jest kulą, to i kierunki świata muszą być umowne, a wschód przechodzić winien w zachód równie płynnie, jak północ – w południe. Biorąc pod uwagę, że koncepcja ta ogłoszona została w czasach, gdy co nazbyt awangardowe teorie jeszcze długo spotykać się miały z zarzutami o herezję, których z kolei naturalną, jak się wówczas zdawało, konsekwencją był stos – nie należy zapominać, że pochodnia niejakiego Giordana Bruna zapłonęła ponad wiek później – odkryciu Kolumba nie sposób odmówić zarazem odwagi, jak i naiwności.

A więc myśl druga, że skoro w Rybnej pojawił się mecenas (fakt sam w sobie nic nieznaczący), skoro pan Franciszek był synem ostatniego właściciela pałacu, czyli i dziedzicem jego majątku, skoro Ewa nie wykluczyła możliwości rewindykacji mienia podstępem odebranego, to... W tej chwili Weronika ciężko opadła na ceramiczny brzeg basenu. I jak opadła, tak też została. Jak długo, sama nie wiedziała, gdyż co innego zaprzętało jej myśli. Jednak w opinii znajdujących się w pobliżu ratowników chwila ta przewlec

się musiała na tyle, że jeden z mężczyzn zdecydował się podejść, by zapytać standardowo, czy „wszystko u pani w porządku”.

– W porządku, dziękuję, zamyśliłam się – odpowiedziała zdziwionemu facetowi w czerwonych kąpielówkach, po czym z niepewnym uśmiechem powstała i skierowała się w stronę szatni. Chciała opuścić wypełnioną parą, duszną halę, wyjść na pełne spalin samochodowych powietrze przy tarnogórskiej obwodnicy i dogłębnie przemyśleć to, co umysł jej podpowiadał. Chciała, lecz nietypowe zachowanie dziewczyny oprócz ratownika dostrzegł ktoś jeszcze. Ktoś, kto również skierował się w stronę Weroniki i stanąwszy nagle przed nią, przywitał się cudzoziemskim akcentem:

– Sześć.

– Cześć – odpowiedziała, choć jeszcze nie dotarło do niej komu. Podniosła głowę, popatrzyła na twarz stojącego przy niej mężczyzny i pierwsze, co spostrzegła, to intensywnie niebieskie oczy, które musiała już kiedyś widzieć. Musiała, bowiem takich oczu, oczu, które patrząc, magnetyzują, po prostu się nie zapomina.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Widziałem, że spadłaś.

– Nie, nie upadłam – uśmiechnęła się, choć sama nie wiedziała, czy powodem jej uśmiechu była zwykła uprzejmość, czy też osobliwa uciecha, którą sprawiała dykcja obcokrajowca... – Ale... – zawiesiła głos, choć pytanie które chciała zadać niemal już padło.

Doskonale odczytał jego intencję.

– Nie pamięęętaż minie – bardziej odpowiedział, niż zapytał, i znów spojrzał jej w oczy. – Thomas Jeschke.

I wtedy sobie przypomniała.

– Oczywiście, pamiętam – skłamała nieudolnie i zapytała, jak gdyby byli przyjaciółmi, którzy spotykają się po latach. – Jak leci?

- Dziękuję. Ale widzę, że wychodzisz. Może wzmocnisz się kawą?

Zaskoczył ją. Jednak planów na wieczór nie miała. Przystała więc na propozycję Jeschkego, choć już siedząc w samochodzie, trochę dziwiła się łatwości, z jaką ją przyjął. Zdecydowali się na Gryfny Kafy przy tarnogórskim rynku. Pomyślała, że w designerskich wnętrzach, pod kolebkowym sklepieniem i z widokiem na ewangelicki kościół Zbawiciela niczego nie będzie musiała wstydzić się przed cudzoziemcem. Poza tym sama lubiła ten estetyczny lokal, gdzie serwując doskonałą kawę, udało się właścicielom umiejętnie związać ze sobą górnośląską tradycję z nowoczesnością.

Wprawdzie, gdy znaleźli się w kawiarni, dziewczynie przeszło przez myśl, że chyba nie za bardzo będą mieli o czym rozmawiać, jednak obawa ta minęła z chwilą, kiedy na stoliku znalazły się dwie filiżanki aromatycznej kawy. I rozmowa potoczyła się sama. Thomas zdawał się zresztą całkiem miłym rozmówcą i wesołym kompanem. Wątek historii pałacu w Rybnej pojawił się więc całkiem naturalnie jako kolejny temat rzucony od niechcienia przez mężczyznę.

- A jak twoje poszukiwania von Koschützkich?

Ukrytego w pytaniu drugiego dna Weronika nie odczytała od razu. Być może zresztą nie było go w ogóle, tylko potem je sobie nadbudowała. Odpowiedziała po prostu, że takie tam historyczne śledztwo dziennikarskie prowadzi w związku z cyklem artykułów w gazecie.

- Wiem, wiem, czytałem - odparł, lejąc miód na duszę autorki. Dopiero w domu, gdy analizowała spotkanie z Thomasem, uświadomiła sobie, że rozmawiał z nią zupełnie tak, jak gdyby był na bieżąco z jej działaniami. Wtedy w Gryfnym Kafyju jakoś jej to nie zastanowiło. Być może dlatego, że podsuwał te kwestie swobodnie

i zupełnie zwyczajnie. Teraz jednak wydało jej się to niespodziewane zainteresowanie gościa tematyką Rybnej niecodzienne, a może nawet nieco podejrzane.

Lecz nie skupiała się na tym, zbyt wiele zaskoczeń przeżyła w ostatnich dniach. Zajął ją co innego. Postanowiła bowiem dowiedzieć się, jaki był cel odwiedzin mecenasa Jensa Stolpego w Tarnowskich Górach. Wbiła sobie do głowy, że tu znajduje się klucz albo przynajmniej istotna wskazówka do rozwiązania tajemnicy. Początkowo zdecydowała, że napisze maila do dyrektora pałacu w Rybnej. Szybko jednak zaniechała tego pomysłu. Nie tylko ze względu na charakter Artura Krawca, który jak na prawdziwego gospodarza przystało, gwarantował, że o swoich gościach niczego nie piśnie, nawet przypalany na wolnym ogniu, ale przede wszystkim dlatego, że wołała nie rozszerzać już bardziej grona osób, które wiedzą o jej prywatnym śledztwie. Weronice wystarczyło, że swoim entuzjazmem zraziła do siebie Maćka, i to pomimo jego sporej odporności na babskie fochy. A i rozmowa z Thomasem Jeschkem dała jej mocno do myślenia.

W zamian pomyślała, by uderzyć do źródła. I jak postanowiła, tak uczyniła. Zgrabne paluszki pląsały po klawiaturze komputera, z lekka tylko przysiadając na poszczególnych klawiszach i natychmiast przenosząc się na sąsiednie. Po chwili w okienku poczty internetowej widniał już spory tekst. Angielski Weroniki nie był może idealny, na pewno taki nie był, ale zrozumieć się go dało. I na to liczyła. Czuła, że w odpowiedzi kancelarii z Dortmundu znajdzie klucz, który pozwoli jej otworzyć kolejne drzwi zagadki.

Rozdział XVIII

„To był dobry dzień – pomyślała, wstając od komputera – chociaż jutro na pewno będę miała zakwasy”. O ile w mięśniach dokładnie odczuwała wszystkie długości basenu, które pokonała po południu, o tyle w jej głowie zapanowało od dawna tu nieobecne poczucie swoistej harmonii i porządku. Dokonana podczas pływania chłodna analiza faktów i odrzucenie całkowicie nierealnych domysłów napawały ją nadzieją, że może wreszcie uda jej się rozwiązać tajemnicę Rybnej. I dociec prawdy, którą ktoś, nie miała już co do tego wątpliwości, próbował ukryć.

Podeszła do okna. W oddali, skąpana w jesiennych mgłach i dymach, spowita żółtym blaskiem neonów, w noc zapadała Strzybnica. Tylko strzelista wieżycyca jej podświetlonego na pomarańczowo kościoła wbijała się w czarną otchłań nieba, górując nad betonowym morzem blokowiska.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie ten sam widok przed stu laty. Przestrzeń przed nią ogarnął ocean nieprzeniknionej ciemności. W jego głębi nie sposób było zlokalizować ani wież sąsiadujących ze sobą świątyń: katolickiej i ewangelickiej, ani kominów Friedrichshütte, ani pękatej wieży wodnej, ani tym bardziej nieco oddalonej od tej industrii, tak bardzo innej, wiejskiej, otoczonej wiankiem stodół i obór, rezydencji w Rybnej. Gdzie pewnie właśnie o tej porze służba uprząta po skromnej kolacji, dzieci radośnie

wbiegają po schodach do swoich pokojów w mansardzie, a Egon von Koschützki, wyszedłszy przed ganek, odpala papierosa.

Podniosła powieki i pomyślała, że pora odpocząć, bo bredzi. Pomimo zmęczenia nie chciało jej się jednak spać. Znowu odczuwała powoli narastające podniecenie, które gdyby była mężczyzną, określiłaby jako adrenalinę, gotowość do przygody, osobliwą uciechę związaną z jeszcze nie do końca zidentyfikowanym, ale za to pewnym ryzykiem. Zamiast więc udać się pod prysznic, ponownie usiadła do stołu i podniosła wieko komputera, gotowa zmierzyć się jeszcze tej nocy z duchami przeszłości Rittergut in Rybna.

Lubiła szperać w internecie. I potrafiła to robić. Była bowiem dzieckiem swojej epoki. Komputer stanowił dla niej podstawowe narzędzie pracy, był niemal tak nieodzowny jak kreda dla nauczyciela i stetoskop dla lekarza. Dzieciństwo i wczesna młodość późniejszej redaktor Maszczyk upływały równolegle do procesu upowszechniania się sieci w Polsce, więc guglowanie traktowała tak samo jak poprzednie pokolenia poszukiwania biblioteczne. Nawet pracując w siedzibie „Wiadomości Tarnogórskich”, nigdy nie sięgała do słowników, od których przecież ugiwała się redakcyjna półka. Bynajmniej nie z lenistwa, które, drocząc się z dziewczyną, nieustannie zarzucał jej Maciek. Z przyzwyczajenia po prostu korzystała wyłącznie z poradników internetowych, forów i innych stron z mniej lub bardziej poprawną polszczyzną.

Większość witryn zawierających w swej treści nazwisko ostatniego właściciela majątku w Rybnej znała już niemal na pamięć. Nie było ich zresztą znowu tak wiele. Nawet jednak, gdyby w jakiś sposób o którejś zapomniała, z pomocą zawsze spieszyła wyszukiwarka, która nie cierpiała na amnezję, pamiętając

o wszystkim. Również o tym, o czym jej użytkowniczka zapewne wolałaby zapomnieć.

Skoro zatem, jak wydedukowała, więcej informacji o Egonie von Koschützkim już nie wyciągnie, postanowiła tego wieczoru poddać badaniu obecność w internecie samych tylko inicjałów: E. v. K. W różnej, rzecz jasna, konfiguracji, gdyż sieć, ta skarbnica wiedzy, niezależnie od bogactwa swych zasobów, lśniła tylko światłem odbitym, w którym wtajemniczeni dostrzegali podatny na swoistą manipulację schematyzm.

Nie liczyła na odkrycie Ameryki i się nie pomyliła. Po wpisaniu do paska adresów przeglądarki „E. v. K.” wujek Google otworzył długą listę firm zajmujących się ochroną środowiska, pośrednictwem w handlu usługami finansowymi, nauką języków obcych, a nawet sprzedażą poleasingowego sprzętu elektronicznego.

– Pudło – mruknęła pod nosem i podparłszy dłonią podbródek, zaczęła zastanawiać się nad zmianą strategii poszukiwawczej.

Dłuższą chwilę trwało, nim wpadła wreszcie na banalny pomysł zmiany języka w ustawieniach programu do surfowania w sieci. Z oczywistych powodów wybrała niemiecki. Niestety, także i tym razem szczęście jej nie dopisało. Evangelisches Krankenhaus Gelsenkirchen i Elektrizitätsversorgung Kaltbrunn brzmiały całkowicie beznadziejnie, aż nadto jasno wskazując, że na stronach tych instytucji nie znajdzie ani śladu historii rodu von Koschützkich.

Przełączyła się z wyników tekstowych na obrazkowe. Ekran natychmiast wypełnił się zdjęciami procesorów, kabli, płyt, wyświetlaczy i innych podzespołów, które rokowały jeszcze gorzej niż wszystkie razem wzięte ewangelickie szpitale w całej Nadrenii Północnej Westfalii. Przesunęła się w dół strony. W potopie

elektroniki uwagę dziewczyny przykuł nagle wizerunek dwóch chłopięcych buzi. Trudno było nawet nazwać go obrazkiem, wyglądał raczej na rycinę, litografię lub coś podobnie trącającego naftaliną: dwa pyzate dziecięce popiersia, naszkicowane czarną kreską na białym tle. Do tego w strojach, które swoim krojem, choć widoczne przecież zaledwie od połowy wysokości tułowia, nie przypominały niczego, co mogli nosić przodkowie Weroniki do czterech pokoleń wstecz.

Zaintrygowały ją te chłopięce twarze, łobuzersko uśmiechające się do niej z ekranu, które, nie wiadomo jakim cudem, znalazły się wśród wyników wyszukiwania. Nie interesowało jej to jednak. Spojrzała na adres strony. Bardziej banalnie trafić nie mogła: Wikipedia. Kliknęła. W artykule pod nic jej niemówiącym tytułem *Max und Moritz: Eine Bubengeschichte in sieben Streichen* znalazła szereg innych, także i barwnych, karykatur tych samych urwisów. Przełączyła tekst na język angielski.

Wprawdzie nie takich odkryć się dziś spodziewała, jednak to, czego się dowiedziała z artykułu, zupełnie zważyło ją z nóg. Był rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty piąty, kiedy w Monachium ukazała się książka Wilhelma Buscha o przygodach dwóch chłopców: Maxa i Moritza. Ze względu na swą przystępną i zabawną treść, a może jeszcze bardziej z uwagi na nowatorski pomysł formy, przewidujący, by treść stanowiła jedynie uzupełnienie historyjki opowiedzianej w obrazkach, pozycja szybko zyskiwała na popularności we wszystkich krajach niemieckich od Trewiru po Kłajpedę.

Rychło więc musiała dotrzeć i do Tarnowitz, Oberschlesien, by bawić także górnośląskie dzieci i ich steranych ciężką robotą rodziców. Wszystkich ich wszak już od ponad półwiecza król pruski

objął powszechnym obowiązkiem szkolnym, co też łaskawy monarcha uczynił bynajmniej nie z gorącego uczucia żywionego do swych poddanych. W każdym razie na skutek politycznych kalkulacji Jego Wysokości Górnoślązacy nabyli niełatwą umiejętność lektury.

Weronika pomyślała, że przecież z figli urwisów boki zrywali też zapewne mali Hanno i Egon von Koschützcy. A może nawet próbowali naśladować psikusy urwipołciów? Uśmiechnęła się do siebie, wyobrażając sobie miny zdezorientowanej służby pałacowej na widok dyndających na gałęzi kuraków, znikających z patelni pieczeni czy maszerujących po pościeli chrząszczy, które to przygody fundowali otoczeniu Max i Moritz.

Tymczasem w historii, której nauczano Weronikę na wszystkich etapach edukacji, lata sześćdziesiąte dziewiętnastego wieku zarezerwowane były niemal wyłącznie dla powstania styczniowego i następujących po nim represji. Jeśli ktoś kojarzył w ogóle ten etap na osi dziejów, to właśnie z Krajem Priwislanskim i rwącymi włosy z rozpaczy kobietami na obrazach Artura Grottgera.

Dla przeciętnego obywatela Rzeczypospolitej symbolika powstańcza zajmowała w zasadzie całą przestrzeń tej równie odległej co średniowiecze epoki. A z całą pewnością nie było już w niej miejsca na takie zjawiska jak chociażby metro w Londynie, które uruchomiono na dwa tygodnie przed wybuchem powstania styczniowego, pierwszy lot sterowcem czy właśnie pierwszy w świecie komiks, *Powieść łobuzerską w siedmiu psotach* Wilhelma Buscha. Tak wybrakowana wiedza historyczna nie była, rzecz jasna, winą przeciętnego polskiego uczniaka, bowiem nie od dziś i nie tylko w Polsce – Ludowej czy bez tego przydomka – naukę o przeszłości traktuje się jako narzędzie służebne względem polityki.

Wróciła do wyników wyszukiwania. Nie miała wprawdzie nadziei na znalezienie czegokolwiek, jeszcze tylko z obowiązku przesunęła palcem po touchpadzie, by dotrzeć do końca strony wypełnionej zdjęciami.

- Lipa - mruknęła do siebie i już miała przymknąć wieko laptopa, gdy nagle dostrzegła zdjęcie jakiejś tkaniny. Niczym szczególnym się nie wyróżniało, ot, miniatura fotografii przedstawiającej obrus czy inny kawałek materiału. Na tyle jednak wyróżniało się w zalewie elektroniki, na tyle nie pasowało do reszty, że podobnie jak przed chwilą Max i Moritz skupiło na sobie uwagę Weroniki.

Kliknęła. Miniatura odsyłała do popularnego niemieckiego serwisu ogłoszeniowego. Anons zatytułowano: „Servietten mit monogramm” i zamieszczone było w dziale antyków. Zdążył już jednak wygasnąć, toteż znajdował się w archiwum, co z kolei oznaczało, że nie wszystkie informacje w nim zawarte pozostawały widoczne. Dołączone zdjęcia nie dawały się powiększyć, więc skopiowała je na pulpit swojego komputera i otworzyła ponownie w programie do edycji fotografii.

Przedstawiały istotnie tkaninę, serwetę, jaką przy wielkopańskich stołach kładło się obok zastawy do posiłków, zwiniętą w rulon i opasaną pierścieniem. Dziewczyna przypomniała sobie rodzinny obiad przedstawiony w jakimś filmie, być może był to *Lampart* Luchino Viscontiego. Strojne kobiety i elegancy mężczyźni zasiadają do stołu, wyjmują serwety ze srebrnych obrączek i gestem wprawnym, nonszalanckim, a jednocześnie jakimś zwyczajnym, powtarzanym przynajmniej trzykrotnie w ciągu dnia, rozkładają je na kolanach albo zatykają w kołnierzach.

Kilka lat temu w kawiarni w Krakowie Weronika widziała dziarskiego staruszka. Popijał kawę z pianką. Za każdym razem, gdy podsuwał filiżankę do ust, końcówki sumiastego siwego wąsa nurkowały w napoju. Kiedy się wynurzały, całe w pianie, mężczyzna wysuwał dolną wargę i zbierał biały osad ze sztywnych włosów. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie krakowskiego dziadka, który choć dostojny, raczej nie pasowałby ze swym oblizywaniem wąsa do arystokratycznego stołu.

Spojrzała na powiększone zdjęcia. Na pierwszy rzut oka serweta nie prezentowała się specjalnie okazale. Zażółcona i poszarzała, z mapą delikatnych plam – pamiątek po setkach sosów, kremów i przednich gatunków win, które wchłonęła struktura materiału. Z odkształceniami świadczącymi, że całe lata przeleżała złożona na osiem części w szufladzie.

Kiedy jednak przyjrzała się kolejnym fotografiom, dostrzegła kwiaty wyrastające z gmatwaniny pnączy, którymi serweta była obrzeżona. Ich cienkie łodyżki uginały się pod ciężarem nieproporcjonalnie obfitych i robiących wrażenie ciężkich pąków, przypominających swym kształtem grzbiet pudła gitary. Musiały być wyszyte innym rodzajem nici lub w odwrotnym kierunku, ponieważ nie pozwalały się zauważyć natychmiast, jakby wymagały od widza chwili skupienia.

W jednym z rogów, choć niezupełnie na samym skraju, ale w pewnej od niego odległości, rozpoznała herb, obok którego widniał, jeśli można użyć tego słowa, bo jednak nie do końca widniał, a raczej ukrywał się monogram. Przeciwnie bowiem do roślinnego ornamentu symbole były wyhaftowane na materiale nicią dokładnie tej samej barwy i odcienia, wyrastając poniekąd

ponad powierzchnię materiału i tworząc charakterystyczne zgrubienia, dzięki czemu pozwalały się w ogóle odczytać.

Monogram składał się z liter, których kształtów nie potrafiła odszyfrować. „Zapewne inicjałów właściciela serwety”, domyśliła się. Ich ramiona wzorem pnączy wiły się, zakręcały i przeplatały, tak że nie sposób było je oddzielić i odczytać. Monogram sprawiał wrażenie egzotycznej rośliny o wielu odnogach, ale wyrastających z jednego korzenia. Natomiast ułożona ukośnie tarcza herbowa przedstawiała napięty łuk, w którym tkwiła strzała. Całość opasana była liśćmi.

Zadrzała. Przerzuciła się na dołączony do ogłoszenia opis. Wspomagając się słownikiem, oczywiście w internetowej wersji, szybko ustaliła, że serweta została wykonana pomiędzy tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym i tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym rokiem i wpisuje się w panującą wówczas estetykę Jugendstilu. Utkana została z lnu z domieszką jedwabiu, w formie kwadratu o bokach mających sześćdziesiąt dwa centymetry. Sprzedawca, który wycenił jej wartość na czterdzieści pięć euro, sugerował, że jest bardzo wysokiej jakości. Podkreślał szczególną urodę roślinnego ornamentu tkaniny, a zwłaszcza ręcznie wyszytego herbu szlacheckiego i monogramu H.v.K.

Gdy to przeczytała, ciało Weroniki przeszył dreszcz podniecenia. Nie tylko dlatego, że inicjały mogły wskazywać, że należała do Hanna von Koschützkiego, którego pod wpływem własnej analizy wykluczyła już z układanki o Rybnej. Nie tylko, gdyż ponowne włączenie Hanna znów wszystko mogło tylko zagmatwać. Przede wszystkim jednak, bo właśnie doznała olśnienia.

- Przecież ja ją już widziałam! Widziałam tę serwetę. W Rybnej ją widziałam, kiedy pan Franciszek pokazywał mi list od siostry. Wtedy właśnie wyciągnął ją z sekretarzyka. Widziałam, widziałam ją! - Cieszyła się i powtarzała jak nakręcona, choć nikt jej nie słuchał.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, że tamtą serwetę, należącą przecież do Egona von Koschützkiego, jej właściciel polecił córce przekazać przed śmiercią przyrodniemu bratu Franciszkowi. Przypomniała sobie też, że owszem, wyszyty był na niej herb rodowy, ale skoro używał jej Egon, monogram różnił się pierwszą literą. Ta, którą znalazła w internecie, musiała należeć do Hanna.

- Musiała, nie ma innego wyjścia - dedukowała. - Przecież takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Przecież cała niemiecka arystokracja nie mogła posługiwać się takimi samymi serwetami! Herb, łuk ze strzałą, tak, właśnie herb autoryzuje i zaświadcza o tym, że to serweta von Koschützkiego - tryumfowała. Po chwili zrozumiała, że odnalezienie serwety Hanna ani na milimetr nie przybliżyła jej do rozwiązania zagadki morderstwa w Rybnej. Przeciwnie, sprawia, że wszystko staje się znów bardziej pogmatwane, niż wydawało się jeszcze przed chwilą.

Rozdział XIX

Choć Weronika instynktownie czuła, że rozwiązanie zagadki Rybnej jest już na wyciągnięcie ręki, niewiele obiecywała sobie po odkryciu dziwnego anonsu o sprzedaży serwety. Wprawdzie wszystko wskazywało na to, że tkanina należała do Hanna von Koschützkiego, ale nawet jeśli tak w istocie było, jaki związek z dwoma zagadkowymi zgonami mógł mieć stary kawałek sukna?

Chyba więc tylko dla uspokojenia sumienia jeszcze nocą, z marszu, podjęła poszukiwania sprzedawcy serwety. Jak wszyscy użytkownicy portalu, również i on ukrywał się pod pseudonimem. Brzmiał: Kurprinz1 i nie oznaczał niczego. Oczywiście natychmiast chciała do niego napisać, wypytać o szczegóły, potwierdzić domysły, jednak komunikacja odbywała się poprzez wewnętrzny system pocztowy portalu aukcyjnego i była możliwa wyłącznie w stosunku do aktywnych ogłoszeń. Niestety poza tkaniną Kurprinz1 nie oferował na sprzedaż niczego więcej.

Wstała od stołu i podeszła do okna. Daleko w dole tonęły w ciemności Rybna i Strzybnica. Ich widok nie sprowokował Weroniki do kolejnych refleksji. Potrzebowała jedynie chwili relaksu, by zmusić umęczone szare komórki do resztek wysiłku. Udało jej się to, bo nagle gwałtownie wróciła do komputera i niczym wirtuoz fortepianu wystukała na klawiszach zadanie dla wyszukiwarki: kurprinz1@de.

Na całe szczęście odpowiedzi nie było zbyt wiele. Szybko więc odkryła, że ktoś używał tego nicka na forum internetowym, biorąc udział w jakiejś dyskusji, której przedmiotu nie chciało jej się specjalnie dociekać. Dość, że w jednym z pierwszych wpisów, zapewne dla celów prywatnej korespondencji z innym uczestnikiem debaty, podał adres poczty elektronicznej: kurprinz1@web.de. Prawdopodobieństwo zbieżności osób chowających się pod pseudonimami było niemałe, toteż postanowiła spróbować i posiłkując się obficie niemiecko-polskim tłumaczem, zredagowała kulawą wiadomość, załączając zdjęcia serwety.

Spojrzała na zegar. Minęła trzecia w nocy. Zastanowiła się, czy nie wziąć na jutro urlopu, ale przypomniała sobie, że to akurat piątek, dzień, w którym zamyka się skład kolejnego numeru „Wiadomości Tarnogórskich” i byłoby nie w porządku, gdyby z tą niewdzięczną robotą zostawiła samych Maćka i Teresę. Podniosła się więc i przeniosła do łóżka.

Choć było późno, sen nie nadchodził, ciążyła za to świadomość nieuchronnego poranka. Zamiast liczyć barany albo wpatrywać się w ciemną przestrzeń wokół, pomyślała o Karolu. Już dawno przestała czuć do niego żal i wybaczyła mu wybuch złości. Nic nie tłumaczyło gwałtownej reakcji kolegi, wszak ona sama nie była niczemu winna. Ostatecznie jednak zgodziła się, że w obliczu śmierci ukochanego dziadka miał prawo do złego samopoczucia.

Pomyślała, by jako pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Chciała już nawet napisać Karolowi esemesa, kiedy uprzytomniła sobie, że jest środek nocy. Przełączyła się więc na skrzynkę pocztową, skleciła kilka ciepłych, choć neutralnych fraz, a na koniec zaproponowała herbatę u Mazika. Wiedziała, że Karol szczególnie lubi kultową

Galerię Inny Śląsk, i liczyła, że odczyta pojednawczy ton komunikatu oraz że odpowie równie pojednawczo. Z tą nadzieją zasnęła.

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, PIĄTEK

– Hela, poszło! – redaktor Maciek Jarzyna krzyknął do zamkniętej za szklanymi drzwiami redaktor naczelnej. Kolejny numer „Wiadomości Tarnogórskich” był już w zasadzie gotowy od wczoraj, ale od rana cały zespół angażował się jeszcze w ostateczne poprawki. Zawsze bowiem coś musiało się posypać – a to zapomniano dodać opłaconej reklamy, a to rozjechała się czcionka tekstu, a to wreszcie ktoś w ostatniej chwili dopatrzył się gdzieś literówki. Wszystko należało skrupulatnie skorygować przed wysyłką do druku. Nie tylko, by zawsze czujnym krytykom nie podawać na tacy argumentów do hejtu, ale także, by nie narazić się znanej ze swego puryzmu Helenie Bonk.

– No, kochani, piąteczek czas zacząć – oznajmił pozostałym dziennikarzom Jarzyna, po czym z westchnieniem ulgi rozparł się wygodnie na krześle i wyciągnął nogi. W redakcji zawisła iście weekendowa atmosfera. Potęgowało ją mdłe światło jesienne, które wpadało do pokoju po wielokroć przefiltrowane przez snujące się resztki mgieł, nisko wiszące chmury i brudne szyby. Zza ściany dobiegały brzęki obijanych o zlew kubków i talerzy, szcęknięcie sztuców i plusk wody, pod którą pani Terenia z nabożeństwem spłukiwała całotygodniowe brudy z redakcyjnych naczyń.

Ukryta pod świetlnym parasolem roztaczanym przez biurkową lampkę, schowana za monitorem komputera Weronika wyizolowała się od otoczenia. Nie czuła się najlepiej. Poranna pobudka po zaledwie kilku godzinach snu była jak wyrwanie z zaświatów.

W głowie pulsowała osobliwa mieszanka niewyspania, emocji, zmęczenia, podniecenia. I jakieś dziwne, nieznanne jej uczucie, że wkrótce wszystko samo się wyjaśni.

Nie miała pojęcia, skąd brało się to przekonanie. Wszak to, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich tygodni, było wprawdzie ciekawe, było nawet może po części odkrywczе, ale dotyczyło odległej przeszłości. I co gorsza, nie miało żadnego mocnego powiązania z teraźniejszością, z tarnogórskim tu i teraz, z morderstwem adwokata Stolpego, ze śmiercią pana Franciszka, a zwłaszcza z pałacem w Rybnej, który na przekór wszystkim tajemnicom, tym prawdziwym i tym wyimaginowanym, spokojnie tkwił na swoim miejscu, rozbrzmiewając muzyką, czarując architekturą, kusząc zapachami regionalnej kuchni.

Myślami wróciła do obfitującego w niespodziewane wydarzenia wczorajszego dnia. Ponownie naszło ją wrażenie, że zaciekawienie Thomasa jej dziennikarskim śledztwem było cokolwiek nienaturalne. „Nie narzucał się, nachalnie nie wypytywał, nic z tych rzeczy – analizowała. – Nie przekroczył przecież cienkiej granicy pomiędzy wścibstwem a uprzejmym zainteresowaniem neutralnym tematem rozmowy. Był taktowny od początku do samego końca”.

A jednak coś jej w zachowaniu mężczyzny nie pasowało, uwierało – coś nienamacalnego, niekonkretnego, nienazwanego, wyczuwalnego szóstym zmysłem.

Skonstatowała, że biła zeń jakaś wewnętrzna sprzeczność. Jakby w duszy Thomasa Jeschkego nieustannie ścierały się dwa przeciwstawne żywioły. Niebieskie oczy o głębokim spojrzeniu, które gdy w rozmowie utkwili je w twarzy dziewczyny, zdawały się patrzeć gdzieś dalej, poza nią, w tło, jak gdyby gdzieś dopiero tam

w dali ciemne źrenice chwytały ostrość; te właśnie oczy zdawały się zdradzać zdolnego do refleksji wrażliwca, człowieka spokojnego, cokolwiek może nawet wycofanego. Zarazem swobodny i pewny siebie sposób bycia tego mężczyzny, sposób w jaki prowadził rozmowę, zniemacka zmieniając tematy i stawiając hipotezy, które rozmówca w pierwszym odruchu brał za pytania i poczuwał się wywołany do odpowiedzi – wszystko to pozwalało widzieć w nim faceta ambitnego, ale i pochopnie impulsywnego, skorego do rywalizacji, a może nawet i do dominacji.

Zapytała sama siebie, czy Thomas mógłby jej się podobać, ale nie potrafiła udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Był całkiem przystojnym mężczyzną – choć mógłby być wyższy. „Tego nigdy za wiele”, uśmiechnęła się do siebie. Z pewnością dobre wrażenie na kobietach powinno robić także i jego zdecydowanie. A jednak było w nim coś, co rozmywało te cechy, coś melancholijnie niestałego, dziwnie niepokojącego. Jaki był naprawdę ten tajemniczy facet?

Redaktor Jarzyna, niczym znudzony lew, ziewnął przeciągle, na moment wyrywając Weronikę z rozmyślań. Była jednak zbyt sterana, by zająć się pracą, którą równie dobrze mogła wykonać w kolejnym tygodniu. Wróciła więc do swych rozmyślań.

Przede wszystkim pożałowała swej propozycji złożonej Karolowi. Całkowicie straciła ochotę na spotkanie z kolegą i miała nadzieję, że ten nie odpisze. Analizując zaś całą tę nocną korespondencję z obecnej swej perspektywy, Weronika chciała postukać się palcem w czoło i krótkim bluzgiem ocenić swoją naiwność. Jeśli się powstrzymała, to tylko ze względu na redaktora Jarzynę, który niechybnie zwróciłby uwagę na zachowanie koleżanki i zaraz rozpoczął wygłaszanie jakichś prelekcji o dziennikarskich

standardach, na których wysłuchiwanie dziewczyna nie miała sił. Uśmiechnęła się jednak do siebie i jeśli jest w ogóle możliwe, by uśmiechać się do siebie z politowaniem, to właśnie uczyniła.

W zasadzie mogła już udać się na przystanek usadowiony pod domem pomocy społecznej, który mieścił się w pięknej willi Bena Cohna przy ulicy Bytomskiej. I nawet chciała to zrobić, ale uzmysławiając sobie, że do odjazdu autobusu zostało jeszcze kilka chwil, postanowiła zabić oczekiwanie, sprawdzając skrzynkę mailową. Wszystkiego mogła się w tej chwili spodziewać, z pewnością jednak nie nadejścia wiadomości od wszystkich adresatów nocnej korespondencji. Przez moment zawiesiła się, zawahała przed ich otwarciem, nie była bowiem przygotowana na lekturę. Ciekawość wzięła jednak górę.

– Którą wiadomość mam pierwszą otworzyć? – zapytała sama siebie i by nie okazać się jak ten fredrowski osiołek, co mu w żłoby dano, a ten zdechł z głodu, postanowiła rozpocząć od maila, który nadszedł jako pierwszy.

Dear Ms. Maszczyk – wiadomość zredagowana została tak jak i e-mail Weroniki, po angielsku – w odpowiedzi na Pani wczorajsze zapytanie pragnę poinformować, iż Kancelaria Adwokacka Bessler & Stolpe świadczy usługi prawnicze na najwyższym poziomie jakości dla wielu różnych podmiotów znajdujących się w całej Unii Europejskiej, a sporadycznie również i poza tym obszarem. Podstawą naszej pracy i zarazem kapitałem firmy jest zaufanie klientów, które od lat budujemy w oparciu o profesjonalizm pracowników, gwarantujący wszystkim stronom postępowania pełną dyskrecję. Biorąc pod uwagę standardy pracy każdego

adwokata, zmuszony jestem odmówić Pani prośbie i nie ujawniać szczegółowych przyczyn wizyty mecensa Jensa Stolpego w Tarnowskich Górach. Jednocześnie pragnę zapewnić, że Kancelaria Adwokacka Bessler & Stolpe pozostaje w ścisłym kontakcie z miejscowymi organami porządku publicznego. Yours sincerely – Dr. Horst Bessler, Rechtsanwalt

„Tego należało się spodziewać”, stwierdziła nie bez żalu. Nie licząc już na żadne odkrycia w tym zakresie, postanowiła jednak dla pewności przesłać całą korespondencję koleżance z Wrocławia. Niech się wypowie jak adwokat o adwokacie.

Od razu, gdy to zrobiła, przeszła do następnego maila. Był lakoniczny i chłodno-uprzejmy w formie. Karol pisał, że dziękuje za zaproszenie, a także prosił o podanie terminu, do którego, jak oznajmiał, „postara się dostosować”. Odsapnęła z ulgą, mając nadzieję, że niefortunny pomysł spotkania z czasem sam się ulotni. Wchodząc jednak w grzeczny ton nadawcy, odpisała, że czuje się niezręcznie w związku z zaistniałą sytuacją i chętnie przystanie na propozycję Karola, o ile tylko ten ją przedstawi. „Ach, och, ech, co za Wersal”, pomyślała z przekąsem.

Ostatnią chronologicznie była wiadomość wysłana z adresu kurprinz1@web.de – nie zawierała żadnych imion ani nazwisk, a w tytule posiadała tylko skromne „Re:”. Mail napisany był po niemiecku i żeby zrozumieć jego treść, Weronika znów była zmuszona posłużyć się tłumaczem. Z pozbawionego odpowiednich rodzajów, deklinacji i koniugacji bełkotu, który po chwili zastanowienia wypluł z siebie komputer, dziennikarka zrozumiała, że użytkownik Kurprinz1, owszem, wystawił kiedyś serwetę na

sprzedaż, ale z powodu mizernego zainteresowania ofertą wycofał z portalu anons o sprzedaży. Informował też, że na tkaninę natknął się w likwidowanym po babci mieszkaniu oraz że nie wie, jak znalazła się w posiadaniu rodziny. Nie potrafi także pomóc w odczytaniu symboliki, która przedstawiona została na tkaninie, nie zna się na historii, a o wycenę poprosił przygodnego antykwariusza. Nadawca dodawał od siebie, że jeśli Frau Weronika byłaby zainteresowana kupnem przedmiotu, to on nie może jej go wysłać do Polski, gdyż zgodnie z obowiązującymi przepisami wywóz staroci poza granice kraju jest przestępstwem.

- Dupa zbita - powiedziała z rezygnacją, zapominając, że w dalszym ciągu znajduje się w redakcji „Wiadomości Tarnogórskich”, i pomyślała, że pochopnie nie warto odpisywać kurprinzowi¹. Poczula jednak, że tego kontaktu tracić nie należy.

- Chyba twoja - natychmiast podchwycił skory do utarczek redaktor Jarzyna, ale tym razem nie doczekał się riposty. Dziewczyna nawet nie spojrzała na kolegę. Wyłączywszy tylko komputer i zarzuciwszy torbę na ramię, wyszła z redakcji bez słowa pożegnania.

Rozdział XX

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, CZWARTEK

Pachnący plastikową świeżością autobus numer sześćdziesiąt cztery cicho sunął ulicą Wyszyńskiego. Za oknem przysłoniętym jak cały pojazd okleiną reklamującą Biały Śląsk, zielone płuca Śląska i coś równie niedorzecznego, powoli przesunął się obraz architektonicznego chaosu przedmieścia, które niespodziewanie awansowało do roli centrum. Malutkie przedwojenne domy jednorodzinne mieszały się tu z hurtowniami budowlanymi, zakładami mechaniki samochodowej, wszędobylskimi, pstrokatymi reklamami wszystkiego i zaoranymi już o tej porze roku polami uprawnymi, które chowały się za pierwszą linią zabudowy. Dwujezdniowa ulica była główną arterią komunikacyjną łączącą betonowe osiedle Przyjaźń z ceglany tarnogórskim śródmieściem. Niektórzy, próbując w ten sposób poprawić swoje samopoczucie i leczyć kompleksy, to ostatnie nazywali nawet starówką.

Autobus minął skrzyżowanie z obwodnicą, która swą funkcję sprawowała już wyłącznie tytularnie, stanowiąc w istocie, jak wszystkie pozostałe, wewnętrzną drogę miejską, przecinającą na pół osiedla i dzielnice Tarnowskich Gór. Niemal jak ręką odjął, jak gdyby skrzyżowanie oddzielało dwa odrębne światy, krajobrazowy galimatias zniemacka ustąpił miejsca staremu łądowi. Po prawej stronie przesunął się za oknem skromny kościółek pod wezwaniem świętego Józefa i światło przysłoniła ściana drzew miejskiego parku

w jesiennych barwach. Po lewej stronie toporne bryły domów z epoki późnego peerelu stopniowo przechodziły w bardziej wyrafinowane formy, aż wreszcie ustąpiły miejsca pięknym niegdyś podmiejskim willom, które mimo upływu tylu lat nie potrafiły ukryć swojej przynależności do niemieckiego porządku architektonicznego.

Jak większość śmiertelników, którzy kilkakrotnie w ciągu tygodnia przemierzają tę samą trasę pomiędzy domem, pracą, sklepem i szkołą, również Weronika, przyzwyczajona do widoku każdego budynku, drzewa, słupa drogowego, mijała je bezwiednie. Bezwiednie – nie znaczy jednak bezmyślnie. Niby nie dostrzegała obrazów przesuwających się za oknem, niby tylko ślizgała się po nich spojrzeniem, w rzeczywistości jednak jej umysł na bieżąco weryfikował widok przetwarzany wzrokiem z tym, który zarejestrowała w pamięci. Gdyby więc napotkała zmianę w pejzażu, nowy w nim element lub brak dotychczasowego, natychmiast dostrzegłaby to i odnotowała.

Dziewczyna nie myślała o spotkaniu z Karolem, które najpierw sama zaproponowała, potem tego żałowała, a teraz, gdy stało się już nieuniknione i właśnie się na nie udawała, okazało jej się obojętne. W myślach prowadziła analizę treści wiadomości otrzymanej z kancelarii adwokackiej Bessler & Stolpe. To, co na pierwszy rzut oka wydało się jej bezwartościowym konwenansem, pełnym jedynie ugrzecznionych i pustych zwrotów, na skutek wielokrotnej interpretacji zaczęło nabierać nowych treści.

Dortmundzka kancelaria adwokacka nie należała przecież do małych firm, zaczynających i kończących się na właścicielu. Przeczył temu choćby tylko, dostępny na stronie internetowej, sam wykaz

zatrudnionych w niej pracowników, wsparty dodatkowo fotografiami uśmiechniętych twarzy. A także i fakt, że obsługiwali klientów z całej Europy. „Tego, nawet przy największej pracowitości i zaangażowaniu, nie dałby rady zrobić nikt w pojedynkę – zauważyła przytomnie. – Dlaczego zatem na maila od nikomu nieznaney dziennikarki z prowincjonalnego miasta w Polsce odpowiedział sam współwłaściciel i partner firmy? Przypadek? Przyjęty w przedsiębiorstwie system korespondencji? Wolne żarty!”, zachnęła się.

Przecisnąwszy się przez małe rondo wybudowane tuż przed bajkowym domem z kamienną podmurówką i pruskim murem w górnej partii, gdzie niegdyś zamieszkiwał niemiecki pisarz Robert Kurpiun (notabene, w drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku jego twórczość pozostawała wciąż nieprzetłumaczona na język aktualnych władców Śląska!), okrążywszy zatem rondo, autobus niczym wielki klin pomału wbijał się w ulicę Legionów, która legionistów nigdy nie widziała, chyba że zabłąkanych, rzymskich, w głąb ciasniejącej zabudowy.

„Poza tym – dedukowała dalej dziewczyna – przyzwyczajony zapewne do pół i ćwierćprawd, do lawirowania pomiędzy faktem i wyobrażeniem o nim, doktor Horst Bessler nie zaprzeczył przecież, by jego wspólnik, mecenas Jens Stolpe przebywał w Tarnowskich Górach. Wręcz przeciwnie, sam to potwierdził, pisząc, że nie może podać powodu tego pobytu. No i wreszcie ta formułka o pozostawaniu w kontakcie z polskimi organami bezpieczeństwa, to już jakby jawnie puszczał do mnie oko! Mówi sama za siebie”.

Autobus bezszelestnie zatrzymał się na przystanku pod dostojnym gmaszyskiem liceum Staszica i Weronika wyskoczyła

z pojazdu. Podążając w stronę galerii Inny Śląsk, pomyślała jeszcze, że może najistotniejszym wnioskiem, który rykoszetem dopiero teraz sobie uświadomiła, jest pozycja, jaką Jens Stolpe zajmował w strukturze firmy. Nie był wszak pierwszym lepszym aplikantem adwokackim ani nawet pracownikiem, którego szefostwo wysłało do załatwienia jednej z wielu drobnych spraw. Przeciwnie, był współwłaścicielem niemałej i całkiem renomowanej kancelarii prawniczej. Skoro zatem do Rybnej pofatygował się we własnej osobie sam szef, to i sprawa, którą chciał tu załatwić, nie mogła być błaża.

– Musiała być pierwszoplanowa – powiedziała do siebie i zatrzymała się, by zerknąć na zegarek.

Była dopiero siedemnasta dziesięć. Do spotkania pozostawało jeszcze dwadzieścia minut. Gdy podniosła głowę, ujrzała wpatzonego w siebie mężczyznę. Jowialny uśmiech na okrągłej twarzy, przedwczesna glaca¹⁰⁷ i charakterystyczne spojrzenie, facjata jakby znajoma, ale w tej chwili niepozwalająca się zaszufadkować.

– Witam panią redaktor Maszczyk! – Szerokim gestem rozłożył ramiona, jakby usiłował złapać ją w sieci. Nie miała wyjścia, zatrzymała się i pozwoliła mu podejść.

– Dzień dobry.

– O czym wielbiciele pani twórczości będą mogli przeczytać w następnym wydaniu „Wiadomości Tarnogórskich”? – zapytał z przesadzoną grzecznością.

– A, takie tam. – Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. – Będzie pan mógł się przekonać już w poniedziałek – dodała, uśmiechając

się. I wtedy skojarzyła gościa: Jan Marek Woźniak, produkujący się hurtowo w internecie historyk amator.

– A nad czym pan obecnie pracuje?

– A, takie tam. – Wyszczерzył zęby. – A na serio, tak sobie tylko dumam nad smutnymi dziejami tego miejsca. Patrę na nie i próbuję sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać to miasto w poprzednich epokach.

– Nie trzeba sobie wyobrażać, bo z całą pewnością jest sporo zdjęć sprzed stu albo i więcej lat – zauważyła przytomnie.

– Owszem, jest ich kilka, ale przeszłość wolę, jakby to ująć? – zamyślił się i po chwili milczenia podjął: – No właśnie, przeszłość wolę poczuć osobiście. To jednak inny sposób poznawania historii i ducha miejsca niż na podstawie fotografii.

– Aha – odpowiedziała, bo rytmika dialogu tego od niej wymagała, w istocie niczego jednak nie rozumiała.

– Widzi pani to miejsce? – Zatoczył ręką wokół placu Wolności, na skraju którego się zatrzymali. – Ma historię może mało oryginalną, za to bardzo typową dla wielu górnośląskich miast, a przez tę typowość jednocześnie wymowną. Wiele mówi o dziejach całego dwudziestego wieku. I takie oto refleksje snuję dziś sobie.

– To bardzo interesujące – Weronika odparła zupełnie bez przekonania, co Jan Marek Woźniak, niczym klasyczny oderwany od ziemi myśliciel, odczytał jako zachętę do dalszych wynurzeń.

– Sama nazwa placu zmieniała się na przestrzeni ostatniego wieku tak często, że kolejni zarządcy miasta z trudem nadążali wymieniać tabliczki. Do tego, proszę sobie wyobrazić, zmiany te odbywały się za każdym razem w wielce podniosłej atmosferze. Oficjalne uroczystości, wykrochmalone kołnierzyki, triumfalne

przemarsze, kwiaty, wieńce, orkiestry. I obfitość lokalnych działaczy politycznych, transferujących kolejno następujące po sobie ideologie z centrum na prowincję, działaczy zawsze zapewniających o wiecznotrwałości tej nowej symboliki.

– Coś się dziś zmieniło w tym zakresie? – zapytała, uśmiechając się.

– W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym stanął tu, na ówczesnym Wilhelmsplatzu – odwzajemniwszy uśmiech, ciągnął niezrażony – posąg Wilhelma I Hohenzollerna. Niemiecki cesarz, w pruskim hełmie i zarzuconym na ramiona płaszczu, obejmował miasto ojcowskim wzrokiem. Wydawało się wówczas, że monarsze wystawiono pomnik trwalszy niż ze spiżu, a europejski porządek polityczny, którego Hohenzollernowie byli istotnym ogniwem, trwać będzie już zawsze. Jak bardzo wszyscy w to wierzący się mylili, świadczy, że zaledwie po dwóch dekadach rozsypał się zarówno układ sił mocarstw, jak i sam pomnik kajzera. I to dosłownie, bo go wysadzono.

– Fakt – przytaknęła.

– Po tym pamięć o niemieckiej przeszłości uosabianej przez posąg cesarza Wilhelma przyćmić miała rzeczywistość popowstaniowa, którą na fali hurraoptymizmu wyrażać miała nowa nazwa placu: Wolności. I znów były akademie, orkiestry i pełne sloganów przemówienia. Tymczasem nie upłynęły nawet dwie dekady, a na murach okolicznych budynków pojawiły się szyldy oddające to miejsce patronatowi Horsta Wessela. Wie pani, kto zacz?

– Nie kojarzę – odparła, tym razem szczerze przyznając się do niewiedzy.

– Nazistowski męczennik, zamordowany przez komunistyczne bojówki w Berlinie, autor nieoficjalnego hymnu hitlerowców, noszącego tytuł *Chorągiew wzniesi!*, który jednak do annałów przeszedł pod nazwą *Pieśń Horsta Wessela*. Nie muszę przypominać, że w zamyśle ówczesnych decydentów i ten symbol miał być wiecznotrwały, ale wyszło jak zwykle. Skończyła się kolejna wojna światowa i gdy tylko Tarnowskie Góry znalazły się w granicach Polski Ludowej, nasz skwerek powtórnie przemianowano na Wolności. Oczywiście, w realiach stalinowskich słowo to znaczyło dokładnie tyle, ile pojęcie bezpieczeństwa w nazwie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Na środku placu naprędce zmajstrowano statwę wyrażającą wdzięczność Armii Czerwonej za zajęcie i splądrowanie miasta oraz za gwałty dokonane na mieszkankach. Proszę zgadnąć, ile lat przetrwał posąg?

– Nie mam zielonego pojęcia, nie jestem historyczką. – Zaczęła mieć dość tej zgadywanki.

– Zaledwie dwa lata, po czym wyleciał w powietrze równie wysoko jak kamienny kajzer Wiluś ćwierć wieku wcześniej. W jego miejscu wyrósł następny betonowy obelisk z sierpem i młotem, ale nim zdążył zapuścić trwałe korzenie, padł mur berliński, a wraz z nim i sam pomnik. Ot, historia jednego placu – dodał melancholijnie.

*

Pożegnawszy się możliwie najuprzejmiej z miłośnikiem dziejów miasta, Weronika ruszyła wzdłuż pierzei placu na spotkanie z Karolem. Minęła secesyjną kamienicę w seledynowym odcieniu, której ryzalit zdobił ornament kwiatowy, a po obydwu bokach

znajdowały się płyciny: po lewej z przedstawieniem koguta, a po prawej – sowy. Gdy była dzieckiem, lubiła, przechodząc, zatrzymywać się pod wizerunkami i wyobrażać sobie, że obydwie tak różne ptaszyska strzegły na zmianę tego budynku – kogut za dnia, sowa nocą.

Do secesyjnej kamienicy, niczym młodszy brat, przyklejony był typowo śląski dom, kryty naczółkowym dachem z czerwoną dachówką. Mieściła się w nim kawiarnia, prowadzona od lat przez lokalnego społecznika.

Obrośnięte bluszczem malownicze wejście otaczały pergole i niski murek ceglany, całość sprawiała wrażenie otwartej przestrzeni i zachęcała do wejścia do środka. Weszła.

O tej porze większość stolików wewnątrz była zajęta. Udało jej się jednak znaleźć wolne miejsce. Usiadła na rozchybotanym nieco krześle tyłem do okna, dzięki czemu miała na widoku całe pomieszczenie. W oczekiwaniu na Karola z zaciekawieniem przyglądała się specyficznej klienteli tego kultowego lokalu tarnogórskiego. Siedziały tu indywidualia stanowiące miejscową bohemę lub osobniki do niej aspirujące, niszowi poeci, malarze, aktywiści rozmaitych stowarzyszeń kulturalnych, cokolwiek może pretensjonalnie ubrani i w podobny sposób się zachowujący, ale w gruncie rzeczy fajni i porządni ludzie, których dziennikarka z łatwością rozpoznawała, gdyż większość siłą rzeczy, a raczej prawem prowincji, przewijała się przez łamy „Wiadomości”.

Właściciel galerii stał oparty o kontuar i palił papierosa. Szczupły, siwowłosy, ze zmierzwioną fryzurą i o głębokim spojrzeniu w przeoranej zmarszczkami twarzy. Ten lekarz, taternik i działacz Solidarności był wyrazistą postacią w małym tarnogórskim światku

– skupiła więc na nim wzrok, gdy wtem spostrzegła wchodzącego Karola.

On też dojrzał ją niemal od razu i podszedł do stolika.

– Cześć – odezwał się pierwszy. Nie sprawiał wrażenia wściekłego, ale na jego twarzy malował się dystans. – Niczego nie pijesz?

– Cześć, zagapiłam się! – Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przesiadła w kawiarni przy całkiem pustym stole. – To co, przyniosę herbaty? – zaproponowała.

– Zostaw, pójdę – odpowiedział tym samym bezemocjonalnym tonem i powiesiwszy kurtkę na oparciu krzesła, podszedł do baru. Po chwili wrócił z dwoma parującymi kubkami i usiadł. – No to jestem – powiedział tak, jakby oczekiwał wyjaśnienia celu spotkania. Nad zajęтым przez nich stolikiem zapadła krepująca cisza.

– Karol, słuchaj... – dziewczyna pierwsza zdecydowała się przejąć inicjatywę. – Ja cię przepraszam, bardzo przepraszam. Wiem, przesadziłam z tym wpisem, zachowałam się jak, jak... – szukała właściwego porównania – jak dziennikarka brukowca. Ale ja, ja nie miałam przecież złych intencji – stękała.

Znów zapadła cisza. Obydwoje, oparci łokciami o blat, wpatrywali się w siebie, jakby wzrokiem sondując jeden drugiego, próbując przewidzieć wzajemne reakcje i móc z wyprzedzeniem na nie odpowiedzieć. Wbrew obawom dziennikarki zimny i suchy nastrój Karola nagle gdzieś się ulotnił. Dostrzegła to w jego oczach, jeszcze nim zdążył się poruszyć i cokolwiek powiedzieć.

– Wera, ja też przepraszam. Moja reakcja była bardzo emocjonalna, ale sama rozumiesz, w tamtej sytuacji, w chwili śmierci tak bliskiego mi człowieka...

- Rozumiem... - Popatrzyła nań niemal z czułością, a on odwzajemnił się intensywnym spojrzeniem, któremu uległa, i spuściła wzrok jak nastolatka. Gdy go podniosła, kontynuowała: - Jak już wiesz, albo jeszcze nie wiesz, mnie też z twoim dziadkiem połączyła pewna więź... - przerwała, jakby w obawie, by nie powiedzieć za dużo. Karol jednak nie ponaglał jej do dalszych wynurzeń, czekając, aż podejmie wątek. Doceniła tę jego cierpliwość i postanowiła nie ukrywać zbyt wielu szczegółów przed starym przyjacielem, w końcu wnukiem pana Franciszka. - Przeprowadziłam z nim dwie długie rozmowy. Zwłaszcza druga była, by tak rzec, poważna. - Uśmiechnęła się delikatnie. - Te spotkania, ich tematyka, wspólna tajemnica zbliżyły nas do siebie, wytworzyły niewidzialną więź.

- Wspólna tajemnica? Czy ty aby nie przesadzasz z tą więzią i tajemnicą? - Odwzajemnił uśmiech. - Mój dziadek był, hm, co tu dużo gadać, staruszkiem.

- Bardzo sympatycznym i wyjątkowym staruszkiem.

- Dla mnie, owszem, wyjątkowym, bo był moim dziadkiem. Myślę jednak, że dla wszystkich poza rodziną był tylko starszym panem, na którego nikt nie zwróciłby szczególnej uwagi.

- I tu się, Karol, mylisz.

- Żartujesz czy chcesz mi wmówić, że znałaś mojego dziadka lepiej ode mnie? - zdziwił się.

- To nie tak, jak myślisz - odpowiedziała spokojnie.

- Ludzie zawsze mówią: to nie tak, jak myślisz, wtedy, gdy chcą ukryć coś, czego już się ukryć nie da! - Roześmiał się głośno. Resztki niewidzialnego napięcia, które od początku spotkania spowijało przestrzeń między przyjaciółmi, całkowicie zniknęły, a atmosfera

przy stoliku zajęтым przez Weronikę i Karola stała się, jak kiedyś, ciepła i życzliwa.

Dziennikarka też się uśmiechnęła, bo przypomniała jej się klasyczna scena filmowa, gdy facet nakrywa żonę *in flagranti* z innym, a ona mówi mężowi: „To nie tak, jak myślisz”. Szybko jednak spoważniała i spojrzała na Karola, by sprawdzić, czy jest zainteresowany dalszym kierunkiem rozmowy. Ten jednak tkwił niewzruszony i nieświadomy tego, czego może dowiedzieć się o swoim dziadku, a więc i pośrednio o sobie samym. Wpatrywała się teraz w niego w milczeniu i zastanawiała, czy ta wiedza może zmienić życie Karola, czy zmąci dotychczasowy porządek w jego rodzinie, słowem, czy okaże się złem czy dobrem. I w konsekwencji, czy mu ją wyjawić, czy na razie jeszcze pozostawić w cieniu.

Pomyślała, że póki wszystko obraca się wokół żartu, nadal może się wycofać. Nie musi odkrywać przed kolegą tajemnicy jego pochodzenia. Zapytała jednak sama siebie, czy w takiej sytuacji milczenie nie będzie jednak półprawdą, a jeśli półprawdą, to i kłamstwem? Kiedy tak patrzyła w oczy tego młodego mężczyzny, zastanawiała się, czy w imię wieloletniej przyjaźni nie jest mu winna odrobinę lojalności i szczerości. W duszy dziewczyny ostro ścierały się owe dwa przeciwstawne podejścia, gdy nagle sam zainteresowany przerwał ciszę gromkim i wesołym:

- Halo, tu ziemia! Pani redaktor, pobudka.
- Karol, nie śpię... – Spojrzała na niego poważnie.
- Hej, stało się coś? – zapytał zaniepokojony dysonansem pomiędzy wesołą atmosferą a marsowym wyrazem jej twarzy.
- Nie, nic się nie stało.

– Ja się już nie gniewam, przeszło mi, jak widzisz... – Uśmiechnął się z ulgą.

– Ale może się stać – odpowiedziała, jak gdyby nie dosłyszała tego, co powiedział.

– Co się może stać? Zaraz, zaraz, o czym ty mówisz, Wera?

– Nie wiem, Karol, co się może stać, ale raczej nic dobrego. Świadczą o tym ostatnie wypadki, które wraz z informacjami, jakie udało mi się zdobyć, układają się w jakąś równie logiczną, co makabryczną całość.

Utkwił w niej wzrok, jakby chciał powiedzieć: „No dobra, opowiadaj”. Nie powiedział jednak niczego. Dziennikarka pociągnęła więc sama:

– Pamiętasz zamordowanego prawnika z Niemiec? – zapytała, choć doskonale wiedziała, że to retoryczne pytanie. – Ustaliłam, że był współwłaścicielem wielkiej kancelarii adwokackiej. Przyjechał tu w sprawie pałacu w Rybnej. Czego dotyczyła ta sprawa, dokładnie nie wiem. Jestem jednak przekonana, że nie była błaża. I że musiała mieć związek z panem Franciszkiem.

– Moim dziadkiem? Co ty pleciesz?

– Tak, z Franciszkiem Kampką. Jestem tego coraz bardziej pewna.

– Czy oni się w ogóle spotkali, dziadek z tym prawnikiem? – Karol jakby się przebudził.

– Nie mam na to dowodów, ale sądzę, że albo musieli się spotkać, albo planowali to uczynić.

– Ale w jakim celu? – mężczyzna nie potrafił ukryć rosnącego z minuty na minutę zdumienia.

- Tego dokładnie też nie wiem, ale posłuchaj, co odkryłam, szperając w historii von Koschützkich.

Weronika szczegółowo opisała, jak znalazła informację o pochodzeniu pana Franciszka, i jak ten, przyparty do muru, ją potwierdził.

Karol siedział jak osłupiały. Patrzył na przyjaciółkę, ale jakby jej nie widział. Cisza ponownie zapadła nad ich stolikiem. Przerwał ją brutalnie hałas tłuczonego szkła. Wszyscy goście galerii obrócili się w stronę, skąd dobiegł. Ktoś nieuważny upuścił i rozbił szklanę pełną piwa, którego spieniona fala rozlewała się teraz po ciemnej podłodze. Po chwili gwar w kawiarni wrócił do normy. Mężczyzna spojrzał przenikliwie na dziewczynę, po czym bardziej stwierdził, niż zapytał:

- Dziadek o tym wiedział, prawda?

Przytaknęła w milczeniu.

- Wera, trudno mi w to uwierzyć, ale nawet jeśli było, jak mówisz, jaki ma to związek z adwokatem i jego śmiercią?

- Człowieku, nie rozumiesz? Wychodzi na to, że twój dziadek był jedynym męskim potomkiem ostatniego właściciela pałacu. A tym samym dziedzicem majątku. Związek z przyjazdem renomowanego prawnika mógł być tylko jeden!

- Że co, proszę? - niemal krzyknął. - Chcesz powiedzieć, że pałac w Rybnej należał do mojego dziadka, tylko nikt, a zwłaszcza on sam, o tym nie wiedział?

- Coś tak jakby. - Uśmiechnęła się. - To znaczy, dowiedział się o tym już jakiś czas temu od swojej siostry, czyli córki Egona. I żył sobie spokojnie z tą wiedzą.

- Tak, żył sobie spokojnie z tą wiedzą, podczas gdy najpierw oboje rodzice, a po śmierci taty sama tylko mama ciułała, by co miesiąc związać koniec z końcem – z żalem powiedział do siebie.

*

Było grubo po godzinie dwudziestej drugiej, gdy pod blok na osiedlu Przyjaźń podjechał czarny ford. Kierowca zgasił silnik, a we wnętrzu kabiny zapaliło się światło, niwecząc panującą wewnątrz szczególną atmosferę bliskości. Na przednich siedzeniach tkwili nieruchomo kobieta i mężczyzna. Nie byli zwrócenii ku sobie, lecz wpatrzeni w ciemną przestrzeń za przednią szybą. Milczeli. Pierwszy ciszę przerwał Karol:

- Weroniko, dziękuję za dzisiejsze spotkanie – zawiesił głos, jakby chciał kontynuować. – Dla mnie nie było łatwe, ale dziękuję raz jeszcze za szczerość.

Dziewczyna w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła.

- Jak rozumiem, wkrótce będę mógł o tym wszystkim przeczytać w „Wiadomościach Tarnogórskich”?

- Nie tak prędko. Nie zapominaj, że zarówno Stolpe, jak i twój dziadek nie żyją. Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz? Wygląda, jakby tę tajemnicę odkrył ktoś jeszcze. Kto na dodatek chciałby przeszkodzić w jej ujawnieniu.

- Tylko po co?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale się dowiem.

- Co zamierzasz? – zapytał, podczas gdy Weronika pomyślała, że to pytanie wybrzmiało jak dialog w kiepskim filmie.

Długo milczała, nim odpowiedziała:

- Kancelaria Stolpego odmówiła mi potwierdzenia informacji, że mecenas przyjechał do Rybnej w sprawie rewindykacji majątku. Muszę to jednak zweryfikować, bez tego cała układanka nie ma sensu.

- Jak chcesz tego dokonać?

- Pojadę do Dortmundu – powiedziała szybciej, niż zdążyła o tym pomyśleć.

- Zwariowałaś? – zachnął się. – To na drugim końcu Niemiec.

- Nie przesadzaj... Zresztą, widzisz jakieś inne wyjście?

Kiedy zamykała drzwi do klatki schodowej, widziała Karola, jak z rękoma na kierownicy siedzi w samochodzie zadumany i wpatrzony przed siebie. Wiedziała, że nie jest mu łatwo. Była jednak przekonana, że dobrze zrobiła, wyjawiając mu całą prawdę.

Wchodząc po schodach, wciąż jeszcze czuła na policzku ostry zarost mężczyzny i towarzyszący mu świeży męski zapach.

Rozdział XXI

TARNOWSKIE GÓRY, WRZESIEŃ, PONIEDZIAŁEK

Stupięciokonny silnik škody octavii równo pracował pod maską. Konstruktorzy pojazdu zadbali, by do kabiny przedostawało się jednak tylko tyle hałasu, ile potrzeba było starym koneserom oraz przybywającym od lat nowym zwolennikom silników wysokoprężnych, by docenić jazdę samochodem z napędem Diesla. Z całą pewnością Weronika Maszczyk nie należała do entuzjastów motoryzacji, całkiem prawdopodobne też, że nie do końca rozróżniała silniki benzynowe od tych na olej napędowy. Ignorowała melodię warkotu każdego motoru, a teraz, choć dopiero opuszczała miasto, maksymalnie skupiała się na drodze. Nie słyszała nawet radia, które tuż po przekręceniu kluczyka zapłonu samo uruchomiło się na poprzednio nastawionej częstotliwości i które wygrywało w tle jakiś zgrany szlagier sprzed lat. Oburącz ścisnęła pewnie kierownicę, jedyne wyjątki czyniąc tylko dla dźwigni zmiany biegów. Ojciec dziewczyny powiedziałby, że i to zbyt rzadko jak na wciąż jeszcze nierozgrzany silnik, ale niczego nie mógł widzieć ani słyszeć. Smacznie spał.

Było bowiem dobrze przed piątą rano. Spowite w jesiennej mgle nocnej Tarnowskie Góry nie zbudziły się jeszcze ze snu. Tylko gdzieś tam ciemności betonowego osiedla na chwilę rozświetlało światło w pojedynczym oknie, by po chwili rozpląnąć się w mroku nocy. Na ulicach było pusto. W okolicy kościoła pod wezwaniem

Świętego Marcina pulsujące na pomarańczowo skrzyżowanie przeciął biały dostawczak. Poza nim ani żywej duszy, jakby całe miasto wymarło. Dla każdego, kto nie wiedział, jak wygląda świat w ten krótki czas, wyjątkowy czas, gdy śpi większość ludzi, zarówno ci, co położyli się w środku nocy, jak i ci, co za chwilę wstaną na pierwszą zmianę – dla każdego więc, kto tego nie wiedział, było nieswojo pusto, niczym na jakimś katastroficznym filmie tuż przed wielkim wybuchem, przed ostateczną zagładą, pusto niemal apokaliptycznie.

Weronika świadomie wybrała tę barbarzyńską porę na swój wyjazd. Liczyła właśnie na pustkę. Na brak emerytów wystających pod przejściami dla pieszych i gotowych do skoku tuż pod zbliżające się samochody. I na brak sznurów sunących w żółtim tempie pojazdów, prowadzonych przez przeostrożne i nadopiekuńcze matki, odwożące do szkół swe pociechy, okutane szczelnie jak na syberyjską zimę. I odstawiające je pod same drzwi, żeby się, niebożęta, nie przeziębiły. Miała nadzieję, że w ten sposób sprawnie, w kilka chwil dotrze do Wieszowej, lokalnych wrót na szeroki świat, w który prowadziła autostrada A1.

Jak większość kobiet za kółkiem, pochylona nieco w przód, zwisała teraz nad kierownicą, jakby w asfaltowej otchłani rysującej się za krystalicznie czystą szybą chciała wypatrzeć więcej, niż było do wypatrzenia. Właśnie minęła renesansowy zamek Wrochemów, przed kilku laty odrestaurowany z kunsztem i rozmachem, ale trochę jakby bez duszy, by po chwili zostawić za sobą ponure cielsko gmachu szpitala powiatowego. Znalazłszy się wśród pól, z lewej mając dolinkę Dramy, z prawej zaś laryszowskie wzgórza, docisnęła

pedał gazu. Silnik zamruczał przyjemnie i škoda wyrwała do przodu, a Weronika wrzuciła piąty bieg.

Kiedy tylko, po nader krótkim śnie, wstała z łóżka, niespodziewanie dla siebie samej odczuła jakiś wewnętrzny spokój, który utrzymywał się nadal po wyjściu z mieszkania. By nie naruszyć tej wygodnej w gruncie rzeczy harmonii duszy, nie zastanawiała się, czy wzięła się ona z faktu solidnego przygotowania do podróży, czy może z głębokiego przeświadczenia o słuszności jej odbycia, albo może jeszcze zasadzała się na nadziei, jaką żywiła wobec rezultatów tej wyprawy. Skądkolwiek pochodziła, sprzyjała opanowaniu i koncentracji na drodze.

A miała jej do pokonania całkiem niemało, zwłaszcza jak na kogoś, kto nie nawykł do długich i samotnych podróży samochodem. Dziewięćset pięćdziesiąt kilometrów – taką odległość dzielącą Tarnowskie Góry od Dortmundu wyświetlił komputer, gdy tylko wróciła do siebie po spotkaniu z Karolem. W pierwszej chwili pomyślała, że trudno, nie da rady, musi zostawić zagadkę pałacu w Rybnej – może sama się rozwikła. Dopiero później naszło ją, że jeśli nie ona, kto to zrobi? Kto wejdzie w temat, kto da mu się prowadzić, kto dostrzeże to, czego nie widzą inni, znajdzie w sobie dość siły i determinacji, by zbadać tę nad wyraz dziwną i skomplikowaną sprawę? Po wypadzie do Wronina koleżeński dotąd Maciek Jarzyna odciął się zupełnie od sprawy i o von Koschützkich nie chciał już nawet słyszeć. Do naczelnej nie miała co w ogóle uderzać z tematem, który niósł w sobie więcej znaków zapytania niż pewników. Ewa? Była dobra w czytaniu przepisów, zawsze chętnie służyła pomocą, ale nie była przecież dziennikarką i w jej sytuacji zawodowej nie mogła sobie absolutnie pozwolić na zabawy, które

bądź co bądź polegały na balansowaniu na granicy przekraczania przepisów. Policja? Z całą pewnością znajdą kiedyś sprawcę i wyjaśnią okoliczności śmierci mecenasa Stolpego. Ktoś pójdzie siedzieć, sprawę się odhaczy, statystyka wzrośnie, ale czy funkcjonariusze dotrą do jej istoty, czy odkryją sekret pałacu w Rybnej, który krył się gdzieś na styku historii i teraźniejszości? Co do tego miała wątpliwości, więc nieoczekiwanie dla siebie samej powiedziała na głos:

– Co to dla mnie skoczyć do Dortmundu? Muszę tę sprawę doprowadzić do końca i zrobię to.

W ten sposób pomysł, który dopiero co spontanicznie narodził się w jej głowie podczas rozmowy z Karolem, niespodziewanie uzyskał status realnego planu. Do rozwiązania pozostawało więc już nie czy, ale jak go zrealizować. Początkowo pomyślała o tanich liniach lotniczych, które z nieodległych Pyrzowic regularnie kursowały również do Dortmundu. W całkiem przystępnej cenie i w ciągu godziny można było z ich pomocą przenieść się o tysiąc kilometrów. Nie zastanawiała się długo, już była gotowa zarezerwować bilet, gdy uświadomiła sobie, że przecież będąc w Niemczech, powinna koniecznie spróbować porozmawiać również ze sprzedawcą serwety, a może nawet zobaczyć tkaninę. Inaczej efekt poszukiwań może okazać się połowiczny, a poświęcony im wysiłek – daremny.

Napisała więc maila do Kurprinza1 z pytaniem, czy istnieje możliwość, by przyjrzała się serwecie. Ten, jak zwykle, odpowiedział szybko. Bez problemu i bez zbędnych ceregieli zgodził się na spotkanie i podał numer komórki. Umówili się na rozmowę telefoniczną za kilka dni, kiedy dziewczyna będzie już w Niemczech.

Okazało się, że Kurprinzl mieszka w starożytnym Trewirze, oddalonym od Dortmundu o dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Nie miała więc specjalnie innego wyjścia, jak tylko spróbować jazdy samochodem. Pocieszała się, że ostatecznie odległości są po to, by je przemierzać. Przy tej okazji, nie wiedzieć skąd, przypomniała sobie nawet, że *navigare necesse est*¹⁰⁸, a autostrady są dla ludzi. Zwłaszcza te niemieckie.

Nie była jednak jeszcze na tyle oderwana od rzeczywistości, by nie zdawać sobie sprawy, że pomysł jej eskapady zostanie odebrany jako szaleństwo. Gdzieś w głębi siebie słyszała jeszcze głos resztek zdrowego rozsądku, który podpowiadał, że jest tak istotnie. Wyobraziła sobie nawet grymas twarzy matki, gdy ta dowie się o wyprawie córki. O reakcji redaktora Jarzyny wolała nawet nie myśleć.

Jednak to właśnie od rodziców pożyczyła na tydzień samochód, kłamiąc przy tym jak z nut, że wybiera się do Ewy do Wrocławia. Oczywiście o całej operacji uprzedziła przyjaciółkę. A kochany tatuś wymienił na tę okoliczność nawet olej w silniku swej wychuchanej octavii. Zadzwoiła do naczelnej z prośbą o tygodniowy urlop, który zresztą dostała bez kłopotu. Czowała się niejako w obowiązku dać znać także Maćkowi, ale nie wiedziała, jak to zrobić, by nie rozdrażnić go na dobre. Myślała o szczerzej rozmowie, w ostateczności wysłała mu jednak wiadomość na skrzynkę mailową. I wyjawiała wszystko, jak na świętej spowiedzi. Na rozgrzeszenie nie czekała. Wiedziała, że go nie otrzyma.

Na mocno nierównej nawierzchni škoda podskakiwała jak pijana baletnica i Weronika musiała zwolnić. Właśnie minęła zakręt w stronę Laryszowa. Po chwili znalazła się na rozstaju dróg

w okolicy nieczynnego wiaduktu w Zbrośławicach. Niedawno „Wiadomości Tarnogórskie” ogłosiły, że zabytkowy obiekt ma zostać rozebrany, co ostatecznie miało przypieczętować los nieużytkowanej od dwóch dekad linii kolejowej. Wprawdzie rozmaici działacze lokalni i regionalni od czasu do czasu publicznie snuli marzenia, by jej śladem, po dawnym nasypie, zbudować ścieżkę rowerową z prawdziwego zdarzenia, ale bez zbrośławickiego wiaduktu i zapadających się rok w rok kolejnych elementów infrastruktury kolejowej fantazje aktywistów były już tylko marzeniami ściętej głowy. Albo opium dla ludu.

Dziennikarka nie myślała w tej chwili ani o wiadukcie, ani o ścieżkach rowerowych, ani tym bardziej o oderwanych od rzeczywistości politykach. Maksymalnie skoncentrowana na drodze, gdzieś w najodleglejszym zakątku swojej kształtnej głowy analizowała przygotowania do wyjazdu. Jedną tylko sprawą burzyła wewnętrzne poczucie ładu i harmonii: mail od Thomasa. Jego treść była równie lapidarna, co zagadkowa. Ograniczała się bowiem do komunikatu: „Będę u siebie od ftorku. Jakby co, dzwoń o każdej porze. T.”

Wiadomość otrzymała wczoraj po południu i kompletnie nie wiedziała, co o niej myśleć. Po pierwsze, nie przypominała sobie w ogóle, żeby wymieniła się z Thomasem adresami mailowymi. Ale uznała, że na tyle sporo działo się wokół niej w ostatnim czasie, że mogła zapomnieć o tym, komu podawała swój adres poczty. Nie był w końcu tajny i jako dziennikarka robiła to stosunkowo często. Co gorsza jednak, nie miała bladego pojęcia, jak inaczej, jeśli nie w kategorii zgłoszenia deklaracji gotowości do udzielenia pomocy,

miałaby odczytywać oświadczenie niedawno poznanego Niemca, w sytuacji, w której sama wybierała się do Niemiec?

Pomyłkę adresatów wykluczyła już na wstępie. Doszła do wniosku, że statystyczna większość cywilizowanych Europejczyków, a Thomasa z całą pewnością zaliczała do tej grupy, od razu pospieszyłaby z wyjaśnieniem nieporozumienia i rozwianiem wątpliwości przypadkowego oraz skonsternowanego odbiorcy.

– Skoro zatem się nie pomylił, zrobił to celowo. *Tertium non datur*¹⁰⁹ – stwierdziła i natychmiast zdumiała się własną znajomością łaciny.

– A jeśli celowo, to z kolei musiało sugerować, że Thomas jest doskonale poinformowany o moich planach wyjazdowych – dedukowała dalej. Doszła jednak do wniosku, że tego, nawet przy całej swojej emocjonalnej i chaotycznej powierzchowności, nie mogła mu wyjawiać. Z prostego zresztą powodu. Kiedy się bowiem spotkała z Thomasem w parku wodnym, a potem w kawiarni na rynku w Tarnowskich Górach, o żadnym wyjeździe za granicę jeszcze nawet nie myślała.

– Tak, to jedno jest pewne! – powiedziała na głos zdecydowanie i dobitnie. – A skoro tak, znaczy, że Thomas...

W tym samym momencie poczuła, że kierownica zadrżała. Jakby poruszyła się sama z siebie. Na ułamek sekundy spojrzała do lusterka wstecznego, ale panujące za pojazdem egipskie ciemności nie pozwoliły jej dostrzec dziury ani innej przeszkody, która mogła być tego powodem. Na powrót zwróciła wzrok przed siebie. Reflektory samochodu oświetlały pustą i czarną przestrzeń prowadzącą do Ptakowic ulicy Reptowskiej. Właśnie miała pociągnąć ku sobie wajchę migaczy, by włączyć długie światła, gdy

kierownica znowu się poruszyła, tym razem gwałtowniej, jakby coś ściągało škodę na lewą stronę jezdni. Obejmując oburącz kierownicę, próbowała zwrócić pojazd w przeciwnym kierunku. Lecz choć szarpała ze wszystkich sił, nie dała rady.

Rozdział XXII

To, co się następnie wydarzyło i trwało zaledwie kilka sekund, w pamięci Weroniki zapisało się w postaci sekwencji rwanych chwil, strzępów wspomnień. Przede wszystkim ograniczały się one do poczucia obezwładniającego, zwierzęcego strachu, który pojawił się w momencie, gdy dziewczyna uświadomiła sobie wreszcie, że nie zdoła zapanować nad pojazdem i zdać się musi na ślepy los. A następnie reminiscencje te zamykały się w kilku niepowiązanych ze sobą obrazach: podświetlonych na zielono tarczach zegarów kokpitu škody, podskakującej nerwowo wskazówki jednego z nich, kukurydzianego ścierniska, które, nie wiedzieć skąd, znalazło się nagle w polu widzenia kierowcy i w zbliżającym się w zwolnionym tempie, ale nieuchronnie, pniu przydrożnego drzewa. Zdażyła zauważyć, że jego kora była czarna, mokra i pokryta brązowożółtymi plamami jakiejś narośli. Przez moment próbowała sobie jeszcze przypomnieć, gdzie widziała podobny nalot. Nim jednak dotarła do niej odpowiedź, film się skończył.

Jak długo trwała przerwa, nie wiedziała. Kiedy się ocknęła, jej mózg za pomocą pojedynczo przywracanych zmysłów jak wcześniej nadal odbierał rzeczywistość w postaci kinowego pars pro toto. Niczym kamera powoli przesuwająca się po krajobrazie tuż po katastrofie, kiedy dymią jeszcze świeże zgliszcza, kadr po kadrze dokumentując szczegóły, nierzadko banalne, by poprzez fragmenty przedstawić obraz całości. Przede wszystkim więc panuje wokół

Weroniki wszechobecna cisza, jakby nigdy nic się tu nie zdarzyło. Dopiero potem w ciszy pojawia się dźwięk. Początkowo w oddali, nie słyszy go dokładnie, potem bliżej i bliżej, wyraźniej, ale wciąż nie czyta go i nie kojarzy. Po chwili dobija się do niej melodia, prosta jak sztacheta, odpustowo-taneczna. Melodii towarzyszy rytm. W zasadzie jego stukot bardziej zagłusza inne dźwięki, ale może tak się tylko teraz zdaje. W tle zaś tego wszystkiego ktoś zawodzi. Albo raczej śpiewa. Tekst pieśni jest jeszcze niejasny, ale równie surowy, ogranicza się do kilku powtarzanych w kółko słów, jak gdyby utwór był samym tylko refrenem.

Tymczasem pod policzkiem coś uwiera, coś niewygodnego, niewymiarowego, co skrajnie nie odpowiada architekturze twarzy, jest antyergonomiczne. Więc albo to niekształtne coś znajduje się nie na swoim miejscu, albo to głowa tkwi tam, gdzie tkwić nie powinna. Stwierdzić tego jednak nie sposób. W każdym razie dopóki nikt nie uruchomił jeszcze wzroku, rzeczywistość musi być czytana wyłącznie pozostałymi zmysłami.

A więc po dłuższym zastanowieniu Weronika stwierdza, że twardość przedmiotu, na którym spoczywa, jest trochę oszukana, niby realna, a jednak oddalona, jakby wytłumiona miękkim i gładkim materiałem. Tkanina jest wszędzie wokół, miękko otula głowę. Ma gładką i powłóczystą strukturę, ale z całą pewnością nie jest satynową pościelą. Za dużo w niej domieszki czegoś sztucznego, poliestru. Może nawet cała jest syntetyczna, bo skóra policzka nie może oddychać, zaczyna parzyć. Poza tym materiał śmierdzi. Czuć w nim przemysłem, fabryką, tworzywem, plastikiem, dłońmi ubranymi w gumowe rękawiczki. Wszystko to potwierdza, że

materiał nie jest przeznaczony do kontaktu z wrażliwą powierzchnością twarzy. A przynajmniej nie na dłuższą metę.

Pora na oczy. Raz, dwa, trzy – teraz. Unosi się tylko jedna powieka, drugą przygniata ciężar głowy. Wokół mleczna biel. Za bielą prześwituje inny świat, ale trzeba się doń najpierw dostać. Porusza głową. Mleczna tkanina nie krępuje ruchów. Podnosi więc tułów, a tkanina sama zsuwa się z głowy. Odkleja się druga powieka, wzrok jeszcze chwilę pozostaje nieco rozmazany, ale szybko chwyta ostrość.

Co widzi? W zasadzie wciąż to samo, zegary kokpitu, a zaraz za nimi mokrą, chropowatą korę z żółtym nalotem. Jest jeszcze szyba, cała w chaotycznej siatce rys. Patrząc na korę pnia przez sito pęknięć, jak w olśnieniu przypomina sobie nagle, że w ten właśnie sposób porośnięte drzewa widziała dawno temu, na wakacjach, na Pomorzu.

Dopiero teraz snute retrospekcje stają się impulsem do całkowitego przebudzenia. Mózg wydobywa się z letargu, w który w obliczu zagrożenia sam się wprowadził, i w mig wchodzi na wysokie obroty. Rozpoczyna się gorączkowe kojarzenie, koordynacja pomiędzy zmysłami. Słuch, dotyk, węch, wzrok. Uruchomiona zostaje pamięć podręczna. Do Weroniki zaczyna docierać, dlaczego omszała kora drzewa znajduje się aż tak blisko, skąd wzięła się popękana jak lód szyba, że biała materia to poduszka powietrzna, która dobrze spełniła swoją funkcję i teraz uszło z niej powietrze. I jeszcze, skąd się w ogóle wzięła w tym miejscu i co tu robi.

Odpięła pas bezpieczeństwa, który posłusznie wsunął się na swoje miejsce w słupku pomiędzy drzwiami, i rozejrzała się na boki. Ciemności wokół niej zaczął rozrzedzać brzask. Nadchodził

z naprzeciwka, zza porośniętego kępą drzew wzgóрка, za którym ukryty horyzont pokrywał się pomału krwistoczerwoną poświatą. Hipnotyzująca luna rozrastała się niemal w oczach. Weronika obserwowała ją zza pokrytej siateczką rys szyby. Jej spękania rozpraszały wyzierające już spoza pagórków purpurowe błyski, sprawiając, że pejzaż jawił się jeszcze bardziej zjawiskowo, a jednocześnie przerażająco.

Z przyzwyczajenia wyciągnęła kluczyk ze stacyjki i pociągnęła za klamkę. Drzwi się nie otwały. Szarpnęła ponownie, mocniej. Bez efektu. Gdzieś w łydkach pojawiło się niemal niewyczuwalne jeszcze drzenie, takie samo, jakiego już od dawna nie doświadczyła, a które przed laty dopadało ją zawsze przed ważnymi sprawdzianami i egzaminami. Zignorowała je teraz i przeniosła się na fotel pasażera. Jednak również z tamtej strony drzwi nie ustąpiły. Wróciła więc na swoje miejsce i nacisnęła przycisk opuszczania szyby, która ani drgnęła. Pozostałe także.

W łydkach znów wyczuła falę drzenia, wyraźniejszą niż przed chwilą. Nie potrafiła nad nią zapanować, postanowiła zatem zignorować uczucie, które, miała tego pełną świadomość, było objawem narastającego lęku. Z ulgą pomyślała, że nie mogła otworzyć szyb, bo nie uruchomiła stacyjki pojazdu. Kiedy jednak przekręciła w niej kluczyk, na zegarach nie zaświecił się żaden z różnobarwnych symboli kontrolnych, a szyb nadal nie dawało się uchylić. Wcisnęła sprzęgło i przestawiła kluczyk na pozycję zapłonu. Oczywiście silnik nawet się nie poruszył.

Ze złości i może jeszcze bardziej z niemocy uderzyła pięścią w kierownicę. Chciała też siarczyście zakląć, gdy w tej samej chwili na tle jaśniejącego brzasku, który w pełnej już okazałości objął

nieboskłon, zdawało jej się, że dostrzegła unoszącą się znad maski samochodu strużkę dymu. Mrużąc oczy, wpatrywała się w oślepiającą, porozcinaną tysiącem pęknięć przestrzeń za szybą, by potwierdzić obserwację. Z chwilą gdy ponownie ujrzała snujący się biały kopec, odczuła w nogach potężną falę drżenia. Tym razem nawet nie próbowała jej opanować. Weronikę ogarnęło przerażenie, które po chwili rozwinęło się w panikę.

Poczuła się jak w pułapce, jak zwierzyna w potrzasku. Po raz pierwszy chyba dotarło do niej, że może zginąć. Ot tak, po prostu. Wiedziała, że to nie było niemożliwe, nie tym razem, a realizm zagrożenia tylko spotęgował stan wszechogarniającego lęku. Chciała coś zrobić, ratować się za wszelką cenę. Przeskoczyła na tylną kanapę. Chaotycznie szarpała wszystkie drzwi po kolei. Uderzała pięścią w szyby. Jednak jedyne, co mogła, to szamotać się i krzyczeć. Po chwili, zrezygnowana, opadła na siedzenie i przycisnąwszy jak dziecko nos do bocznej szyby, się rozplakała. Z powodu bezsiły, żalu, wyczerpania, strachu.

*

Na zewnątrz zrobiło się już prawie zupełnie jasno. Opadły nocne mgły i zapowiadał się całkiem słoneczny dzień. Bezkresu bladego jeszcze o tej porze nieba nie mąciła ani jedna chmura. To miała być prawdziwa polska złota jesień na Górnym Śląsku.

Na ulicy Reptowskiej zatrzymał się biały opel z pomarańczowym logo koncernu na drzwiach. Wsiadł z niego szczupły mężczyzna w garniturze. Po chwili wahania, podczas którego lustrował wzrokiem stojącą w ściernisku kukurydzy škodę, ponownie wsunął głowę do wnętrza i włączył w opłu światła awaryjne. Z bagażnika

wyciągnął gaśnicę. Powoli podszedł do nabitego maską na drzewo samochodu i przysłoniwszy dłonią oczy, ostrożnie zajrzał do środka. Niczego jednak nie dostrzegł, gdyż wszystkie szyby pokrywała od wewnątrz szczelna zasłona pary.

- Halo, jest tu kto? - zapytał, lecz odpowiedziała mu cisza. Elegancki mężczyzna oddalił się w stronę swojego auta, wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer sto dwanaście. Dopiero w trakcie rozmowy z konsultantką centrum powiadamiania ratunkowego zauważył, że kabina škody poruszyła się nieznacznie na resorach. Odłożył więc telefon i powtórnie podszedł do wraku.

- Halo! - zawołał i zapukał w dach. Najwyraźniej chciał coś jeszcze dodać, nim jednak zdążył dokończyć, coś w pojeździe podskoczyło, potem szczupła biała dłoń odgarnęła parę z szyby i oczom mężczyzny ukazała się wykrzywiona grymasem strachu twarz dziewczyny.

- Hej, stało ci się co? - zapytał, ale z wnętrza dobiegł tylko przytłumiony głos. Z tego, co chciała mu wykrzyczeć uwięziona w środku dziewczyna, nie zrozumiał ani słowa. Jej rozpaczliwe gesty były jednak tak wymowne, że po kilku zakończonych bez efektu próbach otwarcia drzwi zakomenderował tylko: - Przesuń się! - i dla lepszej percepcji tych słów zrobił ruch ręką, jakby odganiał natrętną muchę albo wielkopańsko nakazywał odejście służbie.

Natychmiast odczytała jego intencję i wcisnęła się w najdalszy kąt kabiny. Tymczasem nieznajomy zamachnął się i gaśnicą uderzył w boczną szybę. W jednej chwili całą jej powierzchnię pokryła gęsta siatka pęknięć, ale szyba pozostała na swoim miejscu. Poprawił i wtedy szkło rozsypało się na tysiące kryształków.

- Gotowe - obwieścił, z satysfakcją zacierając dłonie. - Chodź, pomogę ci się stąd wydostać.

Dziewczyna spojrzała nań nieufnie i jednym susem znalazła się w pobliżu otworu, a następnie sprawnie wygramoliła się na zewnątrz. Mężczyzna chciał jej podać rękę, by przytrzymać ją przy przechodzeniu przez otwór, którego krawędzie najeżone były kawałeczkami szkła, ale nie dała mu na to szansy.

- Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? - zatroszczył się. W odpowiedzi spojrzała na niego wielkimi mokrymi oczyma schwytanego w pułapkę zwierzątka, ale nic nie powiedziała. Potargane włosy, twarz z rozmazanym łzami makijażem i do tego jeszcze rozerwana na plecach jesionka, z której nieporadnie zwisała teraz biała kitka watoliny, cała wyglądała jak siedem nieszczęść. - Dobrze, chodź do mojego samochodu, zaraz będą tu pogotowie i policja - zaprosił mężczyzna w garniturze i wskazał ręką stojący nieopodal, pulsujący na pomarańczowo pojazd. Posłusznie podążyła za nim.

Już prawie siadała, gdy wtem, niespodziewanie, odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę rozbitego samochodu.

- Stój, co robisz? To może być niebezpieczne - krzyknął stojący przy oplu facet. Nie zważając na jego protesty, dziewczyna wsunęła tułów przez dziurę po wybitej szybie i pochyłona zniknęła do połowy w środku. Podszedł do niej skonfundowany, nie wiedząc, jak zachować się wobec tej coraz dziwniej zachowującej się kobiety.

- Jeśli chcesz, pomogę ci - zadeklarował, ale odpowiedziała mu cisza. Po chwili wychynęła z wnętrza, trzymając w ręku niewielki plecak i telefon. Jej wzrok był rozbiegany, chaotyczny, a ona sama sprawiała wrażenie, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę

z miejsca i sytuacji, w których się znalazła, jakby gotowała się do ucieczki przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

– Nie bój się mnie. Jesteś w szoku. Chcę ci pomóc – mężczyzna powtarzał się jak zużyta płyta. – Musisz być ostrożna, miałaś wypadek i możesz mieć coś złamane. Najlepiej będzie, jak poczekaasz na lekarza w moim samochodzie. No, chodź – zachęcał łagodnie, po czym wysunął rękę w jej stronę. Gest ten, w innych okolicznościach zupełnie naturalny, aczkolwiek może nieco nazbyt gwałtowny, sprowokował jednak efekt odwrotny od zamierzonego. Weronika bowiem w ułamku sekundy zrobiła unik i podczas gdy nieznajomy pozostał z wyciągniętym w próżni ramieniem, ona była już kilka kroków dalej, gdzie zatrzymała się w bezpiecznej odległości i w pełnej napięcia pozie.

– Co ty wyprawiasz? – mimowolnie, bardziej chyba ze zdziwienia niż zdenerwowania, podniósł głos.

– O nie, nie – odparła – nie dostaniesz mnie tak łatwo!

Przez chwilę mężczyzna zastanawiał się, jak powinien się teraz zachować. Wreszcie, uznając widocznie to, że dziewczyna przemówiła, za dobry prognostyk stanu jej zdrowia, zdecydował się: – Mateusz jestem, miło mi – przedstawił się, jak gdyby nigdy nic, uśmiechając się jednocześnie łagodnie. – A ty jak masz na imię?

– Nie udawaj, że nie wiesz! – odkrzyknęła ze swojej bezpiecznej odległości Weronika, po czym odwróciła się i kukurydzianym ścierniskiem pognąła w stronę szczytu pagórka. Dopiero po pewnym czasie dla zaczerpnięcia tchu zatrzymała się na moment. Wtedy też odwróciła głowę, by potwierdzić, że zyskała pożądaną przewagę nad mężczyzną z białego opla. Było lepiej, niż przypuszczała. Nawet jej

nie gonił. Elegancki, z połyskującą we wschodzącym słońcu łysiną, stał oszołomiony w miejscu, w którym go pozostawiła.

Rozdział XXIII

TARNOWSKIE GÓRY, PAŹDZIERNIK, TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Powiedzieć, że w budynku czuć było palonym tytoniem – to nic nie powiedzieć. W atmosferze unosiły się, leniwie falując, mleczne pasma dymu. Od czasu do czasu rozpraszał je ruch wywoływany przez błędzące korytarzami postaci, jednak potem smugi na powrót same układały się w pierwotne kompozycje, lewitując dalej w przestrzeni. Sztuczna mgła stanowiła oczywiście tylko wizualny i bynajmniej nie najbardziej dotkliwy efekt wypalanych tu każdego dnia setek, a może nawet i tysięcy papierosów. O wiele gorszy od dymu był wszechobecny smród. Wyziewał z przeżartych nim ścian, mebli, sprzętów, a nawet kilku rachitycznych filodendronów, które chyba już tylko z przyzwyczajenia, resztką swych naturalnych *vis vitalis*¹¹⁰ pompowały jeszcze egzotyczne soki w przesiąknięte spalinami liście i łodygi.

Tytoniowy odór był tak przemożny, że w jednej chwili przenikał włosy, ubranie, a zdawało się, że nawet skórę każdego, kto nieopatrznie zapuścił się w to ponure miejsce. Jego epicentrum znajdowało się, rzecz jasna, na oddziale męskim, gdzie próżno było szukać miejsc wolnych od papierosowego smogu. Dym unosił się tam dosłownie wszędzie, a więc w cztero-, pięcio- i sześćoosobowych pokojach, na korytarzach, w toalecie i umywalni z jednym prysznicem dla kilkudziesięciu mężczyzn, w dyżurce pielęgniarzy i w gabinetach lekarzy. Przy niżowych pogodach zwiślał

nawet nad miniaturowym dziedzińcem wewnętrznym, szumnie zwanym tu patio, na którego klepisku, zaprojektowanym jako kwiatowy klomb, stały na cienkich nóżkach popielniczki pełne osypujących się stosów petów. Ale przecież nie lepiej było na oddziale kobiecym. Wprawdzie samych palaczek pomieszkiwało tam o wiele mniej niż w części męskiej, jednak dym, mając to do siebie, że nie zna granic, rozlewał się równomiernie w całym budynku.

Oddział psychiatryczny Szpitala Powiatowego imienia doktora Bronisława Hagera w Tarnowskich Górach położony był na uboczu, w malowniczej okolicy, nie licząc oczywiście dominującego nad nią gigantycznego gmaszyska bloku głównego lecznicy. Nieprzypadkowo w dolinie rzeczki Dramy, na skraju starotarnowickich pól i parku repeckiego, tuż nad międzywojenną granicą polsko-niemiecką usadowił go jowialny, cieszący się autentyczną estymą miejscowych „Jorg”, czyli wszechmocny i wieczny wojewoda Jerzy Ziętek. Zanim z list faszyzującego bebewueru wybrany został do międzywojennego sejmu, ów późniejszy członek komitetu centralnego pezetpeeru, Frontu Jedności Narodowej, zbowidu i innych organizacji o podobnej reputacji, pełnił był w tarnogórskim samorządzie kilka urzędniczych funkcji. To dlatego później żywił dla miasta coś w rodzaju sentymentalnej czułości. Zresztą namiętność tę, wybaczywszy mu błędy młodości oraz wypaczenia starości, odda mu po latach tarnogórski lud.

Psychiatryk mieścił się zatem w kilku połączonych ze sobą parterowych pawilonach i z tej przyczyny powszechnie zwany był pogardliwie niskimi domkami, które to miano miało

w zamierzeniach posługujących się nim nasuwać skojarzenia z niskim poziomem intelektu pacjentów.

– I co nowego? – zapytała blondyna o rubensowskich kształtach, która wraz z gęstym zapachem słodkich perfum wpłynęła do dyżurki na oddziale kobiecym.

W bloku startowym czekała już na nią pracownica poprzedniej zmiany, gotowa do wyjścia i dlatego niezbyt skora do pogawędki w godzinach nadliczbowych.

– Eee, nic ciekawego – odparła zasuszona kobieta o nijakim wyglądzie.

– No, a ta tutaj, co za jedna? – Niedbałym ruchem głowy blondyna wskazała na stojące w korytarzu łóżko. Leżało na nim przypięte skórzanymi pasami, nieruchome ludzkie ciało, najwyraźniej kobiece; długie, płowe włosy rozrzucone po wezglowiu, głowa delikatnie zwrócona w stronę ściany i nieobecne, szeroko otwarte oczy trupa.

– W nocy ją przywieźli. Nafaszerowaną dopalaczami. Rzuciła się jak karp na Boże Narodzenie, ale widzisz, już grzecznutka jak wszystkie nasze prymusy. – Wkładając płaszcz, pielęgniarka uśmiechnęła się z satysfakcją funkcjonariusza z dobrze wykonanej roboty. – Tylko trzeba będzie zwolnić dla niej kogoś z akwarium, bo mamy komplet – dodała na odchodnym, zmiierzając ku wyjściu.

Akwarium było to pomieszczenie mieszczące się obok dyżurki pielęgniarskiej, od której oddzielała je przeszklona ściana. Umieszczenie w nim pacjenta należało do rytuału przyjęcia na oddział. Przede wszystkim jednak było preludium, po przejściu którego jasne stawały się panujące w placówce zasady, cel pobytu, miejsce rekonwalescenta w leczniczej hierarchii, a wszystkie dalsze

etapy i atrakcje traciły na wyrazistości, zbliżając, jak tylko może zbliżyć nieszczęście, współtowarzyszy w niedoli, pogrążonych w schizofrenii i depresji, alkoholików i narkomanów na odwyku oraz tych, których na czas udało się wyciągnąć spod kół pociągu.

Pacjent, który po raz pierwszy przekroczył próg lecznicy, zdezorientowany już samym widokiem zamkniętych w niej indywiduów, trafiwszy do akwarium, otrzymywał cios jak obuchem w łeb. Obleczony w piżamę, która do czasu opuszczenia pomieszczenia stawała się jego poniżającym uniformem, i pozbawiony przedmiotów, których do tej pory w najodważniejszych nawet snach nie utożsamiał z narzędziami zbrodni, a które takimi stawały się po przekroczeniu progu zakładu, w dzień i w nocy jak rybka w akwarium pozostawał na widoku każdego, kto zechciał zerknąć za szklaną ścianę – personelu, współpacjentów, odwiedzających ich gości.

O samodzielnym opuszczeniu tego osobliwego lokum nie mogło być mowy. Na wyjście do toalety, umywalni czy na papierosa chory obowiązany był otrzymać ustną zgodę dyżurującego pielęgniarza, a złamanie tej zasady skutkowało sankcjami w postaci zakazu kolejnego wyjścia. Krótkie momenty spędzone poza akwarium regulowane były jednak niemal wyłącznie przez potrzeby natury fizjologicznej, gdyż wszyscy osadzeni, dokarmiani końskimi dawkami środków uspokajających i usypiających, pobyt tu po prostu przesypiali. Tak jak Weronika Maszczyk.

W dwuczęściowej piżamie w uśmiechnięte słonie, pasującej do scenerii jak pięść do nosa, dziewczyna siedziała właśnie na brzegu starannie zasłanego łóżka i pochyłona niezgrabnie nad szafką nocną spożywała śniadanie. Tego dnia serwowano baltonowski chleb

z miniaturowym kawałkiem masła i taką porcją marmolady oraz kubkiem kawy zbożowej. Dziewczyna, wpatrzona tępo przed siebie, wolno przeżuwała posiłek.

Niedawno wstała, czuła się jednak zmęczona i ospała. Doskonale zdawała sobie sprawę z miejsca, w którym się znajdowała, oraz z wypadku, jaki był jej udziałem. Wiedziała również, że wizytę złożyli jej już funkcjonariusze lokalnej policji i że wskutek opinii lekarskiej rozmowa z nimi została przełożona na późniejszy czas. Choć tego wszystkiego była świadoma, całość odbierała w sposób bierny, niczym film, który toczył się poza nią samą i na którego fabułę nie miała żadnego wpływu. Brakowało jej sił do podjęcia samodzielnej refleksji nad wydarzeniami ostatnich dni, hospitalizacją i swoim stanem. Toteż siedziała sobie w tej chwili na skraju łóżka i żując jałowe pieczywo, obserwowała bez emocji mieniącą się wszystkimi barwami jesieni koronę klonu za oknem.

Niespodziewanie przed Weroniką wyrosła rubensowska diwa w pielęgniarzkim kitlu i, jak stwierdza się najbardziej oczywistą oczywistość, beznamiętnie oznajmiła:

– Kończy ucztę i zbiera manatki. Przenosi się pod ósemkę.

Dziewczyna podniosła wzrok na pielęgniarkę, przeniosła go na stojącą na stoliku kosmetyczkę, następnie wstała, wyciągnęła walizkę, raz jeszcze rzuciła okiem na łóżko, do którego straciła właśnie uprawnienia, i w milczeniu posłusznie podreptała za siostrą.

Miała szczęście. Otrzymała przydział do pokoju dla czterech osób, co nie było tutejszym standardem. Blond piękność bez słowa wskazała dziewczynie legowisko, po czym wyszła. Weronikę przywitały pytające spojrzenia trzech pozostałych pacjentek zamieszkujących ósemkę. Chciała im coś powiedzieć na powitanie,

ale zamiast tego stanęła przy posłaniu i z poczucia bezradności rozplakała się jak dziecko. Niemal jednocześnie kobiety przystąpiły do niej w milczeniu, jedna z nich pogładziła ją po twarzy, druga odezwała się ludzkim głosem:

– Nic złego cię u nas nie spotka. – A gdy dziewczyna nie przestawała szlochać, dorzuciła: – Ale płacz, wypłacz się. To trzeba wypłakać, będzie ci lżej.

Potem Weronika położyła się na swoim nowym łóżku, zwinęła do pozycji embrionalnej i zasnęła.

Kiedy się przebudziła, podawano już obiad. Jak zwykle w menu było coś, co dawało niezbędną do przeżycia energię, ale nic ponadto. Razem z nią w pokoju była jeszcze tylko jedna pacjentka, kobieta na oko czterdziestoletnia, o ładnej twarzy i zmęczonych, jasnych oczach, które niejedno w życiu zdawały się już widzieć.

– Wyspałaś się? – Uśmiechnęła się przyjaźnie, wlewając w rozwodnione spojrzenie odrobinę energii. A gdy dziewczyna odwzajemniła uśmiech, ta przedstawiła się: – Jestem Beata. – Wyciągnęła dłoń i podała ją nowej towarzyszce niedoli.

– Weronika – odpowiedziała i wyczuwając życzliwość starszej koleżanki, od razu zapytała: – Za co tu siedzisz?

– A czy to ważne? – Żar w oczach Beaty nagle zgasł.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Wiem, że nie chciałaś. Ale nie pytaj. To bez znaczenia. – Beata wróciła do posiłku. – Po wyjściu stąd tobie też przykleją łatkę – dorzuciła po chwili. – Niezależnie od powodu, dla jakiego tu trafiłaś.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, którą przerywały od czasu do czasu tylko delikatne stuknięcia sztucców. Weronika myślała nad tym, co powiedziała kobieta. Do stygnącego obiadu usiadła przy

małym stole, zwrócona w stronę otwartych drzwi na korytarz. Był to czas niczym niemającej sjęsty i przez otwór w ścianie widziała przesuujące się co chwila postaci. Wolno powłócząc nogami, dreptały wokół przeszklonego patio. W większości samotne, wpatrzone uparcie przed siebie, w jakiś niewidzialny dla wszystkich poza nimi samymi punkt, dziwnie sztywne, nie licząc nóg niemal nieruchome, jak figury na karuzeli poruszanej trybami mechanizmu.

Pochylona nad talerzem z posiłkiem, na który nie miała najmniejszej ochoty, obserwowała migające w drzwiach sylwetki niczym nadprzyrodzone zjawisko. Nieświadoma, że tracą moc pigułki, których południowej porcji po opuszczeniu akwarium dziś po raz pierwszy nie dostała, wyobraziła sobie przez moment, że w żyły pomału wraca jej życie. Pożałowała też ciszy, która po nieopatrzonym pytaniu zawisła w przestrzeni.

Właśnie wtedy Beata podniosła wzrok i utkwiwszy go w spojrzeniu Weroniki, powiedziała:

– Gdy spałaś, znów tu byli.

Weronika spojrzała na nią zdziwiona. Przez myśl przemknęła jej nawet obawa, że oto siedzi tu spokojnie z tą idiotką, nie wiadomo do czego zdolną. Pomna jednak na nadwrażliwość Beaty odegnała złą myśl, opanowała się i zapytała:

– Kto był?

– Ci sami, którzy cię odwiedzali, gdy byłaś w akwarium – odparła czterdziestolatka, ani na moment nie przerywając jedzenia.

– Policja?

– Nie wyglądali mi na policjantów. Ale cholera ich wie.

- Nie, poczekaj - zaniepokoiła się dziewczyna. - Co za jedni, jak wyglądali? Opowiadaj!

- Uspokój się - zdecydowanie, acz po przyjacielsku poradziła Beata. - Tu nie wolno okazywać nadmiaru emocji.

Weronika musiała wyglądać na mocno zdumioną, więc mrugnawszy porozumiewawczo okiem starsza koleżanka dodała:

- Dla ujawniających je mają tu w zanadrzu całą baterię ekstra atrakcji, od dodatkowych porcji proszków począwszy, przez totalny zakaz wyjścia, po pasy i takie tam.

Weronika nie była w tej chwili w ogóle ciekawa, co Beata miała na myśli, mówiąc o „takich tam”. Pragnęła dowiedzieć się tylko, kto mógł ją widzieć w piżamie w uśmiechnięte słonie, na dodatek zamkniętą w tarnogórskich niskich domkach. Kto uporczywie, jak wynikało to ze strzępów informacji pozyskanych od Beaty, próbował ją nawiedzać. I wreszcie, w jakim ów ktoś czynił to celu.

Całą siłą swojej woli wstrzymując podenerwowanie i ciekawość, odrzekła chłodno:

- Masz rację, muszę uważać na swoje emocje. - Po chwili zaś, jak gdyby nigdy nic, poprosiła: - Czy możesz ich opisać?

- Jakich ich? - Beata wyglądała na szczerze zaskoczoną pytaniem. - Kogo?

- No, tych, co do mnie przychodzili.

- Czego ode mnie chcesz? - warknęła starsza koleżanka. - Uspokój się, bo wezwę pielęgniarzy - ostrzegła.

Weronika szybko odwróciła wzrok. Bała się. Po raz pierwszy miała do czynienia z człowiekiem cierpiącym na poważne zaburzenia psychiczne. I nie wiedziała, jak ma się wobec niego zachować, gdyż tego akurat nikt jej dotąd nie nauczył. Wyszła zatem

na korytarz i znalazłszy wyrwę, włączyła się w wirujący korwód pacjentek. Po chwili dostosowała tempo i dała się porwać hipnotyzującemu tańcowi wariatów.

Rozdział XXIV

– Dziękujemy, to już chyba wszystko. – Funkcjonariusz w granatowym uniformie uśmiechnął się do świadka Weroniki Maszczyk, a następnie podniósł z krzesła i wyciągnął do dziewczyny rękę. Z satysfakcją odebrała ten drobny i pozornie nic nieznaczący gest, którego nie doświadczyła od początku hospitalizacji. Sprawił, że wychodząc z gabinetu, niespodziewanie poczuła sympatię do nieznanym parą policjantów.

A początkowo wcale się na to nie zanosilo. Choć na stawiane jej pytania odpowiadała wyczerpująco, sama z siebie dorzucając szczegóły, które uznawała za szczególnie istotne w sprawie, ze strony przesłuchujących nie wyczuwała należytego, w swoim mniemaniu, zrozumienia. Miejscami miała nawet nieodparte wrażenie bycia lekceważoną. Tak, jakby status pacjenta oddziału psychiatrycznego z jednej strony odbierał jej wiarygodności, a z drugiej – składanym przez nią zeznaniom dodawał posmaku dziwactwa i śmieszności. Zdawało jej się czasem, jakby funkcjonariusze porozumiewali się ze sobą bez słów i bez kontaktu wzrokowego, jakby wymownie tręcali się pod stołem, zdając się mówić: „Spójrz tylko na tę wariatkę, co za bzdury plecie”.

W istocie funkcjonariusze jednak niczego nie komentowali, mówili zresztą też niewiele, skrętnie za to notowali fakty i to zwłaszcza te, które sama dziennikarka skłonna była pominąć. Dopytywali o panujące feralnego dnia warunki pogodowe, mgłę na

drodze i wilgoć na jezdni. Interesowali się stanem technicznym pojazdu, chcieli wiedzieć, czy w škodzie sprawny był system abeesu, czy samochód wyposażono w przycisk do szybkiego odparowywania przedniej szyby i kiedy właściciel ostatnio wymienił filtr powietrza w kabinie. „Dramat – myślała, odpowiadając na kolejne, zdawało jej się, że bezsensowne, pytania. – Policja jak zwykle goni własny ogon zamiast przestępców”. Z minuty na minutę gasł w niej entuzjazm do śledztwa, a zarazem nadzieja na zrozumienie ze strony kogokolwiek.

Po przesłuchaniu, które za zgodą lekarza prowadzącego odbyło się w wydzielonym pomieszczeniu i przeciągnęło do późnego wieczora, Weronika wróciła do swojego pokoju. Współpacjentki już po ostatniej codziennej dawce różnokolorowych pigułek przyjęły ją nader obojętnie, poświęcając się z zapalem wpatrywaniu w punkty na ścianie, każda w swój własny, ten jedyny. I choć dziewczyna miała ochotę wygadać się, wyrzucić z siebie wszystko to, co nagromadzone w trakcie przesłuchania, teraz jej ciążyło, zrezygnowana zakopała się w pościeli i zasnęła.

Nazajutrz po śniadaniu, toalecie i rytualnym okrażeniu patio z braku ciekawszych propozycji podkurczyła nogi i wbiła się w najgłębszy kąt swojego łóżka. Czuła się tu w miarę bezpiecznie, o ile w ogóle poczucia bezpieczeństwa można szukać na oddziale psychiatrycznym szpitala powiatowego w Tarnowskich Górach. Miała tu swój punkt obserwacyjny, świątynię dumania, kawałek oswojonej przestrzeni. Tu spędzała najwięcej czasu, oparta o ścianę, do której przylegało posłanie, i o wezglowie, moszcząc je sobie poduszką.

W półśnie i na poły na jawie trwała tak skulona, Bóg sam jeden wie, jak długo, rozmyślając nad mroczną przeszłością Rybnej, która

stała się jej własną historią. Choć dla większości hospitalizowanych w niskich domkach i świadomych jego upływu czas był przekleństwem, jej samej jawił się teraz nieomal zbawiennie. Opuściwszy akwarium i wychodząc pomału z farmakologicznego ośpienia, całą swą aktywność kierowała ku analizie wydarzeń – tych, których na przestrzeni ostatnich tygodni była mimowolnym świadkiem, i tych, które zdołała odgrzebać w zakamarkach dziejów.

Lecz pomimo tego, że rozgrzewała swe szare komórki do czerwoności, wciąż brakowało jej ostatniego elementu, zwornika, który jak w gotyckim sklepieniu wieńczyłby całość, spinał żebra, pomiędzy którymi rozpościerają się wypełniające tę konstrukcję wysklepki. Tego zwornika, po wyciągnięciu którego sklepienie w momencie traci wszystkie naprężenia i zamienia się w kupę gruzu, w tysiące podobnych sobie i pojedynczo niezdatnych do niczego kawałków – tak jak zebrane przez dziennikarkę fakty z historii ostatnich właścicieli pałacu w Rybnej.

Od dnia swojego nieszczęsnego wyjazdu podskórnie czuła, że rozwiązanie zagadki śmierci w Rybnej, pałacu i Hannowaldu zna tylko Thomas Jeschke. Nic się jej w tym mężczyźnie od początku nie zgadzało, jego fizis nie współbrzmiała z psyche, był dla niej chodzącą sprzecznością. Sprzeczności sprzecznościami, ale dopiero jego zainteresowanie Weroniką i prowadzonym przez nią dziennikarskim śledztwem wzbudziło jej podejrzenia – zastanawiała się, skąd czerpał wiedzę o tym, że w ogóle je prowadzi. Jednak czarę goryczy przelała ostatnia jego wiadomość do dziewczyny sugerująca, że jest doskonale zaznajomiony również z planami jej wyjazdu – wyjazdu, o którym z całą pewnością mu nie wspominała. Była tego absolutnie pewna.

Analiza tych faktów i całej krótkiej znajomości z Thomasem poprowadziła dziennikarkę do wniosku, że od samego początku Niemiec zataczał wokół niej coraz węższe kręgi, osaczał ją, jak drapieżnik osacza swą ofiarę. „Skąd on się w ogóle tutaj wziął?”, pytanie pojawiło się w jej głowie nagle. Skoro już jednak mózg podsunął tę kwestię, sięgnęła po telefon i starym, sprawdzonym sposobem wpisała hasło: „Thomas Jeschke” do wyszukiwarki internetowej. W ten sposób bardzo szybko ustaliła, że mężczyzna o tym samym imieniu i nazwisku zatrudniony jest na kierowniczym stanowisku w Bürgerbüro w mieście Konz w Niemczech. Innych Thomasów Jeschke internet nie znajdował. Kilka kolejnych kliknięć pozwoliło jej dowiedzieć się z kolei, że Konz jest niewielką gminą znajdującą się tuż przy granicy z Luksemburgiem. „Dlaczego wcześniej nie wpadłam na to, by sprawdzić tego typka w sieci?”, wyrzucała sobie teraz.

„Czy jednak podczas pierwszego spotkania nie przedstawiono mi Herr Jeschkego, jako urzędnika z miasta partnerskiego Tarnowskich Gór?”, przypomniało jej się. Jako dziennikarka kojarzyła nazwę tej niemieckiej miejscowości, ale dla wszelkiej pewności sprawdziła.

– No właśnie, Bernburg – wyszeptała do siebie. Jak podpowiedziała jej internetowa mapa, miasta Bernburg i Konz oddalone są od siebie o ponad pięćset kilometrów i nic ich nie łączy. Konz zaś nie ma absolutnie żadnych związków z Tarnowskimi Górami.

– Mam cię! – Ucieszyła się, że przyłapała Thomasa na kłamstwie, i przeraziła jednocześnie na myśl, że całkiem niedawno pozwoliła sobie poczuć się w jego towarzystwie tak bardzo sympatycznie.

W momencie, gdy dotarła do niej waga własnego odkrycia, w drzwiach stanął on. Jego pociągła twarz w okularach na nosie wydawała jej się znajoma, jednak wyrwana z sennego otępienia nie potrafiła w pierwszej chwili prawidłowo zaszufładkować facjaty.

– Dzień dobry, czy można? – Uśmiechnął się szarmancko i wyciągnął w kierunku Weroniki bukiet fiołków. Wtedy blokada w jej głowie puściła i uświadomiła sobie, że oto stoi przed nią ten sam elegancki mężczyzna, który najprawdopodobniej uratował jej życie. A w każdym razie na pewno pomógł jej wydostać się z zablokowanego samochodu.

– Dzień dobry, oczywiście, można. – Na tyle, na ile to było możliwe, opanowała zdziwienie i odwzajemniła uśmiech.

– Przejeżdżałem w okolicy i postanowiłem panią odwiedzić. – Elegant poczuł się w obowiązku usprawiedliwienia najścia, ale dziewczyna starała się nie sprawiać wrażenia, jakby to było konieczne. – Wprawdzie już się pani przedstawiałem, ale na wszelki wypadek niech będzie jeszcze raz: Mateusz Kallter jestem, proszę, mów mi Mateusz.

– Tak, oczywiście, pamiętam – skłamała z wdziękiem. – Weronika Maszczyk.

Pomimo tego, że zdawał się być bywalcem nietracącym rezonu w żadnej sytuacji towarzyskiej, na oddziale psychiatrycznym Mateusz wymiękł, poczuł się cokolwiek nieswojo i na dodatek niezbyt potrafił to ukryć. Widząc więc zakłopotanie swojego gościa, którego wejście do pokoju nie zdołało wyrwać współlokatorek Weroniki z uporczywego studiowania swoich punktów na ścianie, dziennikarka zaproponowała, by przenieśli się na korytarz i usiedli przy jednym ze spowitych papierosową mgłą stolików.

Z ulgą przyjął jej propozycję i po kwadransie atmosfera rozmowy tych dwojga rozrzedziła się do tego stopnia, że co rusz wybuchali głośnym śmiechem, wzbudzając zgorszone spojrzenia personelu, skorego do przyjmowania ról więziennych klawiszy. Weronice udało się nawet na moment zapomnieć o Rybnej i ponurym pawilonie, w którym się znajdowała, a Mateusz porzucił styl światowca, który wyjątkowo nie pasował do miejsca.

– Nie przypuszczałbym, że potrafisz tak szybko biegać – parsknął na wspomnienie ostatniego spotkania pod Ptakowicami.

– Sama tego nie wiedziałam – odparowała ze śmiechem. I dodała:
– Człowiek uczy się siebie przez całe życie.

– Mogłabyś pisać aforyzmy, wiesz, złote myśli. Nieźle ci to wychodzi – podsumował mężczyzna.

– Tak sądzisz? Przedstawię twoją sugestię szefowej, jak wrócę do pracy. – Roześmiała się i właśnie wtedy zobaczyła wchodzącego na oddział Karola.

Jak każdy, kto po raz pierwszy przekracza próg psychiatrika, wyraźnie dezorientowany osobliwym pejzażem, szedł, rozglądając się na lewo i prawo. Nie widział jej i skierował się w stronę dyżurki, gdzie zwrócił już sobą uwagę pielęgniarek. By mu ułatwić, podniosła się z krzesła. Wtedy ją dostrzegł, a na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Przyspieszył kroku i po chwili stanął nad stolikiem, przy którym siedziała z Mateuszem.

– Cześć, Weronika – przywitał się. – Przyszedłem cię odwiedzić, ale chyba niezbyt w porę? – Był najwyraźniej zdziwiony obecnością nieznanego mu i niepasującego do otoczenia eleganta.

– To może ja już nie będę państwu przeszkadzał. – Widząc zmieszane spojrzenia młodych, dyplomatycznie postanowił

Mateusz, zbierając się do wyjścia.

– Nic z tych rzeczy – powstrzymała go dziewczyna. – Tak rzadko mam okazję porozmawiać tu z kimś normalnym... – Roześmiała się nieco nerwowo, a za nią śmiechem wybuchnęli obaj goście. – Mateusz, Karol, Karol, Mateusz – nie czekając na rozwój sytuacji, przedstawiła wzajemnie mężczyzn, którzy podali sobie dłonie i usiedli.

W tej samej chwili na oddziale pojawił się ktoś jeszcze. Ktoś, kogo najmniej spodziewała się zobaczyć właśnie teraz. Redaktor Maciek Jarzyna ani trochę nie sprawiał wrażenia zakłopotanego. Dostojnym krokiem płynął korytarzem całym swoim dwucetnarowym jestestwem, z zaciekawieniem zaglądając tu i ówdzie.

– Hełoł! – zawołał na powitanie, ujrawszy Weronikę.

– Cześć, Maćku. I ty tutaj? – Tym razem nie potrafiła już ukryć zdziwienia.

– I owszem. Do tego, jak widzę, w doborowym towarzystwie – odpowiedział i nim zdążyła go przedstawić, już witał się z pozostałymi gośćmi. Z Mateuszem nawet całkiem wylewnie, gdyż okazało się, że panowie znali się dobrze już wcześniej.

– No i jak się miewasz, moja droga? – Maciek nie potrafił wyzbyć się swego protekcjonalnego tonu, którym zawsze irytował Weronikę, ale do którego zdążyła przywyknąć, i teraz jawił się jej jak miłe wspomnienie czasu minionego.

– No, wiesz, jak by ci to powiedzieć... – Trochę się jednak spieszyła. – Dużo śpię, odpoczywam, zajadam się kolorowymi drażetkami, po których znowu śpię i odpoczywam, a w wolnych chwilach wchodzę na orbitę – ruchem głowy wskazała rozmówcy sunący korowód kobiet – i krążę wokół patio.

– Jak to w wariatkowie. – Redaktor zerknął i skomentował we właściwy sobie sposób. Przysłuchując się rozmowie, pozostali goście z zaciekawieniem obserwowali snujące się jednostajnie kobiety.

– A twoje śledztwo? – Jarzyna znów zapytał bez zbędnych ceregieli. – Posunęło się do przodu?

– Od zeszłego tygodnia średnio mam możliwość cokolwiek śledzić – odpowiedziała rozdrażniona pytaniem. – A wszystko to, co ustaliłam, masz przecież na mailu – dodała, mając na myśli obszerną wiadomość, jaką w przeddzień wyjazdu wysłała Maćkowi w poczuciu koleżeńskiego obowiązku.

Spojrzał na dziewczynę i odparł znudzonym głosem:

– Zapomniałem.

Po chwili ciszy, która niezręcznie zawisała nad rozmową, Weronika podsumowała:

– Powinna cię była posłuchać i dać sobie spokój, zanim wpackowałam się w tę śmierdzącą sprawę.

– Sprawa na pewno się wyjaśni, a redaktor Maszczyk napisze z niej trzymający w napięciu reportaż – wypalił Karol, jak mu się zdawało, na pocieszenie.

– Już się wyjaśniła – dodał Maciek i manifestacyjnie zamilkł.

– Co masz na myśli? – Weronika się zainteresowała.

– Ustalenia policji powiatowej. – Widział i wiedział, że zżera ją ciekawość, ale nie zamierzał rezygnować ze swego stylu prowadzenia rozmowy.

– Panowie, oto Maciej Jarzyna we własnej osobie. Pozwólmuy mu popuszyć się chwilę swoją wiedzą, to może wreszcie nam coś łaskawie powie. – Ewidentnie nie wytrzymała napięcia.

- A powie, powie, owszem. Dlaczego miałby nie powiedzieć? - zapytał filozoficznie i znowu zamilkł. Po dłuższej zaś, poczynionej świadomie, dla zwiększenia efektu pauzie, dodał: - Ktoś próbował cię zlikwidować.

Nad stolikiem zajęтым przez dziennikarkę i trzech mężczyzn zapadła złowroga cisza. Przerwał ją dopiero Mateusz:

- Piłeś? Nie jedź - powiedział, licząc zapewne na rozładowanie atmosfery. A gdy wyczuł, że niezbyt mu się to udało, dodał: - Jeśli coś wiesz, mów od razu i nie znęcaj się dłużej nad koleżanką. Weź pod uwagę, w jakim miejscu się znajduje.

- Panie i panowie, tylko spokojnie - Maciek zdawał się brnąć w zaparte. - Po pierwsze, tak, piłem. To chyba jeszcze nie jest zakazane? - rzucił w przestrzeń. - Po drugie, oddział psychiatryczny jest takim samym oddziałem, jak, dajmy na to, chirurgiczny. Po trzecie zaś...

- Panie Maćku, wystarczy! - Włączył się Karol, ale poza apelem na więcej nie było go stać.

- Po trzecie zaś - podjął niezrażony redaktor - com powiedział, powiedziałem, albowiem co ustalili śledczy z Bytomskiej, się dowiedziałem.

- Co? - jednym głosem zawołał chórek damsko-męski.

- Otóż to, że twój wypadek nie był, droga Weroniko, przypadkiem, ani tym bardziej nie był efektem braku umiejętności prowadzenia pojazdów mechanicznych, lecz - w tym miejscu ponownie zatrzymał się, by podnieść amplitudę napięcia - jak to określają specjaliści od języka urzędowego, wypadek twój był wynikiem działania osób trzecich. - Co rzekłszy, rozparł się jeszcze

wygodniej na wątlm krzeselku i spoglądał z zadowoleniem na nietęgie miny rozmówców.

– Kogo? Jakich osób trzecich? – Weronika nie ukrywała wzburzenia.

– O tym moje źródło na komisariacie mi nie doniosło – odparł spokojnie redaktor „Wiadomości Tarnogórskich” – gdyż, jak podejrzewam, ogary nasze powiatowe tego nie wiedzą. Ale wężą dzielnie i być może nawet się dowiedzą.

„Czułam to, wiedziałam, ale tłumiłam w sobie”, pomyślała Weronika. Na głos powiedziała jednak tylko:

– Boże! – I zamilkła.

– Panowie – z szeregu wyrwał się Mateusz Kallter – nie możemy dziewczyny zostawić z tym samej.

– Zgadzam się – dodał Karol. – Jeśli ktoś czyha na jej życie, nawet tu nie jest bezpieczna – orzekł tak, jakby najbardziej zainteresowanej nie było na miejscu.

– Cóż mielibyśmy zrobić? – zapytał Maciek. Nikt mu jednak nie odpowiedział, gdyż przy stoliku zjawił się kolejny gość. Był nim Thomas Jeschke.

Rozdział XXV

Pojawienie się Thomasa w szpitalu było dla Weroniki ciężkim szokiem. I choć ze wszystkich sił starała się tego nie pokazać, w głębi duszy czuła, że nie podoła natężeniu emocji, że zaraz się rozsypie. Dopadł ją lęk. Przemoczny, paraliżujący lęk, większy niż wszystkie strachy, z jakimi do tej pory musiała się mierzyć. Była na granicy paniki, nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Oto bowiem stał przed nią ten, o którym jeszcze dziś rano myślała, jak o sprawcy wszystkich swoich nieszczęść. A po rewelacjach Maćka o ustaleniach policji na temat wypadku, w którym mogła, w którym miała przecież zginąć, zaczął jawić się jej jako zagrożenie. Do momentu, gdy go ujrzała, było to zagrożenie wprawdzie realne, ale jednak w jakiś sposób odległe, a przez to mniej obecne. Teraz zaś zmieniło się w zagrożenie bezpośrednie.

Thomas Jeschke stał nad nią i uśmiechał się nieśmiało, jak zwykle był to czynić, lecz im dłużej trwała ta krępująca chwila zawieszenia, tym bardziej uśmiech z twarzy gościa znikał, a dziewczyna dostrzegała na niej tylko rysujący się coraz wyraźniej grymas czarta.

Wtedy odezwał się Mateusz:

– Czy ktoś napije się kawy? W przedsionku jest automat. – Gotowy przyjąć zamówienia, podniósł się z krzesła. To właśnie wtedy do Weroniki dotarło, że póki znajduje się w gronie przyjaciół, jest bezpieczna. Musi zatem za wszelką cenę zatrzymać swoich gości, nie może dopuścić, by zostawili ją sam na sam w obliczu

zagrożenia, z Thomasem. Nadprzyrodzonymi, zdawało jej się, siłami opanowała się i postanowiła zagrać w roli, w której obsadziło ją życie.

– Sześć – przywitał się po swojemu Thomas.

– Witaj – odpowiedziała beznamiętnie.

– Ficę, że masz gościów. Ja nie chce przeszkacać. Czy możesz poświęcić mnie mała chfile jednak? – cedził pomału w trudnym dla siebie języku obcym.

– Usiądź z nami – zaproponowała przytomnie.

– Nie, ja napraffde nie chce wam przeszkacać. Dosłoffnie jedna minutka ci zabiorę, nie wiecej. Posffól, proszem – nęcił.

– Siadaj, bracie – z opresji wybawił Weronikę Maciek, który podsunął gościowi sąsiednie krzesło. – Nikt cię tu nie ugryzie.

Jeschke usiadł, ale widać było, że czuje się nieco zmieszany towarzystwem, którego nie znał i którego najwyraźniej nie spodziewał się zastać w tym osobliwym miejscu. Jarzyna sam z siebie opowiedział mu, co przydarzyło się koleżance Maszczyk – jak ją sam nazywał. W tym czasie dziewczyna milczała, spoglądając ukradkiem na gościa, ale nie wydał się jej szczególnie zdziwiony opowieścią.

– Fijem, że jesteś w szpitalu, i fijem tesz, że miałaś fypadek – oznajmił. Po chwili zaś, widząc jak mu się przygląda, dodał speszony: – Dlatego psziszędłem ciem odficieć.

Powróciwszy z pierwszą partią kaw, Mateusz oświadczył, że przypomniał sobie, że zna kogoś, kto z kolei zna ordynatora oddziału psychiatrycznego. Dzięki temu pielęgniarki z dyżurki udostępniły gościom redaktor Maszczyk nieczynne pomieszczenie dawnej biblioteki. I nieco łaskawszym, zdaje się, okiem spoglądały na to

egzotyczne konsylium, które gremialnie przeniosło tam swe posiedzenie. Towarzystwo rozlokowało się wokół owalnego stolika. Z wyjątkiem redaktora Jarzyny, usadowionego niczym woźnica na koźle, pozostali, trwając w skupieniu i w napięciu, opierali się łokciami o blat stołu, jakby w gotowości do skoku.

W pomieszczeniu panowała cisza. Zakłócało ją od czasu do czasu tylko ociężałe muszysko zataczające elipsy, kręcące piruety, bezczelnie bzyczące i przysiadające gdzie bądź dla zaczerpnięcia oddechu tudzież dla przyjęcia aplauzu publiczności. Do czego jednak nikt się nie kwapił, wszyscy bowiem ciężko rozmyślali. Argumenty za i przeciw ważyła w myślach zwłaszcza Weronika, z której w obliczu przeżyć wyparowały resztki szpitalnego otępienia. W końcu postanowiła zagrać *va banque*.

– Panowie – zagaiła uroczyście – skorośmy się już zebrali...

– W tak pięknych okolicznościach przyrody i tego... – z kamienną miną wybił ją z rytmu niezawodny Jarzyna.

– Panie Maćku, proszę – upomniał go Karol i westchnął ciężko, jak wzdycha nauczyciel nad kolejnym wybrykiem niesforne go ucznia.

– Zatem – podjęła dziewczyna – pozwólcie, że zreferuję wam wszystko, czego dowiedziałam się, częściowo sama, częściowo z tu obecnym redaktorem Jarzyną, o Rybnej. Będzie to opowieść, w której współczesność płacze się z historią. Nie mam oczywiście pewności, czy zawsze prawidłowo je przeplatam, czy dobrze łączę fakty, czasem może bardziej to czuję, niż wiem, ale – zatrzymała się – pomóżcie mi, proszę, rozwiązać to równanie z wieloma niewiadomymi.

– Pięknie powiedziane – zauważył Mateusz. – Mówiłem, że masz skłonność do formułowania sentencji.

Weronika zignorowała uwagę Kalltera, zbyt zajęta była meritum.

– Otóż w połowie września do Tarnowskich Gór przylatuje niejaki Jens Stolpe, adwokat z Dortmundu. Spośród kilku hoteli w naszym mieście wybiera położony na uboczu pałac w Rybnej. Jaki jest cel przyjazdu mecenasa? Tego nikt nie wie, ale sprawa, którą ma tu do załatwienia, nie może być byle jaka. Gość nie jest zwykłym adwokatem, jest współwłaścicielem dużej i renomowanej kancelarii. Stolpe ginie jednak zamordowany, a jego ciało w lesie za rezydencją znajduje mój przyjaciel Karol Kampka. Zwłoki mecenasa zlokalizowane są dokładnie w tym zagajniku, który najstarsi miejscowi nazywają Hannowaldem, czyli lasem Hanna. W nim to właściciele dworu, rodzina von Koschützkich, do początków dwudziestego wieku grzebali swoich zmarłych. W tym samym czasie piszę artykuł o historii pałacu w Rybnej. W celu poznania szczegółów, których, jak się spodziewałam, może nie być w oficjalnej publikacji, spotykam się z panem Franciszkiem Kampką, zresztą dziadkiem Karola. Od słowa do słowa dowiaduję się, że Egon von Koschützki miał nieślubne dziecko. Trochę drążę temat w aktach parafialnych w Strzybnicy i udaje mi się potwierdzić tę rewelację. Bastardem okazuje się, uwaga, uwaga, kto? Właśnie pan Franciszek. W drugiej i ostatniej naszej rozmowie przyznaje, że istotnie jest synem z nieprawego łoża ostatniego pana na Rybnej. Prosi jednak o dyskrecję. W czasie, gdy do Tarnowskich Gór przybywa mecenas Stolpe, prawie dziewięćdziesięcioletni pan Franciszek zmienia się, staje się bardziej aktywny, żwawy, pełen energii. A gdy dowiaduje

się, że adwokat ginie zamordowany, popada w apatię, gaśnie w oczach.

– Chwila – wtrącił się Karol – niczego takiego nie zauważyłem, a przecież mieszkałem z dziadkiem pod jednym dachem!

– Co jednak nie znaczy, że tak nie było. O wyraźnej zmianie zachowania Franciszka powiedziała mi jego synowa, a twoja mama.

– Rozmawiałaś z moją mamą? – W tonie pytania Karola wyczuła pretensję.

– Owszem – odpowiedziała i niezrażona pociągnęła wątek. – Wkrótce Franciszek Kampka umiera. Powodem zgonu jest uraz wywołany upadkiem ze schodów. Śmierć dziewięćdziesięciolatka wszyscy uznają za oczywistą oczywistość. Jednak moim zdaniem taką nie była. Coś mi w tej Rybnej śmierdzi, ale wtedy nie wiem jeszcze co. Szukam więc po omacku, badam, macam, chwytam się różnych tropów. Udaje mi się ustalić, że sprzedaż rezydencji i wyjazd arystokraty wcale nie są takie przejrzyste, jak się je opisuje. Po trzecim powstaniu śląskim i przejęciu Tarnowskich Gór z wiejską Rybną przez Rzeczpospolitą nasilają się ataki na von Koschützkich, którym z urzędu przypisuje się niemiecką tożsamość i zarzuca wrogość wobec nowej władzy. Ich nowa rzeczywistość to napastliwe artykuły w lokalnej prasie, problemy piętrzone, o ile wręcz nie tworzone, przez miejscową administrację i narastająca niechęć ze strony sąsiadów. To właśnie nagonka staje się bezpośrednim powodem decyzji von Koschützkich o zbyciu majątku pozostającego w rękach rodu od dziesiątków lat i o przeprowadzce kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód, w okolice Raciborza i Koźła, na drugą stronę granicy.

Tam, w posiadłości rodziców żony Egon, we Wroninie, wiodą sielskie życie przez kolejne ponad dwadzieścia lat. Z Rybną zrywają wszelkie więzi. Nim to jednak uczynią, z Hannowaldu wykopują nawet trumny, które ponownie grzebią w nowym miejscu. Ostatni pan na Rybnej Egon von Koschützki umiera w rok po zakończeniu drugiej wojny światowej i kolejnym przymusowym przekwaterowaniu, tym razem do Bawarii. Co do jego spadkobierców, to syn Krzysztof zdąży polec w szeregach Wehrmachtu jeszcze pod sam koniec wojny. Spośród zaś córek Anna-Ilza wraz z mężem i dziećmi osiedla się na ranczo w Namibii, w Afryce, i nie jest w ogóle zainteresowana majątkiem pozostawionym w Europie. Waltraud przebywa w zachodnich Niemczech. To właśnie ona aż do swojej śmierci utrzymuje kontakt z przyrodnim bratem Franciszkiem, który staje się *de facto* ostatnim żyjącym męskim potomkiem rodu von Koschützki. A tym samym również dziedzicem posiadłości.

- Po leguńcu z powstańcami, jak to piyrwyj godali - wtrącił się znienacka Maciek Jarzyna. - Twoja hipoteza pozostaje słuszna, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze, że brat Egon, ów Hanno von Koschützki, faktycznie młodo zmarł i nie pozostawił po sobie, jako starszy, jakichś bobasków. Byłaś przecież w Grzędzinie i pamiętasz pustą trumnę. I po drugie, że znalazłby się sąd, który po dziewięćdziesięciu latach dałby się przekonać bajeczką o sprzedaży pałacu pod presją.

- Widzę, że odrobiłaś zadanie domowe, redaktorze. - Uśmiechnęła się sztucznie. - Co do pierwszego faktu, to znaczy do tego, że Egon był jedynym żyjącym mężczyzną z linii rodu, nie ma

żadnych wątpliwości. Historyk i specjalista od genealogii górnośląskiej szlachty, ten, no... – zawiesiła się.

– Doktor Drucki-Kownacki – przypomniał jej Mateusz Kallter.

– Właśnie ten – podchwyciła – zaświadczył, że znalazł w jakichś starych księgach czy gdzieś tam jeszcze, że brat Egona Hanno von Koschützki zginął podczas pierwszej wojny światowej we Francji. Sama zaś widziałam potwierdzenie tego w ewangelickim kościele Zbawiciela na rynku w Tarnowskich Górach. W bocznej nawie zawieszono tam tablicę z nazwiskami parafian poległych w czasie wojny, wśród innych wymieniony został i Hanno. Co do drugiego zaś warunku, redaktorze, to...

– Niepraffda – wtrącił się nagle Jeschke.

– Co niby jest nieprawdą? – zapytała zaskoczona.

– To, że Hanno von Koschützki jes umarty w światofej fojnie – odpowiedział spokojnie, po czym dodał: – Ale móf dalij, saras to fyjaśnie.

– Co do drugiej zaś obiekcji – wyraźnie zbity z tropu słowami Thomasa próbowała podjąć przerwany wątek – to nie znam się na prawie, jednak podobno, tyle zapamiętałam z wykładu adwokata, podstawą zawierania wszelkich umów jest zasada dobrowolności, która oznacza, że nikogo nie można przymusić do sprzedaży albo kupna. Zgadzam się, że pozostaje kwestia udowodnienia przymusu, co po tylu latach może być bardzo trudne. W świetle dostępnych dokumentów, a także badań historycznych, udowodnić wszak można atmosferę nagonki na von Koschützki, jaka zapanowała w Tarnowskich Górach po przyłączeniu miasta do Polski. To zresztą całkiem logiczne, że po zawieszeniu broni wzajemne animozje

między dwoma narodami, które jeszcze chwilę wcześniej pozostawały w stanie wojny, nie ustały z dnia na dzień.

W oddziałowej bibliotece ponownie zapadła cisza. Weronika nie potrafiła się zdecydować, czy dopytać teraz Thomasa, co miał na myśli, zarzucając jej nieprawdę, czy też kontynuować sprawozdanie ze śledztwa. Jednak przez myśl przebiegło jej, że swoją historyjką Niemiec będzie chciał odciągnąć uwagę od własnej roli w tej mrocznej awanturze. Postanowiła do tego nie dopuścić, a przynajmniej dopóki nie opowie zebrany o wszystkim, co wie i czego się domyśla, w tym również na temat Thomasa Jeschkego. „Tylko w ten sposób, ujawniając podejrzanego, zapewnię sobie bezpieczeństwo”, postanowiła.

– Podczas jednego ze spotkań – przerwała w końcu ciszę – pan Franciszek pokazał mi przechowywaną z pieczołowitością korespondencję z siostrą Waltraud, a także coś jeszcze. Wtedy nie zwróciłam na to baczniejszej uwagi, choć dostrzegłam przecież, że dla starego Kampki przedmiot ten stanowił szczególną wartość. Był to kawałek starego materiału, serweta, jakiej niegdyś używano przy posiłkach. W jej rogu wyhaftowano herb von Koschützkich, a także inicjały właściciela tkaniny, E.v.K., czyli, jak nietrudno się domyślić, Egona von Koschützkiego. W ten sposób wracam do przerwanego wątku. Myślę bowiem, że Franciszek Kampka, a raczej Franciszek von Koschützki, stał się spadkobiercą rodzowego majątku. Jestem też przekonana, że składając na ręce brata, zgodnie z wolą umierającego ojca, jego własną, Egona von Koschützkiego, serwetę, Waltraud symbolicznie przekazała mu o wiele więcej, mianowicie uznanie synostwa, primogenitury i tym samym rodzowego pierwszeństwa do spadku.

W szpitalnej bibliotece znów zapanowała cisza. Trudno powiedzieć, jak długo trwała. Przerwały ją dopiero oklaski. Oparty już teraz na krześle, z założoną niedbale nogą na nogę, klaskał Thomas Jeschke. Jego zachowanie było na tyle nieoczekiwane, że pozostałych uczestników zebrania wprowadziło w osłupienie. Wszyscy z zainteresowaniem oczekiwali też na ciąg dalszy przedstawienia, które stawało się coraz bardziej ekscytujące. Wszyscy z wyjątkiem Weroniki, która za wszelką cenę nie chciała pozwolić Thomasowi na przejęcie inicjatywy, gdyż do zakomunikowania pozostałym miała jeszcze przecież swoje podejrzenia na temat tego człowieka.

– *Bravo! Bravo!* – Jeschke okazał się szybszy. – Jessem poruszony, *Fräulein Editor*. Napraffde, kafau solidnei roboty.

– Czuję także, że śmierć Franciszka Kampki łączy się z morderstwem mecenasa... – próbowała wejść mu w słowo.

– *Noch nicht jetzt, meine Veronike*¹¹¹. – Ale nie pozwolił jej na to. – Odfaliłaś kafau solidnei roboty, ale twoja opowieść ma jeden słaby punkt. Jes nim Hanno von Koschützki, któren nie sginou in Frankreich, aber sdeserterofau s pola bitfy. Ich weiß es besser¹¹².

– Jakie to ma znaczenie? – broniła się jeszcze, spoglądając wymownie na Maćka, jakby to w nim szukała ratunku. Ale redaktor „Wiadomości Tarnogórskich” pochłonięty był głaskaniem swojego telefonu.

– Posłuchaj. Nikt nie wiedziało o desercji Hanno. Ani jego ojciec, co umar był se sgrysoty, ani brat Egon, ani dzieci Egona. Po tym jak uciek z pola bitfy, ukrywau sie na wsi pod miastem Metz, a nastempnie oszenił sie po fojnie z córka gospodarza i zamieszkał in Trier. Czyli f Trewirze, jak móficie. Umar f roku dziewientnaście sto trzy und osiemdziesiont.

- A napis w kościele ewangelickim, a zapiski w starych księgach, a grób w Grzędzinie, a Hannowald? - Weronika nie dowierzała własnym uszom.

- Som na pefno prawdziffe, nie może być inaczej, skoro wszyscy mieli Hanno za umartego - odpowiedział pewny siebie.

- Skąd o tym wiesz? Nie wierzę ci! - wykrzyknęła.

- Veronike, bitte. Jestem jego fnuk - oświadczył ze stoickim spokojem tak, że tym razem nawet redaktor Jarzyna podniósł wzrok znad ekranu telefonu, a spojrzenia wszystkich utkwiły w twarzy Thomasa Jeschkego. Wytrzymał je jednak i powtórzył: - Tak, moja pani i moje panoffie, jestem fnuk od Hanno von Koschützki.

Rozdział XXVI

Wodziła oczami za wielką zieloną muchą, która niestrudzenie zataczała ósemki nad szpitalną biblioteką. Nie słyszała jednak jej drażniącego bzyczenia. Nie słyszała zresztą już w ogóle niczego. Zapadła jakby w letarg, w jakieś zawieszenie rzeczywistości czy jeszcze inny stan tymczasowości. Nie spodziewała się usłyszeć od Thomasa takich sensacji, jednak błyskawicznie je przyswoiła i teraz usiłowała połączyć w jedną układankę z dotychczasowymi ustaleniami. „Hanno, Trewir, Jeschke, Konz, serweta – dociekała – to zaczyna do siebie pasować”.

– Od pewnego czasu czułam, że to ty – jej usta nagle i niejako bezwiednie powiedziały do Thomasa.

– Tak, to ja – zgodził się, najwyraźniej nie rozumiejąc, co dziewczyna miała na myśli.

– Co ci zrobiłam, że pragniesz mojej śmierci?

Nad owalnym stolikiem zapadła atmosfera konsternacji. Nieoczekiwanie przerwał ją Karol Kampka:

– Odpowiedz jej – polecił Thomasowi. – I tak się już nie wymigasz.

– Veronike, panoffie... – Dopiero po chwili dotarło do niego, o co zamierzają go oskarżyć, ale w przeciwieństwie do młodych nie stracił panowania nad sobą. – Jesteście w buendzie, jeśli myślicie, że to ja stojem za tym wszystko.

- Tylko ty wiedziałeś o moich planach wyjazdu do Dortmundu, tylko ty znałeś termin, a tylko tobie o tym nie powiedziałam! - Nawet nie próbowała już powstrzymać fali złości. Była nie do powstrzymania. - Thomasie Jeschke, a może Thomasie von Koschützki, a może Herr Kurprinz1?

- Nie wiem, co komu powiedziałeś i kto zna twoje plany - odpowiedział rzeczowo. - Mnie w każdym razie sama napisaleś o podróży do Niemiec. Chciałaś przecież zobaczyć serwetę mojego dziadka. Czyż nie?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie. - Nie! Napisałam do właściciela serwety, na adres kurprinz1@de.

- Przepraszam. Powinno się nazywać Thomas von Koschützki - kontynuował - ale jestem Jeschke. Mój dziadek też był Jeschke i mój dziadek Hanno był Jeschke też, bo przyjął nazwisko żony, mojej mamy¹¹³, która ostatecznie zdecydowała się zerwać z przeszłością. - Mówiąc to, patrzył na przemian to na Weronikę, to na Karola. - Przepraszam, to ja jestem Kurprinz1, taki adres email wybrałem sobie wiele lat temu. Serweta z internetu to też przepraszam. Należała do mojego opy¹¹⁴ i była jedynym jego suwennikiem z Rittergut Rybna, który opuścił, wyjeżdżając na wielką wojnę w roku pięćdziesiątym sto pięćdziesiątym i do końca nie wrócił. Dla moich rodziców i dla mnie serweta nie stanowiła żadnej wartości, dlatego postanowiłem ją sprzedać. Ale nikt jej nie kupił, zapomniałem o niej. A potem, po latach, ty ją odgrzebałaś w internecie i napisałaś. Oto cała tajemnica. - Zjrzał głęboko w oczy Weroniki, ale dostrzegł w nich tylko furję.

- Mogłaś od razu mi to napisać w mailu - odparowała natychmiast.

- Tak, moguem - potwierdził. - Ale nie musiauem. To szadna zbrodnia. Chciauem srobić ci niespodzianke na miejscu, kty przyjeciesz. Poza tym - dodał - napisauem ci przeciesz, że bende u siebie. Czysz nie?

- Jeschke, weź nie pierdol! - Młody Kampka aż poderwał się z krzesła. - Mnie nie wciśniesz tego kitu.

- Herr Kampke, bitte. - Thomas zdawał się trzymać nerwy na wodzy. - Jest coś jeszcze - oznajmił. - Nie pojauiem się w Tarnowskie Kury przypadkofo. Tak, jak wyfnioskowaua Veronike, Egon von Koschützki richtig sapisau w testament dla Herr Franz Kampka usnanie go za syna i przijencie do rodziny. Naturalnie, było to rófniesz pszekasanie ta sprawa majontkofa. Realisacje testamentu Egon powieszył seiner Tochter¹¹⁵ Waltraud, a ona satrudniua Rechtsanwalt aus Dortmund¹¹⁶. Sanim doktor Stolpe przijechau nach Polen, otnalast meine Mutter und mich¹¹⁷. Fater jes jusz umarty. Chciau fiecieć, czy - zamilkł, szukając odpowiednich słów - ob wir auf das Recht auf Eigentum in Rybna verzichten¹¹⁸.

- Czy będziecie rościli prawa do majątku w Rybnej - przetłumaczył Mateusz Kallter przytomnie.

- Genau¹¹⁹. Dziadek Hanno serfau fszysko, co uonczyuo go s Oberschlesien. My nie fieszyl f żaden maiontek i obiecali go sostafić w pokoju. Doktor Stolpe musiau mieć to na piśmie, wienc ja postanofiuem pszijechać, coby posnać onkel Franz¹²⁰, bratanek dziatka aus Polen, historia naszej familii i nie rościć te prawo do Schloss¹²¹ Rybna.

- Musimy natychmiast zawiadomić policję - Karol ponownie wszedł w słowo Thomasowi.

- Das ist noch nicht alles¹²². - Jeschke nie zwrócił uwagi na apel młodego Kampki. - Mit Doktor Stolpe und Herr Franz Kampke ja spotkau sie w domu koło pałacu. Herr Kampke był wirklich¹²³ wsruszony. Mnie tesz pokasyfau te briefe von Waltraud i ta serweta. A ja pokasau mu serweta von dziadek Hanno. Papiyre, że ja nie rościć prawo do Schloss Rybna, doktor Stolpe miau pszigotofane, ale umófilu my sie na podpisanie ten dokument na nastempny cień w Hannowald, nad symboliczny grób ot opa Hanno. Potem Herr Kampke uroczyście ośfiatczył, że szreka sie Schloss Rybna na rzecz miasto Tarnowskie Góry. Pofieciau, że cały szycie mieszkau w domu przy pałacu, a na staroś, na staroś - znów się zawiesił, szukając odpowiednich słów - na staroś to starych trzef sie nie przesadza.

- Stary dureń - wyrwało się Karolowi, czym zwrócił na siebie uwagę wszystkich. Wówczas, ni stąd ni zowąd, głos zabrał redaktor Jarzyna:

- Policji zawiadamiać nie ma potrzeby - oświadczył ospale i wywołał jeszcze większą konsternację zebranych. Zapadła niepokojąca cisza.

- So, ftedy, w domu Herr Kampke był ktoś jeszcze. - Jeschke skorzystał z okazji, by kontynuować. - Ktoś sie krencił, ja słyszałem, jak ktoś chodził po stare drewniane schody, które mocno skrzypiały. Ten ktoś musia u słyszeć nasza rosmofa o dokumenty, szrekać sie prawa do Schloss, o spotkanie w Hannowald. Endlich¹²⁴, jak fy jusz fiecie, do tego spotkania nie doszło.

- Więc nie ma potrzeby, bo już zawiadomiłem policję. I zdaje się, że zaraz tu będą - nie zważając na przebieg rozmowy, kontynuował swoje Maciek Jarzyna. Niepotrafiąca utrzymać nerwów na wodzy Weronika już miała zwrócić uwagę irytującemu wszystkich

redaktorowi, ale ten ją ubiegł i dodał: – Będzie się pan musiał wytłumaczyć przed ogarami – zwrócił się do Karola – z zabójstwa mecenasa Stolpego, z morderstwa dziadunia, z wypadku pani redaktor. Nazbierało się tego trochę, co? – kpił.

Kampka zerwał się z krzesła jak oparzony i wykrzyknął w stronę Jarzyny:

– Ty skurwysynu! – Podbiegł w kierunku drzwi łączących bibliotekę z korytarzem, położył rękę na klamce, ale zamiast ją nacisnąć, wypalił nie wiadomo do kogo:

– Z niczego nie będę się tłumaczył. Zresztą gównem byście z tego zrozumieli – mówił podekscytowany, w amoku. – Wiecie, jak to jest, gdy nie starcza do pierwszego? Gdy wszyscy jadą na wakacje, a ty siedzisz w domu? Gdy cała klasa wybiera się na studia, a ty musisz zapierdalać na budowie w rajchu, żeby zarobić na studia? Wiecie? – powtórzył pytanie i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Bo ja wiem doskonale. Ale dowiedziałem się też, jak to jest, gdy po takim życiu możesz wreszcie dostać po przodkach coś, co ci się należy jak psu buda i co może całkowicie odmienić twój los. Ktoś jednak lekką ręką zrzeka się słusznego dziedzictwa, bo się już nażył, bo stoi nad grobem, bo na stare lata zamarzyło mu się działalności charytatywnej... – przerwał zdyszany. A po chwili oświadczył: – Zamek w Rybnej należy się prawowitym właścicielom! I kiedyś do nich wróci. Do nas wróci! – poprawił się, po czym gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wybiegł z biblioteki.

Rozdział XXVII

TARNOWSKIE GÓRY, PAŹDZIERNIK, TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Nisko nad miastem wisało sine niebo, jednolicie i doskonale pokryte warstwą chmur. Przez cały dzień, od samego rana, bez choćby malutkiej przerwy padał deszcz. Panował ziąb, przenikliwy, jesienny, paskudny. Wilgoć, której tak złąkniona była przyroda, niosła ludziom uczucie chłodu. Było ono tym bardziej dotkliwe, że następowało po wyjątkowo ciepłym wrześniu. Upały, przecież tak jeszcze niedawne, były już tylko odległym wspomnieniem.

Zaczynała się pora zimowa. Zdawało się, że od pewnego czasu rok składał się tylko z dwóch pór, lata i zimy, które następowały po sobie bez dłuższych okresów przejściowych. Lato zaczynało się obowiązkowo w długi weekend majowy eksplozją gorąca i trwało, dopóki równie znienacka nie nadeszły deszcze i chłody. Te zaś panowały aż do kolejnego maja. I tak co roku, na zmianę. Mroźne zimy, kwitnące wiosny czy złote jesienie, być może poza kilkoma dniami wyjątkowymi w skali roku, stawały się pomału literacką fikcją.

Przez niepozorne wejście od ulicy Ratuszowej z restauracji o swojskiej nazwie Stara Stajnia u Wojtachy wylewał się gwar sobotniego wieczora. Przytulne wewnątrz lokalu emanowało ciepłem. Biło ono nie tylko z komina, w którym trzaskały żarzące się polana, ale tworzyło je całe drewniane wyposażenie, odkryty strop, krokwie

i słupy nośne, podłoga z surowych desek, a także stare szrancki¹²⁵ i byfyje¹²⁶, których półki ugiwały się od ôztomajtych flaszek, kufli, odważników, końskich podków i inkszych bibelotów.

Ludna o tej porze restauracja przypominała trochę bliskowschodni bazar. Atmosfera Stajni przesycona była zapachami dobrego i ciężkiego jada. W powietrzu wisiał zapach przypraw, pieczonego mięsa, sosów, parujących warzyw. Przy jednym z ajnfachowych¹²⁷ stołów nakrytych obrusem w kratę siedzieli Weronika Maszczyk z Maćkiem Jarzyną. Redaktor „Wiadomości Tarnogórskich” całym sobą pochłonięty był konsumpcją zawartości stojącego przed nim talerza. A znajdowała się na nim spora porcja ociekającej tłuszczem golonki i góra ciapkapusty, zwanej tu także panczkrautem¹²⁸.

– Ty i jarzyny! – Zaśmiała się dziewczyna, zapatrzona w pałaszującego danie kolegę. – Nazwisko to ci się, cholera, faktycznie udało.

– Chcesz powiedzieć, że kapusta i kartofle to niby nie są jarzyny? – po dłuższej przerwie odpowiedział w swoim stylu, po czym pociągnął duży łyk piwa ze stojącej na stole szklanicy. – A chmiel? – wskazał na złoty płyn. I dodał z przekąsem: – Za to ty akurat mogłabyś swoje z powodzeniem zmienić na Jarska.

– Sam jesteś jarski – odrzekła, ale jakoś bez entuzjazmu, głowę bowiem wciąż miała zaprzątniętą starymi i nowymi troskami. W zasadzie podstawowym problemem był powrót do normalnego życia. Odkąd tylko opuściła szpital, zajęta była głównie inspirowanymi z zewnątrz próbami odreagowania traumy i stresu. Wszyscy wokół dziewczyny nagle stali się nad wyraz mili, przypominali sobie o jej istnieniu i koniecznie pragnęli pomóc jej

zapomnieć. Liczba odebranych połączeń telefonicznych, zaproszeń otrzymanych od bliższej i dalszej rodziny, a także znajomych znacząco zawiązały średnią całoroczną.

Drugą główną aktywnością dziewczyny były wizyty w przeróżnych poważnych instytucjach, które ochoczo przystąpiły nagle do wyjaśniania „sprawy Rybnej”, jak aferę powszechnie określano na mieście. To od funkcjonariuszy i urzędników dowiedziała się, że Karol przyznał się do zarzucanych mu dwóch morderstw, których motywem była żądza przejęcia majątku po von Koschützkich. Najpierw podsłuchał rozmowę dziadka z mecenasem i Thomasem Jeschke, a następnie skutecznie skłonił Jensa Stolpego do wcześniejszego, niż wynikało to z ustaleń tej trójki, spotkania w Hannowaldzie. Dla sprawcy miejsce nie miało, rzecz jasna, jakiegokolwiek znaczenia symbolicznego. Tam ogłuszył adwokata i zręcznym – rzekomo nie potrafił wytłumaczyć tej osobliwej umiejętności – ruchem noża do tapet podciął mu gardło. Dzień później podczas regularnie odbywanego biegu po lesie rzekomo przypadkiem odnalazł ciało i powiadomił organy ścigania. Podobno do samego końca pozostawał poza kręgiem osób podejrzanych.

Z dziadkiem Franciszkiem poszło mu jeszcze łatwiej. Niczego niepodjrzewającego starca wystarczyło tylko zepchnąć ze stromych schodów w domu. Chwila moment i po krzyku, a wiek denata i okoliczności zgonu nie pozostawiały wątpliwości co do naturalnych jego przyczyn. W ten sposób morderca eliminował jedyne osoby, które władne były zdecydować o zrzeczeniu się praw do pałacu w Rybnej. Zarazem jako wnuk Franciszka Kampki vel Koschützkiego stawał się jedynym spadkobiercą majątku dziadka, dotychczasowego

oraz in spe, przyszłego, w tym także tego, o którym postanowiono w testamencie Egona von Koschützkiego.

Zbrodnia doskonała? Bynajmniej. Jak się okazało, błąd popełnił nieco później. Śledczym nie udało się wprawdzie podważyć przypadkowości pierwszego spotkania Karola z Weroniką w Rybnej. Natomiast łatwo ustalono, że kolejne działania sprawcy nakierowane były na poznanie stopnia wtajemniczenia dziennikarki w całą sprawę, od czego prawdopodobnie uzależniał dalsze kroki wobec niej. Gdy więc uznał, że Weronika zaczyna już wiedzieć dostatecznie dużo, podjął próbę jej przestraszenia. Zupełnie zresztą nieskuteczną i nad wyraz amatorską. Policyjnym specjalistom od cyfrowej rzeczywistości udało się namierzyć IP komputera, na którym został założony adres poczty e-mail, z którego wysłane zostały groźby. W sieci nic nie ginie, więc szybko ustalono, że dokonano tego w firmie, w której Karol był od niedawna zatrudniony. Z kolei osiedlowy monitoring zarejestrował, gdy młody Kampka, wiedząc o planach wyjazdu Weroniki do Dortmundu, klęka przy lewym przednim kole samochodu dziennikarki. Tym samym, którym nazajutrz wyruszyła w podróż i z którego w polu przed Ptakowicami odpadło lewe przednie koło. Przy odrobinie większej prędkości, a przecież miała podróżować autostradą, musiało się to skończyć śmiercią kierowcy. Mogła zatem mówić o szczęściu i dziękować losowi, że luzy na śrubach były na tyle znaczne, że do kolizji doszło na początku trasy i przy wyjątkowo niskiej prędkości pojazdu.

Jednak wszystko to miała już za sobą. Zgodnie z zaleceniami lekarzy starała się oswajać lęki, nie pozwolić im przejąć nad sobą kontroli, panować nad nimi. Siedziała teraz bezpiecznie w przytulnej i ciepłej restauracji, w towarzystwie redaktora Maćka

Jarzyny, któremu czuła się zobowiązana, ale również chciała podziękować za pomoc udzieloną podczas dziennikarskiego śledztwa. Przy okazji liczyła po cichu i na to, że Jarzyna puści wreszcie trochę pary z ust i że dowie się przy okazji czegoś o kulisach kluczowego momentu dla rozwiązania „sprawy Rybnej”, czyli spotkania na oddziale psychiatrycznym – ostatniego ogniwa w łańcuchu wydarzeń, o którym jeszcze nie wiedziała wszystkiego. Patrząc jednak na pracującą ciężko szczękę redaktora powoli traciła nadzieję.

– Skąd wiedziałeś, że to Karol Kampka? – zagadnęła zniecierpliwiona. W odpowiedzi łypnął na nią tylko okiem znad talerza i wrócił do golonki.

„Bezczelny typ – pomyślała. – Taki już się nie zmieni, będzie tylko gorzej”.

– Przyznam się, że ja zafiksowałam się na Jeschkem i nie dopuszczałam do siebie myśli, że sprawcą mógł być ktokolwiek inny – kontynuowała wobec braku reakcji kolegi. – Wiesz, ten człowiek to był, to jest – poprawiła się – chodzący dysonans, jedna wielka dysharmonia.

– Nie przesadzaj. Fakt, ukrywał swoją tożsamość, ale w świetle całej tej pokręconej historii chyba mu się nie dziwisz? – Jarzyna poczuł się w obowiązku stanąć w obronie Niemca.

– Może i masz rację. Tylko że – zawahała się – od samego początku, no, może prawie od początku, zdawało mi się, że zaczynają się dziać wokół mnie różne dziwne rzeczy. Najpierw ktoś śledził mnie, gdy byłam w ewangelickim kościele Zbawiciela, ktoś, kto się szybko ulotnił, dostrzegłam tylko jego cień. Potem, gdy samochód, wiesz, ten nasz redakcyjny gruchot, odmówił mi

posłuszeństwa na wiadukcie. I znów ktoś mnie śledził na pogrzebie pana Franciszka. Następnie wysłana ze sztucznego adresu groźba w wiadomości e-mail – wyliczała. – Dziś oczywiście już wiem, że to był splot przypadkowych okoliczności oraz celowe działanie Karola. Że to on za mną chodził, nękał mnie, że wysłał mi ostrzeżenie. No, z tym cinquecentem to był przypadek. Tak samo jak facet na chórze kościoła w Strzybnicy potem okazał się Thomasem – przyznała. – Ale gdy odpadło mi koło w Ptakowicach, to znów było działanie Karola. Nakierowane na to, by się mnie po prostu pozbyć, żeby mnie zlikwidować. W każdym razie, gdy jeszcze nie wiedziałam niczego o Karolu, to liczba dziwnych wydarzeń, które mnie spotkały, narastające poczucie zagrożenia, do tego w połączeniu z powierzchownością Thomasa... Sam rozumiesz, że musiałam postawić na Jeschkego. No, a ty – podjęła ponowną próbę – skąd wiedziałeś, że za tym wszystkim stoi Karol?

– Nie wiedziałem – odburknął po zbyt długiej przerwie. – Nie będę jednak ukrywał, że spotkanie w szpitalu było cokolwiek wyreżyserowane – przyznał po chwili redaktor.

– Ustawka? – zareagowała żywo.

– Początkowo, przyznaję, zbagatelizowałem historię, którą odkryłaś – odpowiedział flegmatycznie. – Wiesz, że starałem się odwozić cię od zaangażowania w nią, ponieważ wydawała mi się mocno naciągana, nierealna. Gdy zdałem sobie wreszcie sprawę z tego, w co się wpakowałaś i że grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo, było już trochę za późno. Wtedy jednak postanowiłem działać zdecydowanie. – Jakby na potwierdzenie tego zdecydowania Maciek gwałtownie przechylił kufel i dopił piwo, po czym zamówił następne. – Dowiedziałaś się po prostu zbyt dużo,

twoja wiedza stała się niebezpieczna. Dla sprawcy stawka była z kolei zbyt wysoka, by ryzykować wyjście na światło dzienne tych tajemnic, które miały pozostawać w mroku. Byłem więc przekonany, że sprawca prędzej czy później będzie chciał, a nawet będzie musiał do ciebie dotrzeć, słowem, że wróci. Choć oczywiście nie wiedziałem, czy nastąpi to jeszcze podczas twojej hospitalizacji, czy dopiero później. Umówiłem się więc z kim trzeba, by dano mi znać, gdy w szpitalu odwiedzi cię ktoś spoza rodziny i najbliższego kręgu znajomych. Opracowałem spis nazwisk potencjalnych gości. Przecież wszystkich wchodzących się legitymuje, prawda, długotrwała procedura.

– Aha – mruknęła, choć jako pacjentka przyjęta w innym trybie nie poznała tego procesu.

– Możesz sobie jednak wyobrazić, jakie było moje zdziwienie, gdy po przybyciu do szpitala, a musisz wiedzieć, że aby zdążyć, pędziłem tam na łeb na szyję i to będąc po kilku głębszych, spotkałem u ciebie dwóch facetów, w tym starego znajomego Mateusza Kalltera, którego akurat najmniej spodziewałem się tam zastać i którego oczywiście na mojej liście nie było. – Zawisł z widelcem w ręku nad talerzem. – A potem jeszcze napatoczył się ten Jeschke. No i znów zrobił mi się mętlik w głowie, bo nie założyłem, że sprawców będzie więcej niż jeden.

– No, przecież się nie pomyliłeś – zauważyła.

– Wówczas tego jeszcze nie wiedziałem. Pomyślałem tylko, że sprawa mocno się skomplikowała i albo wszyscy trzej są niewinni, albo wszyscy trzej są w zмовie. Jeśli nie, to możliwe były przecież jeszcze różne pośrednie warianty, dwóch na jednego albo jeden na dwóch, w dowolnych konfiguracjach. Pytanie brzmiało, jak

dowiedzieć się prawdy. Ale w tym to kluczową rolę odegrałaś już ty, moja droga.

– Ja? – zdziwiła się.

– Tak, ty. Być może nieświadomie, ale poprowadziłaś rozmowę w taki sposób, że atmosfera gęstniała, emocje rosły z minuty na minutę. Gdy się zorientowałem, że wszystko prowadzi do eskalacji i że, jak to w przyrodzie, ciśnienie znajdzie upust w najłagodniejszym miejscu, wtedy powiadomiłem moje źródło na komisariacie. Trochę ryzykowałem, że wtopię, że nic się nie wyjaśni, ale pomyślałem, niech tam. Ogary szybko się ogarnęły, więc gdy Karol nie wytrzymał napięcia i chlapnął za dużo, gończy byli już w drodze. Resztę znasz.

– Maciek...

– No?

– Dziękuję.

– Dziołcha, dej pokōj ¹²⁹ – odparł. – To ja dziękuję – dorzucił. – I jeszcze coś. Miałaś rację. Zmuszając mnie do wysiłku, tropiąc ślady Hanna, łącząc zgon pana Franciszka z morderstwem mecenasa Stolpego, szperając w internecie. Nie wolno zbyt łatwo rezygnować, gdy się w coś mocno wierzy – podsumował filozoficznie, zupełnie wbrew swojej naturze.

– Chocie, dej se pokōj. – Uśmiechnęła się – sentencje niezbyt ci wychodzą. A *propos* – dodała – przeczytam ci najnowszy aforyzm naszego Mateusza Kalltera, jaki znalazłam na fejsie. „Różnica pomiędzy zdrowymi i psychicznie chorymi sprowadza się w gruncie rzeczy do odwagi; tylko ci drudzy ją mieli, by dać się przebadać”.

Przy stoliku dziennikarzy „Wiadomości Tarnogórskich” zapanowała cisza. Maciek Jarzyna dostał wreszcie nowe piwo i wrócił do golonki. Weronika Maszczyk zamyśliła się, wpatrując

w trzaskające w kominie szczapy drewna. Nad Tarnowskimi Górami szalała jesienna nawałnica, gwałtowne podmuchy wiatru z miejsca na miejsce przeganiały roje liści i śmieci. Uporczywy deszcz bębnił o szyby, po czym ustawał, by po chwili ponownie rozpocząć szturm.

Postscriptum

Hannowald nie jest legendą, mitem, nie jest też fikcją literacką. Kiedyś istniał naprawdę. Istniał, odkąd we wnętrzościach ziemi, w lesie za zōmkiem w Rybnej ukryto pierwsze ciało, gdy grzebano kolejne i wznoszono okazałe mogiły. Istniał, gdy przeprowadzano ekshumacje i gdy dewastowano opuszczone groby. Istniał, póki nie pomarli ostatni z pamiętających o nim. A potem pamięć o Hannowaldzie zatarła się, rozmyła i odeszła, jak ci, których pochowano w lesie. Bo pamięć to w istocie życie, pamięć żyć może tylko w umysłach żyjących.

A było tak. 1 kwietnia 1904 roku umiera Anna von Koschützki z domu Schickfus und Neudorf, małżonka Richarda, właściciela majątku rycerskiego w Rybnej pod Tarnowskimi Górami, matka Edith, Egona i Hanna. Jest młoda, w chwili śmierci liczy zaledwie czterdzieści jeden lat. To ona pierwsza spoczywa w Hannowaldzie, który jeszcze wówczas tak się nie nazywa.

Dekadę później Hanno von Koschützki powołany zostaje w szeregi armii Królestwa Saksonii i wysłany do walki z Francuzami. Ma raptem dwadzieścia lat i szlify podporucznika w 20. regimencie huzarów, gdy pod Berry-au-Bac w Pikardii oddaje życie za cesarza Wilhelma II. Jest maj 1915 roku. Europa tonie w odmętach szaleństwa I wojny światowej. W kościele Zbawiciela na rynku w Tarnowskich Górach dopisują Hanna do rozrastającej się listy poległych członków parafii ewangelicko-augsburskiej, ale ciało

podporucznika zostaje na polu bitwy, we Francji. Zrozpaczony ojciec buduje synowi symboliczny grobowiec obok mogiły żony. I od tej pory las za pałacem w Rybnej staje się Hannowaldem. Na cześć zmarłego syna, którego nie ma.

W czasie, gdy na Górnym Śląsku wybuchają bratobójcze walki nazwane później powstaniami śląskimi, serce sędziwego dziedzica Richarda von Koschützkiego przestaje nagle pompować błękitną krew. W połowie września 1920 roku syn i córka grzebią ojca w Hannowaldzie. Na czarnym pomniku każą wyryć tytuł królewskiego rotmistrza, którym za życia dumnie obnosił się zmarły.

Króla jednak nie ma, abdykował, i nic nie jest już takie, jak dotąd. Na Górnym Śląsku kończy się epoka trwająca od późnego średniowiecza, spójny obszar przecięty zostaje wpół. Sztuczna granica biegnie opłotkami, a czasem środkiem podwórek, po których drepczą kury i kaczki, ignorując limes. Tarnowskie Góry przypadają Polsce, Niemcy są jednak tuż, kilometr od zōmku w Rybnej. Pomędzy raczkującymi republikami życzliwości nie ma nawet na pograniczu, atmosfera jest napięta, obie strony przygotowują się do kolejnej konfrontacji. Syn rotmistrza Egon von Koschützki postanawia w 1922 roku sprzedać rodowy majątek. Z całą rodziną przenosi się do Republiki Weimarskiej, do Wronina w powiecie kozielskim. Tam, w posiadłości teściów von Oheimbów, wśród malowniczych pagórków, wie dzie sielskie życie.

Siedem lat później Egon ponownie pojawia się w Rybnej, skąd pragnie zabrać również doczesne szczątki rodziców. Powiat tarnogórski powołuje komisję ekshumacyjną. W Hannowaldzie ruszają prace, odsunięte zostają kamienie nagrobne zwane tu dynkmalami, robotnicy odkopują mogiły, wyciągają i otwierają

trumny. Gdy spostrzega zastygłe w walce o tlen ciało ojca, Egon przeżywa osobistą tragedię. Okazuje się bowiem, że to, co przed dziewięcioma laty uznano za zgon rotmistrza, było tylko utratą świadomości, zanikiem funkcji życiowych, które ponownie odżywają w najmniej oczekiwanym momencie i dosłownie pod stopami najbliższych. Za późno.

A potem znów płynie życie. Tak jak Hanno w służbie kajzera, tak za Führera ginie Christoph – syn Egona. Aż wreszcie nadchodzi styczeń 1945 roku, a wraz z nim *Götterdämmerung*¹³⁰, kres porządku, jaki wszyscy znają. W ciągu ćwierćwiecza Egon von Koschützki kolejny raz zmuszony jest porzucić dom. Tym razem, nim przedostanie się do Bawarii, zdąży spakować tylko to, co absolutnie niezbędne do przeżycia, mogiły zostają we Wroninie, w parku za pałacem. Po wielu latach miejscowi wraz z proboszczem przeniosą czarne nagrobki na cmentarz parafialny w pobliskim Grzędzinie.

Tyle historia. A Hannowald? Dziś, ponad sto lat od ostatniego pochówku w lesie za zōmkciem, nie znam już nikogo, kto potrafiłby dokładnie wskazać miejsce po grobowcach von Koschützki. Sam też długo go szukałem i jak to bywa w takich opowieściach, odnalazłem zupełnie przypadkowo. Pomógł mi w tym dziesięcioletni wtedy Franek – mój syn, który dzieli ze mną pasję do włóczęgi po bezdrożach (choć wolę myśleć, że ją odziedziczył).

Dopóki liście tkwią na drzewach, niełatwo tam dostrzec cokolwiek. Ale już jesienią, jak co roku, Hannowald wynurza się z leśnego gąszczy niczym z mgły, z zaświatów, a może zjawia się z mroku dziejów, by zimą i na przedwiośniu uważnym oczom objawić swą kompozycję jeszcze wyraźniej. Poprzerastane chaszczami dwa rzędy potężnych dębów tworzą szpaler, który

zamyka rozłożysta lipa o wielu pniach. To właśnie tu znajdowały się mogiły.

Skoro więc Hannotwald został odnaleziony, może znaczy to, że nie zniknął wraz z tymi, którzy o nim pamiętali, że wciąż jeszcze jest? Że historia Hanna von Koschützkiego nie sięga tylko po grób i że umie jednak posunąć się dalej?

Tarnowskie Góry – Rybna, luty 2023 roku

Przypisy

- 1 Krupniok – kaszanka (śl.)
- 2 Karlik – Karol (śl.)
- 3 Kaj – dokąd (śl.)
- 4 Lauba – ganek, altana (śl.)
- 5 Zōmek – zamek, pałac (śl.)
- 6 Byda – będę (śl.)
- 7 Szukej mie za zōmkciem, ida za zōmek – szukaj mnie za zamkiem, idę za zamek (śl.)
- 8 Beszōng – nasyp, skarpa (śl.)
- 9 Do pierona – śląski wulgaryzm
- 10 Guten Abend, Herr Direktor – dobry wieczór, panie dyrektorze (niem.)
- 11 O! Herr Stolpe, wie geht es Ihnen – O! Pan Stolpe. Co u pana słyhać? (niem.)
- 12 Danke, gut – dziękuję, dobrze (niem.)
- 13 Ein guter Wein – dobre wino (niem.)
- 14 Prosit – odpowiednik polskiego „Na zdrowie!” (niem.)
- 15 Ich möchte Ihnen – chciałbym panu... (niem.)
- 16 Entschuldigung – przepraszam (niem.)
- 17 Kein Problem, ich bleibe hier – żaden problem, zostanę tutaj (niem.)
- 18 Klopsztinga – trzepak (śl.)
- 19 Włyźcie rajn – proszę do środka (śl.)
- 20 Niy, bōła kindermjdlom – Nie, była niańką (śl.)
- 21 Wele guwernantki nikej nawet niy stoła – z guwernantką nie miała nic wspólnego (śl.)

- 22 Richtig – naprawę, prawdziwa (śl.)
- 23 Zidlung – osiedle (śl.)
- 24 Nazōt – temu (śl.)
- 25 Ynta – kaczka (śl.)
- 26 Bajtle – dzieci (śl.)
- 27 Przeca – przecież (śl.)
- 28 Ślizyk – kawałek (śl.)
- 29 Ôstomajte – różne (śl.)
- 30 Waniyliki – ewangelicy (śl.)
- 31 Dynkmal – pomnik (śl.)
- 32 Zarozki – zaraz (śl.)
- 33 Sam – tutaj (śl.)
- 34 Frela – dziewczyna (śl.)
- 35 Kajś – tu: około (śl.)
- 36 Gadzina – zwierzęta (śl.)
- 37 Hica – upał, gorąc (śl.)
- 38 Dyc – przecież (śl.)
- 39 Mutter – matka (śl.)
- 40 Sam – tutaj (śl.)
- 41 Fto – kto (śl.)
- 42 Po pierōna – wykrzyknienie, odpowiednik „Po diabła” (śl.)
- 43 Poradzić – umieć (śl.)
- 44 Bajtel – dzieciak (śl.)
- 45 Fater – ojciec (śl.)
- 46 Na Góry – do Tarnowskich Gór (śl. reg.)
- 47 Kery – który (śl.)

- 48 Naszkryflać – napisać (śl.)
- 49 Richtig – naprawdę (śl.)
- 50 Pora – parę (śl.)
- 51 Ef – skrót od NRF (Niemiecka Republika Federalna)
- 52 Für immer Deine – Waltraud – na zawsze Twoja – Waltraud (niem.)
- 53 Kobiyta – żona (śl.)
- 54 Fest – bardzo (śl.)
- 55 Poleku – powoli, spokojnie (śl.)
- 56 Cera – córka (śl.)
- 57 Wysztrykowane – wyhaftowane (śl.)
- 58 Beztoż – przez to (śl.)
- 59 Byzuch – odwiedziny, wizyta (śl.)
- 60 Poôsprawioł – poopowiadał (śl.)
- 61 Poradza – potrafię (śl.)
- 62 Cyganić – oszukiwać (śl.)
- 63 Pedzioł – powiedział (śl.)
- 64 Nie gorszcie się – nie miejcie mi za złe (śl.)
- 65 Cuja – czuję (śl.)
- 66 Chaupa – dom (śl.)
- 67 Bōnkawa – kawa (śl.)
- 68 Somżeście – czy jesteście (śl.)
- 69 Wele – obok (śl.)
- 70 Apfelziny – pomarańcze (śl.)
- 71 Rzyka – rzeka (śl.)
- 72 Durch – przez cały czas (śl.)
- 73 Godali – mówili (śl.)

- 74 Cug – pociąg (śl.)
- 75 Bahnhof – dworzec kolejowy (śl.)
- 76 Kalup – galopem (śl.)
- 77 Wasserpolnisch – niemieckie określenie dla gwary śląskiej
- 78 Raus – wynocha, precz (śl.)
- 79 Rechter – nauczyciel (śl.)
- 80 Beamter – urzędnik (śl.)
- 81 Antryj – przedpokój (śl.)
- 82 Miyndli – międli (śl.)
- 83 Mycka – czapka (śl.)
- 84 Lipsta – ukochana (śl.)
- 85 Tragac – tragacz (śl.), wózek na drewno
- 86 Prawie – akurat (śl.)
- 87 Żdzadło – lustro (śl.)
- 88 Sztiglowanie – strojenie się (śl.)
- 89 Borok – słabeusz, oferma (śl.)
- 90 Godni – głodni (śl.)
- 91 Ôblycyni – ubrani (śl.)
- 92 Hadra – szmata (śl.)
- 93 Byfyj – kredens (śl.)
- 94 Piechty – na piechotę (śl.)
- 95 Gymba – twarz (śl.)
- 96 Cera – córka (śl.)
- 97 Zawarte – zamknięte (śl.)
- 98 Sztylem bez łeb – trzonkiem w głowę (śl.)
- 99 Drapko – szybko (śl.)

100 Ordnung – porządek (śl.)

101 Fest – bardzo (śl.)

102 Zaroзки – zaraz (śl.)

103 Sie kriegen kein Feld, denn ihr mann ist ein Grosspole und das verbiete ich ihm – Nie dostaniecie pola, bo wasz mąż jest wielkim Polakiem i ja mu tego zabraniam (niem.)

104 Police line do not cross – linia policyjna, nie przekraczać (ang.)

105 Farorz – proboszcz (śl.)

106 Hier ruht in Gott – Tu spoczywa w Bogu (niem.)

107 Glaca – łysina (śl.)

108 Navigare necesse est – żeglowanie jest koniecznością (łac.)

109 Tertium non datur – trzeciej możliwości nie ma (łac.)

110 Vis vitalis – siła witalna (łac.)

111 Noch nicht jetzt, meine Veronike – jeszcze nie, moja Weroniko (niem.)

112 Ich weiß es besser – wiem to lepiej (niem.)

113 Oma – babcia (niem.)

114 Opa – dziadek (niem.)

115 Seiner Tochter – jego córce (niem.)

116 Rechtsanwalt aus Dortmund – prawnik z Dortmundu (niem.)

117 Meine Mutter und mich – moją matkę i mnie (niem.)

118 Ob wir auf das Recht auf Eigentum in Rybna verzichten – czy zrzekniemy się praw do majątku w Rybnej (niem.)

119 Genau – właśnie tak (niem.)

120 Onkel Franz – wujek Franciszek (niem.)

121 Schloss – zamek (niem.)

122 Das ist noch nicht alles – ale to jeszcze nie wszystko (niem.)

123 Wirklich – naprawdę (niem.)

124 Endlich – ostatecznie (niem.)

125 Szrank, szrancek – szafa, szafka (śl.)

126 Byfyj – kredens (śl.)

127 Ajnfachowy – kiepski, bylejaki, ale także prosty (śl.)

128 Panczkraut (ciapkapusta) – potrawa z ziemniaków i kapusty kiszanej okraszonej smalcem

129 Dziołcha, dej pokōj – dziewczyno, daj spokój (śl.)

130 Götterdämmerung – zmierzch Bogów (niem.)